

WYDANIE SPECJALNE NA MAJÓWKĘ

EKSPERT NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Zagadka Jacka Bartosiaka
– guru polskiej geopolityki



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 17-18/524-525 24 KWIETNIA-7 MAJA 2023
CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO
RZECZY

Marek Jurek o braku realizmu
w polskiej polityce zagranicznej



UJAWNIAMY
ODNALEZIONE
PAMIĘTNIKI
KARD. HENRYKA
GULBINOWICZA

Dlaczego w Polsce
tak wielu samobójców
to mężczyźni?

Konfederaci pewni swego

TRWAŁA TRZECIA SIŁA POLITYCZNA CZY EFEMERYDA

Piszą: Semka, Ziemkiewicz, Warzecha

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

NIETYJAŚNIONE ZBRODNI – KAPŁANI NA KOMUNISTYCZNEJ GOLGOCIE

Dla władz PRL duchowieństwo było
wrogiem numer jeden – księża ginęli jeszcze
po wyborach 4 czerwca



Esbecka trucizna za ewangelizowanie – Dlaczego bezpieka coraz bardziej zaciskała pętlę wokół ks. Franciszka Blachnickiego?

Ostatni lot Czerwonego Barona – Niemieckiego asa przestworzy zgubił błąd, przed którym on sam przestrzegał innych

Diabelski eastern – Kulisy realizowanej z rozmachem epickiej historycznej opowieści Jacka Komudy

Największy z 300 – Dlaczego to właśnie król Leonidas dowodził połączonymi siłami greckimi w wojnie o wszystko z Persją?

Wilno w ogniu – Jak polskie Kresy broniły się we wrześniu 1939 r. przed sowieckim najazdem

Zagłada Konstantynopola – Nikt nigdy nie wziął murów Konstantynopola szturmem. Dlaczego tym razem było inaczej?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Europa bez rozumu

Wydaje się, że pierwszym obowiązkiem państwa jest zapewnić ochronę swojego terytorium. Wydaje się, że pierwszym obowiązkiem związku państw, którym jest Unia Europejska, powinno być zatem skuteczne zwalczanie niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą niekontrolowana i coraz większa fala imigracji z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu.

Wszystkie dotychczasowe doświadczenia pokazują, że napływ setek tysięcy migrantów prowadzi do dekompozycji społeczeństw, do wzrostu przestępczości, upadku gospodarek i radykalnego obniżenia poziomu życia. Co więcej, kwestia ta mogłaby, gdyby politycy europejscy faktycznie chcieli, zostać rozwiązana. Tymczasem dzieje się dokładnie odwrotnie. Ten problem, właśnie podstawowy i najważniejszy, jest przez elity unijne lekceważony i pomijany. Zamiast tego Unia wykorzystuje swoje instytucje do walki z tym, na co wpływ ma bardzo ograniczony, a być może nie ma go wcale: na przeciwdziałanie zmianom klimatycznym. Mamy tu do czynienia z przykładem odlotu lub, bardziej naukowo, ciężkiej schizofrenii.

W ciągu pierwszych kilku miesięcy tego roku do Włoch dotarło między 30 a 50 tys. migrantów. Zdarza się coraz częściej, że jednego dnia przypląwa ich ponad tysiąc. Oznacza to – łatwo policzyć – że do końca roku pojawi się tam ponad 100 tys. (a może więcej) nowych uciekinierów. Co robi rząd? Ogłasza stan wyjątkowy. Cóż, brzmi dobrze, tyle że po bliższym przyjrzeniu nic istotnego z tej „wyjątkowości” nie wynika. Przeciwnie, po jego wprowadzeniu liczba przybyszów jeszcze wzrosła. Dzieje się tak dlatego, że w istocie stan wyjątkowy to pic na wodę fotomontaż.

Otóż dzięki „wyjątkowości” będzie można... szybciej relokować migrantów z przeludnionych ośrodków do... mniej przeludnionych. Czyli czynić ich życie bardziej znośnym i wygodnym. Uwaga, paranoi ciąg dalszy: rząd premier Giorgii Meloni chce, aby w każdym z 20 włoskich regionów powstał jeden taki ośrodek dla migrantów. Obecnie jest ich dziewięć. Niektóre regiony nie godzą się na ich budowę – i te dzięki przepisom o stanie wyjątkowym będzie można do tego zmusić. Przekładając na polski: rząd nie umie powstrzymać choroby – masowego napływu migrantów, jedynie potrafi szybciej ją rozprzestrzeniać. I to właśnie robi, nazywając to walką. Próbuje też, nieśmiało i niekonsekwentnie, tak zmienić prawo, żeby odsyłać tych migrantów, którzy nie uzyskali statusu uchodźcy, do krajów, z których przybyli. To, oczywiście, niczego nie zmieni: doświadczenie pokazuje, jak trudno jest najpierw doprowadzić do takiej decyzji, a następnie wydaląc migranta (nie wspominając już o całej rodzinie).

A teraz porównajmy to z postępowaniem polskich służb i Straży Granicznej. Na granicy z Białorusią, skąd reżim Łukaszenki próbuje przerzucać migrantów, zbudowano mur obronny, a polscy strażnicy nie dopuszczają do przekraczania granicy. Wyplątaj uciekinierów i odsyłają ich do miejsca, z którego przybyli. Najkrócej: robią to, do czego zostali powołani. W przeciwieństwie do Włoch Polska, co się tyczy obrony granicy przed zalewem migrantów, zachowuje się jak państwo poważne.

Włosi, przykro to powiedzieć, postępują tak, jakby całkiem opuścił ich instynkt samozachowawczy. Zamiast nie dopuszczać statków i łodzi do swoich wybrzeży, służby... chronią przybyszów. Zamiast mak-

symalnie utrudnić im życie, pomagają. Zamiast surowo i bezwzględnie karać organizatorów masowego przemytu ludzi, patrzą na to przez palce. Zamiast – tak, niech padnie to straszne słowo – użyć siły w obronie własnego państwa, bezradnie opuszczają rękę.

W efekcie gotują sobie tragiczny los. Tego żadne państwo i żadna gospodarka nie wytrzymają. Włoskie elity tkwią w pułapce fałszywego humanitaryzmu: bojąc się pokazać stanowczość, pogarszają, a wręcz niszczą szanse swoich dzieci i wnuków. Ta choroba niemocy paraliżuje nie tylko Włochów, lecz także całą Europę Zachodnią. Widać to było w 2015 r., kiedy to Bruksela, zamiast walczyć z zalewem migracji, chciała wymusić na wszystkich członkach absurdalny pomysł przymusowej relokacji. Tak dzieje się też obecnie: zamiast wezwać Włochy i inne państwa do walki z falą przybyszów, Bruksela woli krytykować takie państwa jak Polska, które bronią własnych granic.

O przepraszam, Bruksela ma przecież inne rzeczy na głowie. Co tam zalew setek tysięcy migrantów, najważniejsze jest bohaterska walka z ociepleniem klimatu. To jest prawdziwe wyzwanie i tym zaprzatają sobie głowę poważni europejscy politycy, tak urzędnicy, jak większość europosłów. Dlatego Parlament Europejski przyjął kilka dni temu dyrektywę i rozporządzenia z pakietu „Fit for 55”. Do roku 2030 emisje gazów cieplarnianych zostaną ograniczone o co najmniej 55 proc. W 2050 r. osiągniemy neutralność klimatyczną. Ależ to będzie osiągnięcie! Naprawdę jest się z czego cieszyć. W neutralnej klimatycznie Europie, zalaną totalnie przez afrykańskich i bliskowschodnich migrantów, powietrze będzie czyste i śniegu będzie sporo. ©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 8 MAJA 2023 R.

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA

ILE POTRWA ICH „PIĘĆ MINUT”?

Konfederacja, czyli dzieci szczęścia

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PRZED STRESS TESTEM

20 ŁUKASZ WARZECHA

KONFEDERACJA MA CZAS.

CZY BĘDZIE CIERPLIWA?

22 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM

IDZIE NOWE



KRAJ

24 MAREK JUREK

GRANICE POLITYKI POLSKIEJ

Po przemówieniu ministra spraw zagranicznych

27 ROZMOWA Z PROF. MARCINEM WIĄCKIEM

ZNIKAJĄCA PRYWATNOŚĆ

30 JAN FIEDORCZUK

DOKTRYNA BARTOSIAKA

34 TOMASZ ROWIŃSKI

(NIE)MĘSKIE WYKLUCZENIE

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

ŁATANIE DZIUR W TAKSÓWKACH

38 ZUZANNA DĄBROWSKA

CIĘŻAR WOLNOŚCI

KULTURA

40 PIOTR SEMKA

ŻMUDZI, OJCZYŻNO MOJA

Sentymentalna podróż na Żmudź

44 PIOTR GOCIEK

CZŁOWIEK Z BLIZNAMI

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 WOJCIECH GOŁONKA

CZY UKRAINA

STRACI WSPARCIE?

Po wycieku tajemnic Pentagonu

56 JACEK PRZYBYLSKI

ZNIESIENIE PRAWA WĘTA

BYŁOBY KATASTROFĄ

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI

CELIBAT POD OSTRZAŁEM



HISTORIA

60 AGNIESZKA

BUGAŁA

NIEZNANE

PAMIĘTNIKI

KARDYNAŁA

ODNALEZIONE

Gulbinowicz

przemówił

ŚWIAT

66 PIOTR WŁOCZYK

TRZECIA POTĘGA NA HORYZONCIE

Atomowe plany Pekinu



68 OLIVIER BAULT

CHIŃSKI TROP MACRONA

70 MACIEJ PIECZYŃSKI

PERŁA W KORONIE IMPERIUM PUTINA

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK

AFERA ZBOŻOWA

Ziarno z Ukrainy

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięcki

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torąński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny,
Jakub Wroński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Gryzmowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrzycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**

Okładka: **J. Domiński/Reporter, M. Wójcik/East News,**
M. Zieliński/SE/East News

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na
GPW

OLIVER **REUTERS**

Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA**:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Pojednanie

Szanowni Państwo,
tekst **Łukasza Warzechy** „Przyjaźń na siłę” przypomniał mi inne pojednanie, trafne, a mianowicie „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” z 1965 r. Podobieństwo obydwu spraw polega na dramatycznie nierównym podziale win. Propaganda komunistów wręcz szalała wtedy, natomiast tekst „Orędzia” był absolutnie niedostępny. Chociaż wiedziałem, że komuniści tżą, to jednak w cichości ducha myślałem sobie, że to się trochę księżom biskupom nie udało. „Przebaczymy i prosimy o wybaczenie”?! Do Niemców?! Gdy wreszcie dotarłem do tekstu „Orędzia”, przeżyłem wstrząs. Tam były po prostu skrupulatnie, dokładnie, precyzyjnie wyliczone wszystkie winy Niemców wobec Polaków oraz wszystkie winy

Polaków wobec Niemców! Słowa o przebaczeniu stawały się twardym konkretem: **TYLE przebaczymy, a za tyle prosimy o wybaczenie.**

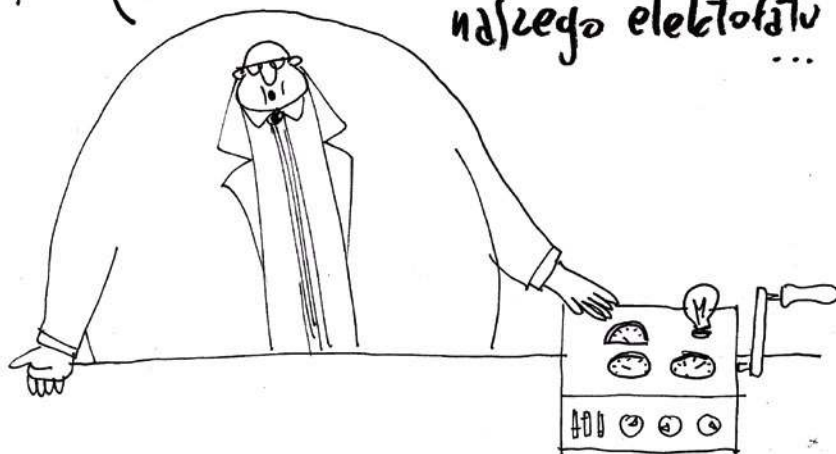
Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, w końcu napisałem do księdza prymasa: „Jako ateście [...] rzadko mi przychodzi solidaryzować się z Kościołem katolickim. Niech mi jednak będzie wolno wyrazić najgłębszy szacunek, jaki żywię dla dokumentu tak pełnego mądrości, dostojęstwa i dobrej woli, jakim było »Orędzie« do biskupów niemieckich”. W odpowiedzi dostałem tomik „Kazań Świętokrzyskich” z imiennym błogosławieństwem (od tamtego czasu znacznie częściej solidaryzuję się z Kościołem katolickim).

Nie będzie pełnego pojednania z Ukrainą dopóty, dopóki ktoś nie stworzy dokumentu takiego jak tamto „Orędzie”! Niestety, obecny episkopat zdobył się tylko na poronione „porozumienie” z Cyrylem.

Życzę wszelkich darów Ducha Świętego i wszelkiej pomyślności całej Redakcji.

**Stały czytelnik
Tomasz Umiński**

Skonstruowana przez zaprzysiężonych inżynierów sztuczna ciweticzka inteligencja pozwoli nam przewidzieć prefetę naszego elektorału...



c e z d t q u r y i z o n d



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Geschäft as usual

Prezydent Frank-Walter Steinmeier odznaczył byłą kanclerz Angelę Merkel Wielkim Krzyżem Orderu Zasługi RFN za Specjalne Osiągnięcia, najwyższym niemieckim odznaczeniem. Prezydenci RFN otrzymują je z urzędu, ale w powojennych dziejach Republiki Federalnej order ten otrzymali dotychczas tylko dwaj kanclerze – Konrad Adenauer i Helmut Kohl.

A teraz, po wszystkich krytykach merkelowskiej wieloletniej polityki pchania RFN do sojuszu z Rosją Putina, najwyższy niemiecki order otrzymuje architektka tej polityki. Była obywatelka NRD, o której mówiono, że trzyma na swym biurku portret innej władczej kobiety – Katarzyny II, niezwykle dobrze czującej się na tronie carów Niemki urodzonej w 1729 r. na Pomorzu, z którego zachodniej części za Odrą przez długie lata wybierano Angelę Merkel do Bundestagu.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung” napisał, że Frank-Walter Steinmeier przy wręczaniu wyróżnienia dyskretnie poprzestał jedynie na tym, by domagać się „nowej

refleksji» w obliczu rosyjskiej wojny (na Ukrainie)”. „FAZ” wskazuje też, że „irytujące obstawanie Angeli Merkel przy tym, że zasadniczo zrobiła wszystko dobrze, po raz kolejny zostało przez Steinmeiera nobilitowane”.

Czy niemiecki prezydent ma jakieś dług wobec „Mutti”? „Stuttgarter Zeitung” przypomina, że choć Steinmeier był socjaldemokratą i nie jest człowiekiem Angeli Merkel, to zawdzięcza wyznaczenie na ten urząd jej wsparciu. W ocenie gazety ze Stuttgartu głównym aspektem, który przemawia przeciwko przyznaniu Merkel najwyższego niemieckiego odznaczenia za zasługi, jest to, że była kanclerz stroni od jakiegokolwiek samokrytyki. Ale są i obrońcy Merkel. „Kölner Stadt-Anzeiger” głosi, że dzięki ciągłości, niezawodności, cierpliwości Merkel rządziła Niemcami we względnym spokoju przez cztery okresy legislacyjne i rozbudowała kraj jako międzynarodową potęgę. „Kto, jeśli nie ona?” – pyta dziennik w kontekście przyznania jej najwyższego niemieckiego odznaczenia.

To wydobycie przez prezydenta RFN byłej pani kanclerz z prywatności i politycznego autu po roku wojny, za którą wielu Ukraińców obwinia ją moralnie, zmusza do gorzkiej refleksji. Mimo deklaracji o wyciągnięciu przez Niemcy wniosków z flirtu z Putinem polityka niemiecka jest wciąż ciągłością. Tak jak Merkel kontynuowała politykę kanclerza Gerharda Schrödera z SPD budowania aliansu z Kremlm – tak teraz prezydent Steinmeier, były polityk SPD i były sekretarz Schrödera, nagradza Merkel za kontynuację tego flitu z rosyjskim niedźwiedziem.

I trudno nie odebrać tego jako sygnału w kierunku Kremla – jesteśmy z wami, niczego się nie wstydzimy i czekamy na powrót do „business as usual” z Moskwą. A kobietę polityk, będącą symbolem tej doktryny aliansu z Kremlm, odznaczamy tak zaszczytnie, jak tylko możemy. Moskwo, czy ten sygnał zrozumiałas?

Nie wiem jak na Kremlu, ale w Warszawie ta demonstracja została zauważona. I nie wzmocni ona zaufania do polityki naszych sąsiadów zza Odry. ©©

PASZPORT W 15 MINUT

Na Lotnisku Chopina w Warszawie działa już punkt wydawania paszportów tymczasowych. Dzięki temu w razie np. utraty ważności paszportu, zagubienia lub kradzieży dokumentu nie trzeba będzie rezygnować z wakacyjnych planów. – Punkt jest podłączony pod wszystkie systemy, które umożliwiają wystawienie paszportu. Tu, na miejscu, obywatel będzie mógł także zrobić zdjęcie do paszportu. Cała procedura będzie trwała ok. 15 minut – ogłosił szef MSWiA Mariusz Kamiński. *(jap)*



POMÓŻ NAM POMAGAĆ

OSOBOM POKRZYWDZONYM PRZESTĘPSTWEM

FUNDACJA LEX NOSTRA

JAK MOŻESZ NAM POMÓC?

01

PRZEKAŻ NAM 1,5% SWOJEGO PODATKU

15% KRS: 0000365293

02

ODLICZ OD PODATKU DAROWIZNĘ
NR KONTA:

96 1090 2590 0000 5319 1533



"Od 2010 roku Fundacja LEX NOSTRA pomogła kilkudziesięciu tysiącom osób."

Pomóż nam pomagać!

Maciej Lisowski

Dyrektor Fundacji LEX NOSTRA

b. Asystent Marszałka Seniorsa Sejmu RP Kornela Morawieckiego



fundacja@lexnostra.pl



www.fundacja.lexnostra.pl



ul. Sienna 45 lok.5
00-121 Warszawa





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ikona z Putinem

Opowieść – powtarzam za Tatą – niemieckiego żołnierza, który w pewnym okresie wojny kwaterował w skonfiskowanym przez okupantów rodzinnym domu moich dziadków w Czerwińsku. Front wschodni, zima, zbliża się Boże Narodzenie. Zmarznięci Niemcy czekają z utęsknieniem na paczki świąteczne z kraju, bo wiadomo, czego się w nich można spodziewać: papierosów, czekolady, mleka skondensowanego, najbardziej pożądanых luksusów. Nagle uderza wieść, że pociąg z prezentami nie będzie: został zagarnięty przez jakiś ruski wypad. Pierwsza fala rozpacz i bolesnego wizualizowania sobie przez Niemców, jak krasnoarmiejcy obżerają się ich czekoladą, zamienia się

szybko w żądzę zemsty. Bolszewicy przecież, zauważa ktoś bywały, nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia jak normalni ludzie, tylko zamiast nich Nowy Rok. Więc do nich analogiczny pociąg będzie jechać tydzień później: zróbmy wypad, zagarnijmy go i będziemy z Iwanami kwita!

Jak uradzili, tak zrobili, zatrzymali ruski pociąg, przeprowadzili na swoją stronę, otworzyli i znaleźli – orderzy. Pełne wagony medali. Przeróżnych: trójkątnych, okrągłych, owalnych, przeważnie wielkich i z bardzo pstrokatymi wstążkami. I praktycznie nic prócz owych medali. Tata mówił, że Niemiec wciąż jeszcze miał tego niezłą przygarść i w przypiływach dobrego humoru dawał się nimi bawić wiejskiej dzieciarni.

Przypomniła mi się ta opowieść, bo w tym tygodniu obieży świat zdjęcia podarków, które otrzymali rosyjscy żołnierze zmobilizowani na ukraiński front: ikon z portretem Władimira Władimirowicza i zachętami, by zaność do niego supliki. Skądinąd wiadomo, że Putin nie dał swoim „mobikom” porządných gaci, nie mówiąc już o broni; że musieli zabierać swoim żonom i dziewczynom podpaski, z przeznaczeniem na zastępcze opatrunki osobiste, a bywało, że po kilka dni nie dojadali, bo prowianty za nimi nie nadążyły albo gdzieś po drodze uległy nagłej teleportacji w zupełnie inne regiony.

Ale ikony z Putinem – dali.

Rosja to stan umysłu. Dodajmy: niezmienny. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ambaras z Konstytucją

Wysokie Obcasy”, awangardowy tygodnik „Gazeta Wyborczej”, opublikował ciekawy wywiad rzucający mocny snop światła na „konstytucyjną” kampanię tego środowiska. Pani Nina Sankari, czołowa polska działaczka ateistyczna, wyjaśnia w nim wprost, że to nie jakiś brak praworządności, samowola władzy czy cokolwiek podobnego, ale przeciwnie – polska demokracja konstytucyjna i wynikające zeń rządy prawa stanowią w Rzeczypospolitej główną przeszkodę dla szerszej promocji ateizmu. Skarży się, że w Konstytucji żadnego „rozdziału Kościoła od państwa” nie ma, że przeciwnie – w art. 25

mamy „zapis o autonomii i wzajemnej niezależności państwa i Kościoła” oraz gwarancję, że (nad czym ubolewa) „każdy pogląd religijny czy światopogląd ma prawo być manifestowany w przestrzeni publicznej”.

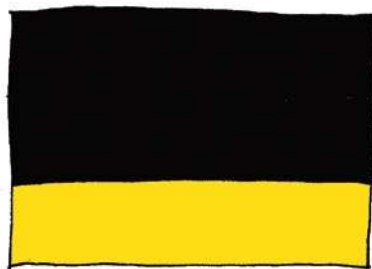
Pani Sankari ucziwie jednak wyjaśnia, że jej „laickie” ideały właściwie nigdzie – poza Francją – dobrej podstawy prawnej nie mają. Okazuje się więc, że cała europejska tradycja prawna jest do wymiany, a przynajmniej – do wygaszenia. U nas „musielibyśmy zmienić ustawę zasadniczą i wiele aktów”. Cóż, jak pisał Vincent Peillon – rewolucja francuska nie została jeszcze zakończona!

Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że wprawdzie pani Sankari jest orędowniczką odrzucenia tożsamości, historycznej zmiany, wyzwolenia, jak to mówią – bla, bla, bla, ale... jej własne stanowisko płynie właśnie z zakorzenienia, z dumnej wierności odziedziczonemu wychowaniu, wzmocnionej popolitym odruchem ksenofobicznym. „Jestem ateistką w trzecim pokoleniu [...], moje starsze rodzeństwo i ja chyba nie do końca rozumieliśmy, że może być inaczej. [...] Gdy w szkole zetknęłam się z poglądami religijnymi na funkcjonowanie świata, wydały mi się one śmieszne”.

I tak właśnie wygląda banalność (rzekomego) buntu. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Niemcy wygłcają ostatnie elektrownie atomowe



c e z e t y k r y d i s o r z



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bajka dla dorosłych

We Włoszech zjednoczone siły postępu ruszyły do walki z obskurantycznym prawem, które zabrania handlu dziećmi. Media przypominają baśń o cudownych przygodach tęczowej rodziny w Kalifornii. Opowieść snuje jeden z jej bohaterów Nichi Vendola, były gubernator Apulii, nazwany „Nichi” na cześć Nikity Chruszczowa.

Nichi i Kanadyjczyk Ed zakochali się w sobie bez pamięci, wzięli ślub w Kanadzie, zamieszkali w Apulii i postanowili zadbać o potomstwo. Jako że w Italii to prawnie niemożliwe, oblubieńcy wybrali się do kalifornijskiej Krainy Czarów, gdzie, jak wiadomo, wszystko jest możliwe.

Jako rzecz Vendola, gdy tylko bardzo wrażliwa młodzieńka Britney z Kalifornii dowiedzia-

ła się, z jak zacofanego kraju przybyli, natychmiast, w odruchu serca, podarowała im własne komórki jajowe. Zaraz potem w długiej kolejce ustawiły się kalifornijskie niewiasty, gotowe urodzić im dziecko. Wybór padł na Sharline. Dlaczego? Bo jej kuzynka właśnie urodziła dziecko parze gejowskiej i bardzo sobie to przepięknie doświadczenie chwali. Więc Sharline, kierowana również ciekawością, chciałyby doznać podobnych wzruszeń. Ujęła ich pytaniem, czy będą jej przysyłać relacje o tym, jak dziecko rozwija się i rośnie, i naturalnie zdjęcia, które chciałyby postawić sobie na komodzie.

Więc postanowili odpłacić się równie pięknym gestem: zapłacili jej równowartość rocznych zarobków, żeby

na czas ciąży i kilku miesięcy po porodzie mogła wziąć bezpłatny urlop. Sharline była bardzo wzruszona tą wielkodusznością, bo pozwoliła jej cały swój czas poświęcić dzieciom. Wraz z mężem dochowali się trojga.

Urodził się dorodny syn Tobiasz. Tęczowa rodzina od czasu do czasu odwiedza Kalifornię, by spotkać się z mamami Britney i Sharline. Wszyscy są bardzo szczęśliwi – zapewnia Vendola.

Tę opowieść o rozkoszach rodzenia dzieci innym, godną barona Munchausena i „Podróży Guliwera” razem wziętych, serwują Włochom bez cienia zażenowania i wątpliwości dwa najważniejsze dzienniki Italii – „Corriere della Sera” i „La Repubblica”. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

OFIARA REŻIMU

Jakoś tak się stało, że Tomasz Lis powoli, acz płynnie, przechodzi z sekcji „poważni dziennikarze” do sekcji „celebryci, którzy kiedyś byli kimś ważnym, a dziś już nie są”. Tak więc ostrzegam, że były naczelny „Newsweeka” zapewne będzie pojawiał się w tej rubryce coraz częściej. Do sedna. Niedawno Lis usłyszał zarzuty w związku z reklamowaniem napojów alkoholowych, czym według prokuratury złamał przepisy Ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Sprawa dotyczy reklamy wódek, brandy, whisky i likierów, zamieszczonej w dodatku do tygodnika „Newsweek”. Co ciekawe, prokuratura skierowała publicystę na badania psychiatryczne. To rzecz jasna nie mogło się Lisowi spodobać. „W związku z postawionym mi absurdalnym zarzutem i z faktem, że byłem leczony neurologicznie (cztery udary), pani prokurator skierowała mnie na obowiązkowe badania psychiatryczne. Oczywiście pójdę (nie wiem, czy będzie to świadczyło o zdrowiu psychicznym czy przeciwnie). Witamy w ZSRR” – napisał na Twitterze. Dyktatura!

DZIENNIKARZE
NA BADANIA

Nie wszyscy podzielają oburzenie Tomasza Lisa. Karolina Korwin-Piotrowska, kreująca się na „sumienie” polskiego show-biznesu, zwróciła uwagę, że „w sytuacji leczenia neurologicznego cztery udary to potężne obciążenie dla organizmu i mózgu też, badanie przez psychiatrę i psychologa, oczywiście biegłych, to obowiązek, a nie żadne ZSRR”. Dalej przekonuje, że „nie ma nic złego w spotkaniu z psychiatrą czy psychoterapeutą”. Dziennikarka nawiązała do oskarżeń o mobbing, które przyczyniły się do zakończenia pracy Lisa w „Newsweeku”. „A jeżeli ma się »retrometody pracy« i problem z wybuchami emocji, tym bardziej jest to potrzebne. Po latach w mediach uważam, że spora część dziennikarzy obowiązkowo powinna co jakiś czas przechodzić badania psychiatryczne. Bo to jest strasznie niszczący zawód” – dodała Korwin-Piotrowska w in-



FOT. TUDOR GOS/GET NEWS

stagramowym poście. No cóż, obserwując poczynania Tomka L., trudno się nie zgodzić.

MONIKA,
NIE ZAZDROŚĆ!

Zazdrość ludzka rzecz. A zazdrość o zawodowe powodzenie i rozpoznawalność (dla celebrytów szczególnie istotne jest to drugie) tym bardziej. Kiępsko, kiedy tej zazdrości nie potrafi się za bardzo ukryć, wylewa się z człowieka i robi się jakoś tak nieprzyjemnie... O co, a raczej o kogo chodzi? O Monikę Richardson, która dość sceptycznie – najdelikatniej rzecz ujmując – zareagowała na powrót Anny Popek do prowadzenia porannego programu TVP „Pytanie na śniadanie”. – Wróciła Anka do „Śniadania”? Dobrze, ona zawsze chciała to robić. Zawsze chciała tam wrócić, w tym sensie. Tak że fajnie, ale to nie jest moja telewizja, więc nie bardzo interesuje mnie, co się tam dzieje, jakie ludzkie przetasowania. Anna jest człowiekiem tamtej ekipy, więc rozumiem, że używają jej, jak chcą – stwierdziła Richardson, która sama w przeszłości była gospodynią popularnego programu.

Reporterkę Jastrzęb Post dopytała Monikę, czy ta kibicuje Popek. – Nie, dlatego że nie kibicuję TVP, więc nie kibicuję też Annie. Nigdy nie byłam jakoś blisko z Anią ani też nie mam nic przeciwko niej. Rozumiem, że robi to, co kocha w tej chwili – skwitowała eks Zbigniewa Zamachowskiego. Niby zazdrość ludzka rzecz, ale jednak też bardzo brzydka.

JAZDA NA PRIV

Kontynuując temat konfliktów. Paulina Smaszcz vel kobieta petarda opublikowała niedawno na Instagramie wideo, w którym oznajmiła fankom, że nie przejmuje się hejtem. Radziła obserwatorom, żeby poszły jej drogą i blokowały hejterów (czytaj: krytyków). Byłej żonie Macieja Kurzajewskiego dosadny komentarz pod postem zostawiła aktorka Laura Breszka. „Wbija pani szpilę na każdym kroku swojemu byłemu mężowi. W białych rękawiczkach, ale jednak jest to widoczne nawet dla ludzi, którzy nie znają pani wcale. [...] Jest pani zwyczajnie złośliwa, ale na pewno bardzo pewna siebie. Mega przerażający miks. Niestety za późno na to, żeby wyjść z tego z klasą. Zaprosiłabym panią na podcast, ale mogłoby się to źle skończyć” – napisała. I tu się zaczęła jazda bez trzymanki. Kobieta petarda wysłała Breszczę prywatną wiadomość, w której nazwała ją „głupią ci..ą”. Aktorka upubliczniła wiadomość. „Do głupich c..ek nie przychodzę na podcast. Brakuje ci talentu i edukacji. Też się b.ykałaś z Królikowskim, więc, jak widać, szmaczenie ci nieobce” – napisała Smaszcz. Rzecz jasna, Breszka nie zostawiła tego bez odpowiedzi. „Przyznaję, że niepotrzebnie skomentowałam post pani Smaszcz. Serio. Takich rzeczy nie powinno się robić. To była moja słabość. Żałuję, ale odpowiedź pani Smaszcz tak mnie zszokowała, że aż odpiszę publicznie (ze względu na blokadę). Pani petardo, przepraszam za prowokację i życzę powrotu do równowagi. Lowkuje, szmacząc się głupia c..ka bez edukacji i talentu. PS Ach i jedna rzecz, bo nie ukrywam, że to mnie zaintrygowało. Mianowicie słowo »też« w pani wypowiedzi” – stwierdziła kpiąco. No cóż, petarda wystrzeliła w kosmos i najwyraźniej nie zamierza się zatrzymać. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż postępowe korporacje coraz częściej składają raporty o zrównoważonym rozwoju, postanowiliśmy wdrożyć takie działanie również w naszym korpo. Mniej zorientowanym z was, którzy właśnie niedawno przeprowadzili się spod Sanoka do większego ośrodka, tłumaczymy: zrównoważony rozwój polega na ograniczeniu emisji szkodliwych gazów, wdrażaniu polityk równościowych, niedyskryminowaniu nikogo ze względu na cokolwiek i szeroko pojęte dbanie o planetę w zgodzie z normami. A więc wszystko to, czego nasze korpo pod krwawymi i despotycznymi rządami Nowego z Tarnowa wcale nie robi.

Zaproponowaliśmy więc, iżby na początek zwiększyć odsetek waginoosób na stanowiskach kierowniczych. Niestety, stanowisko kierownicze jest u nas tylko jedno i w dodatku zajmuje je Nowy, więc możecie sobie wyobrazić, iż nic z tego nie wyszło. Następnie zaproponowaliśmy, iżby zwiększyć udział waginoosób w strukturze naszego miejsca pracy, iż obecnie jest to 2:5, jednak zdaniem Nowego najłatwiej byłoby to zrobić, zwalniając dwóch z nas, iż i tak niczego nie sprzedajemy i jesteśmy skrajnie nieefektywni – of kors tylko jego zdaniem.

No i of kors z przyczyn ekonomicznych nie mogliśmy sobie

na to pozwolić, więc zachowując nasze miejsca pracy, poczuliliśmy się jak sługusy patriarchy, o co pewnie zresztą Nowemu chodziło.

Jako ostatnią rzecz zaproponowaliśmy redukcję gazów cieplarnianych, ale i tutaj Nowy uznał, iż możemy ewen-

gdzieś dodzwonić, iż wolna sobota jednak też prawem, nie towarem.

Jesteśmy, kochani, zaszokowani wstecznictwem i brakiem kulturowej i historycznej wrażliwości współczesnych mieszkańców Egiptu, którzy się obrazili na Netflix, iż ten w swojej produkcji sportretował osobokrólową Kleopatę jako osobę pigmentalnie uposażoną. Kiedy w końcu skończymy z kanonicznym trzymaniem się domniemanego wyglądu mitologicznych postaci? Przecież nauka wcale nie jest zgodna, czy taka królowa kiedykolwiek istniała, może wręcz być postacią na równi legendarną z osobosyreną Ariel, która również została przedstawiona w jednej z ostatnich produkcji jako osoba o karnacji ciemniejszej niż rasy kaukaskiej.

Nie może być tak, iż biały opresyjny patriarchy będzie sobie zawłaszczał prawa do portretowania każdej kobiecej postaci z baśni według kanonów obowiązujących dla rasy białej i dla tzw. chrześcijańskiego kręgu kulturowego.

A w szoku jesteśmy, tym bardziej iż mieszkańcy Egiptu, jako obywatele Afryki, powinni być na to szczególnie wyczuleni. A tymczasem okazuje się, iż nie są, a Egipt to takie Podkarpacie, tylko z piramidami i na pustyni. ☹☹

FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)



tualnie wstrzymywać oddechy między 12 a 12.15, a więc akurat wtedy, kiedy przypada nasza przerwa lunchowa na kiełki sushi – jak sami rozumiecie, nie mogliśmy sobie i na to pozwolić, iż jedzenie prawem, nie towarem.

Zapytaliśmy więc Nowego, co w takim razie będzie z raportem, a Nowy, iż jedyny raport, który go obchodzi, to raport sprzedażowy pakietów Internet + telefon + panele fotowoltaiczne + zdjęcie papieża i jeśli nie wypełnimy norm, to on nam zrobi taki zrównoważony rozwój, że będziemy w soboty nadrabiać zaległości sprzedażowe, no więc teraz siedzimy, jest godz. 23 i próbujemy się

Sławek, nie mogę. No nie mogę po prostu. Jak dziada widzę, to mnie cholera bierze.

Ale to jest dla wspólnego dobra. Jedność musicie pokazać.
Ja bym mu pokazał jedność. Kopa w du..

Weź się uspokój. Nigdy nie wiadomo, kto pod drzwiami słucha, nawet u ciebie w ratuszu.

Niby racja.

Weź to i wsadź sobie tutaj, na zęby. To przezroczyste jest, nie będzie widać.
Co to jest?

Taki stelażyk. Robisz tak – i cyk, gęba ci się sama śmieje, jakbyś zobaczył, że się Kaczor na bananie poślizgnął. Tylko to do zwrotu jest! Sam używam. ©©
Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Gęba się sama śmieje

Rafał, ale musisz się uśmiechać. Jak zejdziesz z Donkiem za kulisy, to już nie, ale póki was widać, to musisz. No nic ci nie poradzę.

OD RZECZY

„PiS chce nam zabrać możliwość wolnych wyborów i coraz bardziej odgradza nas od demokratycznego świata”.

PLATFORMA OBYWATELSKA, na oficjalnym koncie partii na Twitterze, zapraszając na Marsz 4 czerwca

Ogłaszamy alert dla Sejmu i okolic. Objawiła się nowa Anastazja P. Starsi może pamiętać historię Marzeny Domaros, która przedstawiając się jako arystokratka pracująca dla „Le Figaro” i „Le Monde”, brylowała w parlamencie na początku lat 90. Efekty swego brylowania opisała w głośnej książce „Pamiętnik Anastazji P. Erotyczne immunitety”. Anastazja miała słabość do mężczyźni uprawiających politykę, oni zaś mieli mieć słabość do niej, zwłaszcza że miała nie wzbraniać się przed ich awansami. Zatem sponsorem dzisiejszego odcinka jest literka „P”. Jak „pokusa”.

Oczywiście są pewne różnice. Nowa Anastazja P. nie przedstawia się jako arystokratka i nie jest (na razie?), w odróżnieniu od starej, zainteresowana politykami lewicy. Na razie bryluje wśród młodych obiecujących polityków prawicy, także tych piastujących funkcje ministerialne. No i efekty swoich fascynacji rozsyła w postaci zdjęć. Bo kto by tam dziś pisał książki? Nie ma też na imię Anastazja. Drugim sponsorem dzisiejszego odcinka jest więc literka „M”. Jak Małgosia, Marzena, ale niektórzy mówią, że najbardziej jednak jak Monika.

W rezultacie aktywnej działalności sentymentalnej panny M. cały Sejm plotkuje o fotografii przedstawiającej nagi tors pewnego polityka, gdyż pewne rzeczy w czasach komunikacji elektronicznej i smartfonowej potrafią rozprzestrzeniać się szybciej niż pożar w suchym stepie. Z tego, co wiemy, niektórzy nawet nie plotkują, tylko oglądają. No przecież trudno, żeby nam pokazywali, wcześniej sami nie oglądając.

Wieści o nowej Anastazji oraz same fotografie dotarły już na Nowogrodzką. Ale na razie nie wywołują większych emocji – gdybyście widzieli, co w kampanii ludziska z terenu wysyłają, też byście się nie emocjonowali. My po obejrzeniu fotek uważamy, że prawica ma powód do dumy – jej młodzi przedstawiciele mają torsy zadbane, umięśnione itd. Kadrowanie selfie też jest bez zarzutu. Nie wiemy tylko, czy żony i dzieci również będą dumne.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Bardzo lubimy kategorię „drobne złośliwości”. Z tego powodu dopisujemy na listę mistrzów w tej dziedzinie Stołeczną Estradę. Zasłużona instytucja zostaje przez nas wyróżniona za nagłośnienie imprezy pt. „Obchody 80. rocznicy powstania w getcie”. Dopóki przemawiały tak nieistotne osoby, jak prezydenci Niemiec, Izraela czy Polski, dopóty zgromadzeni nie mogli prawie nic zrozumieć. Dopiero gdy na scenie pojawił się Rafał Rafcio Trzaskowski, cudem z głośników popłynął krystalicznie wręcz czysty dźwięk. Do tego stopnia, że mieliśmy nawet wrażenie, że słyszymy sylaby, których Rafał nie wypowiadał.

Od razu wam może wytłumaczmy, komu to wszystko zawdzięczamy. Otóż jest w Warszawie jeden człowiek, którego nazwisko znają tylko wtajemniczeni, a utrzymuje się na swoim stanowisku dłużej niż ktokolwiek inny. Przeżył już trzech papieży, wszystkich prezydentów Polski od Wałęsy do Dudy. Wszystkich premierów III RP od Mazowieckiego do Morawieckiego i wszystkich wódatarzy Warszawy po obaleniu komunizmu. Imię jego – Andrzej Matusiak – szef Stołecznej Estrady. Dłużej od niego rządili jedynie Elżbieta II, Hirohito i Jan Paweł II. Ale nie w Polsce. W Polsce Matusiak jest absolutnym rekordzistą. Sam o rozgłos nigdy nie zabiegał. Ale zawsze wiedział kogo, gdzie i kiedy należy nagłośnić. Na

miejsu Donalda Tuska zadbalibyśmy o jego względy.

Propozycja Donalda Tuska. Z uporem maniaka wraca na targowiska, ale ostatnio zaszokował świat, dokładając do swych wystąpień opowieść o wielkiej miłości, jaką darzy Jana Pawła II. Niebo nie spadło mu na głowę, ale jest okazja, by miniony tydzień życia człowieka, który ukuł hasło „Platforma nie będzie klękać przed księdzem”, podsumować zdaniem: „Człowiek, który nie wie, jak kupić tanie pomidory, opowiada, jak drogi jest Polak papież”.

Donald Pomidor Tusk ogłosił, jak wiadomo, wielki marsz Eine Totalopposition 4 czerwca. Leniuszek. Po drodze były lepsze daty, choćby 1 albo 3 maja. Nie mówiąc o Dniu Europy – 9 maja. Ale potrzeba czasu na zorganizowanie autobusów, które przywiozą do Warszawy spontanicznie zbierających się demonstrantów.

Niektórzy zastanawiają się, dlaczego Donald Pomidor chce demonstrować akurat 4 czerwca. Czy chodzi o rocznicę wyborów z 1989 r. czy nocy teczek, kiedy młody Donek skwapliwie liczył głosy potrzebne do obalenia premiera Jana Olszewskiego? Mamy własną teorię. Otóż 4 czerwca to dzień urodzin byłego węgierskiego premiera Ferenca Gyurcsánego. Ów dzielny socjalista zasłynął ze szczerości, gdy opowiadał swym kamratom o własnym rządzie: „Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem” i „Nic nie robiliśmy w ciągu czterech lat. Nic”. Któż bardziej pasuje na patrona marszu Platformy?

Były wojewoda mazowiecki oficjalnie objął funkcję ambasadora Polski na Litwie. Zdarza się. Ludzie przychodzą i obchodzą. Ale odnotowujemy ten fakt, gdyż podaliśmy info o takich planach ładny szmat czasu temu. Więcej niż rok. Spotkało się to z nawałnicą dementi od wszystkich zainteresowanych stron. Co polecamy uwadze naszych czytelników, którzy czasem bywają zdezorientowani, słysząc burzliwe dementi po naszych innych informacjach. A poza tym – udanej majówki! Niech was omijają pomidorowi i paprykowi domokraczy!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ANEKA S.A. / DOKS

Przełomowa inwestycja rozwojowa w Porcie Gdynia

W Porcie Gdynia – po 100 latach od powstania jego idei i podstaw infrastruktury – realizowany jest obecnie ambitny program rozwoju. Pogłębienie toru podejściowego i akwenów wewnętrznych portu pozwoli Gdyni na awans do grupy portów mogących przyjmować wszystkie statki wchodzące na Morze Bałtyckie

Podstawowym celem inwestycji jest umożliwienie zawijania do Gdyni znacznie większych statków kontenerowych i masowych. Od kilkunastu lat armatorzy wzmagają swoisty wyścig we wzroście wielkości statków kontenerowych. Efektem nowego portu zewnętrznego w Gdańsku są coraz liczniejsze na Morzu Bałtyckim największe kontenerowce świata, a armatorzy zauważyli potencjał rozwojowy i potrzebują większej liczby miejsc do obsługi tak dużych statków.

Po zakończeniu prac do gdyńskiego portu będą mogły zawijać jednostki o maksymalnej długości do 400 m, szerokości do 58 m i maksymalnym zanurzeniu do 15 m. Przebudowane mają być 4 km Kanału Portowego i ok. 1,5 km nabrzeży.

STAN REALIZACJI

Pierwszym podstawowym zadaniem było powiększenie średnicy obrotnicy nr 2 – z 385 do 400 m. Dla zwiększenia bezpieczeństwa nawigacyjnego statków oraz zachowania odpowiedniej szerokości Kanału niezbędne było poszerzenie wejścia wewnętrznego (szerokość w dnie do 140 m), przebudowa ostrogi północnej oraz nabrzeża portowego z wygaszaczem falowania. Przebudowano też nabrzeża położone wzdłuż Kanału (Norweskie, Słowackie, Włoskie). Równolegle Urząd

Morski w Gdyni wykonuje prace na torze podejściowym do portu.

Kolejne elementy to trwające główne prace czerpalne na wszystkich wyznaczonych akwenach i przebudowa położonych wzdłuż Kanału Portowego nabrzeży – realizowane dla funkcji przeładunkowych dla kontenerowców i masowców. Łączny koszt wykonanych robót wyniósł już prawie 150 mln zł brutto.

Dotychczas zrealizowany zakres projektu umożliwia dzisiaj zawijanie statków o długości 366 m oraz zanurzeniu 13 m. Wcześniej statki te były przyjmowane tylko przy połowicznym wykorzystaniu pojemności. Efektem jest uruchomienie oceanicznych linii kontenerowych do Indii i Afryki. Stanowią one przyczynek do zrealizowania projektu do końca i osiągnięcia możliwości obsługi statków typowo oceanicznych, nawet do 20 tys. TEU i zanurzeniu do 15 m.

WSPARCIE UNIJNE

Inwestycja uzyskała dofinansowanie Unii Europejskiej, gdyż Port Gdynia jest formalnie położony w sieci bazowej korytarzy transportowych TEN-T. Dlatego pod koniec 2018 r. Zarząd Morskiego Portu Gdynia S.A. podpisał umowę dla projektu „Pogłębienie toru podejściowego i akwenów wewnętrznych Portu Gdynia – Etapy I i III oraz przebudowa nabrzeży w Porcie Gdynia – Etapy II i III” (nr umowy POIS.03.02.00-

00-0070/18-00), dotyczącego robót wewnątrz portu. Natomiast za pogłębienie toru podejściowego (etap II) odpowiedzialny jest Urząd Morski w Gdyni, będący oddzielnym beneficjentem.

Całkowita wartość projektu Zarządu Morskiego Portu Gdynia S.A. wyniosła niemal 560 mln zł brutto, a wysokość dofinansowania ustalona została na 273 mln zł. Dodając zakres inwestycji Urzędu Morskiego, kwoty te osiągnęły wartości ok. 650 mln zł brutto i dofinansowania ok. 350 mln zł.

Gigantyczna inwestycja to kilkuletni proces przygotowań oraz niemożliwych do przewidzenia, w normalnej praktyce prowadzenia inwestycji, zmian i utrudnień formalnoprawnych, powodujących opóźnienia terminowe i wzrost kosztów w stosunku do pierwotnych kosztorysów inwestorskich. Na cały proces nałożył się jeszcze okres zupełnego rozchwiania rynku logistyki materiałów budowlanych i dostępności kadr przez pandemię SARS-CoV-2 (lata 2020–2021) oraz wojnę w Ukrainie.

W związku z tym trwa procedowanie dotyczące podpisania aneksu do umowy o dofinansowanie, zwiększającego całkowitą wartość projektu do kwoty ok. 900 mln zł brutto oraz przedłużającego termin rzeczowego wykonania projektu do IV kwartału 2025 r.

Realizacja, ze wsparciem funduszy unijnych, projektu dot. Pogłębiania Portu Gdynia umożliwi zawijanie do gdyńskiego portu statków kontenerowych, obsługujących bezpośrednie połączenia oceaniczne z całym światem oraz statków masowych w międzynarodowym transporcie ładunków agrokultury czy zaopatrzenia surowcowego.

Nim zaszumie las

Polska jest europejskim liderem w produkcji sadzonek, z których wyrośnie las. Każdego roku w szkółkach w naszym kraju hoduje się ich ponad 712 mln, podczas gdy w pozostałych krajach europejskich od 10 do 100 mln sadzonek. Wiosna to dla leśników najgorętszy okres w roku

Początkiem przygody sadzonek na szkółce leśnej jest wiosenny wysiew nasion większości gatunków drzew i krzewów. W Lasach Państwowych hodowla sadzonek jest prowadzona w szkółkach działających w nadleśnictwach. Najwięcej – 8 mln rocznie – produkuje szkółka w Nędzy, zlokalizowana w Rudach Raciborskich.

ZIARNKO DO ZIARNKA

Zanim jednak wyhoduje się sadzonki, trzeba pozyskać nasiona. Ich zbiór jest nie tylko mozolny, lecz także czasem niebezpieczny. Prace te wykonuje się jesienią i zimą, zgodnie z terminem dojrzewania nasion poszczególnych gatunków. Na jesienne zbiory rusza się m.in. pod buki i dęby. Natomiast zima to czas, kiedy z drzew są zrywane szyszki drzew iglastych.

Dobór drzew, z których pozyskiwane są nasiona, oraz ich wysiew zostały obwarowane restrykcyjnymi przepisami prawa krajowego, unijnego oraz wewnętrznymi zarządzeniami Lasów Państwowych. Te wielopoziomowe zapisy mają na celu kontrolowanie procesu pozyskania materiału do siewu. Ważne jest, aby do wyhodowania sadzonek nie wykorzystywać nasion niewiadomego pochodzenia. Nie mogą być także przewożone z jednego krańca Polski na drugi. Ich dystrybucja odbywa się według ściśle ustalonych zasad regionalizacji. Polska została podzielona na specjalne regiony nasienne dla każdego z głównych gatunków drzew leśnych, w których obrębie można przewozić sadzonki i nasiona. Ma to na celu ochronę lokalnych populacji, najlepiej dostosowanych do warunków, w jakich żyją od tysięcy lat.

Najprostszym sposobem pozyskania nasion jest zbieranie ich spod drzew. Na szczęście nie trzeba wybierać ich ręcznie spomiędzy roślin runa leśnego. Nasiona dębów albo buków spadają na rozłożone pod koroną płachty materiału lub siatki, z których łatwo się je wybiera. Szyszki drzew iglastych zrywa się z gałęzi ściętych drzew lub – w przypadku najcenniejszych drzewostanów – z drzew żywych, stojących. I tutaj do akcji wkraczają arborysty, którzy używając odpowiedniego sprzętu, wspinają się na czubki masztowych sosen czy jodeł. Akcja ta określana jest jako „szyszkobranie” i odbywa się z udziałem specjalistów, gdyż praca w koronach masztowych sosen jest niezwykle trudnym i niebezpiecznym zadaniem. Dzięki ich pracy udaje się zebrać znaczne ilości szyszek – np. 4,7 t, jak w Nadleśnictwie Zwierzyniec w 2021 r.



wysiać ręcznie, rozsypując je równomiernie po całej powierzchni lub sięjąc w wyciśnięte w glebie rowki. Dla dużych partii stosuje się specjalistyczne siewniki przyczepiane do ciągnika. Siew musi być cały czas kontrolowany, gdyż nie może być ani za rzadki, ani za gęsty.

W przypadku wysiewu mechanicznego sprawdza się na małej partii nasion, czy siewnik ma ustawioną odpowiednią dawkę. Dla poszczególnych gatunków drzew są ustalone normy, ile nasion musi się znaleźć na 1 mkw. powierzchni zagonu, żeby sadzonki miały najkorzystniejsze warunki do wzrostu. Dla sosny zwyczajnej jest to ok. 600 nasion na mkw., a dla dębu szypułkowego – 300 żółędzi na jeden m kw.

Po wysiewie, w zależności od wielkości, należy przykrywać lub delikatnie przykryć je warstwą ziemi o odpowiedniej grubości. Obsiane zagony przykrywa się matami, by zapewnić odpowiednią wilgotność oraz zabezpieczyć przyszłe siewki przed słońcem i wymywającym ulewnym deszczem.

Teraz wystarczy tylko poczekać. Szkółkarstwo jest tą częścią leśnictwa, w której efekty pracy widać bardzo szybko. Jeśli wszystko się udało, to z ziemi zaczynają się wyłaniać poszczególne siewki, po czasie tworząc gęsty dywan lub zielone rzędkie.

WIELKIE SADZENIE

Sadzonki do opuszczenia szkółki najczęściej są gotowe wiosną. Przykładowo w tym roku szkółka Nadleśnictwa Trzcianka wypuści w las 3 mln 700 tys. sadzonek.

Proces pozyskania sadzonek jest prosty, ale wymaga dobrej logistyki. W momencie gdy ziemia już rozmarznie, a leśniczowie i leśnicze podejmą decyzję o rozpoczęciu sadzenia, dają znać szkółce leśnej, żeby przygotowała odpowiednią partię młodych drzewek. Sadzonki wyorywuje się specjalistyczną maszyną ciągniętą przez traktor, której stopa zanurza się w glebę pod korzenie drzewek i jednocześnie – poruszając się w górę i w dół – dosłownie wytrzepuje sadzonki na powierzchnię ziemi.

Następnie są zbierane i sortowane. Wszelkie uszkodzone lub za małe są odrzucane i trafiają na kompost. Sadzonki zgodne z normą jakościową

są liczone i, w zależności od gatunku drzewa i rozmiaru, pakowane w skrzynki po 1–1,5 tys. sztuk lub pęczkowane po 25 lub 50 sztuk.

Sadzonki są delikatne i łatwo przesuszają. Po tak długim i pracochłonnym procesie należy zadbać o bezpieczeństwo drzewek już po opuszczeniu szkółki. Wiotkie korzenie drzewek mogą być zabezpieczone specjalnym żelem chroniącym przez wysychaniem i będącym dodatkowym magazynem wilgoci na czas startu w leśnych ostępach. Należy też pamiętać, że takie młode drzewka dla leśnych zwierząt są prawdziwym rarytatem i bez odpowiedniej ochrony zostaną szybko skonsumowane. Można je od razu zabezpieczyć specjalnym środkiem zniechęcającym zwierzęta do ich zgrzyzania.

Rok 2022 w lasach był urodzajny dla jodły i buka. Przykładowo: do przechowania w Leśnym Ośrodku Nasiennym Nadleśnictwa Dukla trafiło ponad 18 t nasion buka i 13 t szyszek jodłowych do wyłuszczenia

Dobrej jakości szyszki drzew iglastych wysyła się do wyłuszcarni, czyli miejsc, które specjalizują się w ich obróbce. Traktowane są tam suchym i gorącym powietrzem (w temperaturze od 40 do 60 st. C), dzięki czemu się otwierają i wysypują się z nich nasiona. Ze 100 kg szyszek sosnowych otrzymuje się tylko ok. 1 kg nasion. Część jest wykorzystana na bieżące potrzeby, inne trafia do przechowalni. Trzeba przewidzieć zapotrzebowanie na parę lat do przodu, by zawsze mieć odpowiedni ich zapas. Przykładowo w 0,5 kg olchowych nasion kryje się 560 tys. sztuk (!).

SPOSÓB NA SIEW

W zależności od gatunku drzewa lub krzewu oraz ilości nasion do wysiania stosuje się różne techniki. Małe ilości na wydzielonej powierzchni zagonu można

Przygotowane do transportu i sadzenia drzewka czekają z korzeniami przysypanymi ziemią lub w skrzynkach. Zakłady usług leśnych zajmujące się sadzeniem lasu potrafią odebrać po kilkadziesiąt tysięcy sadzonek naraz. Nie ma co się dziwić, bo do obsadzenia jednego tylko zrębu sosnowego, czyli miejsca, gdzie stary las został wycięty i ustąpił miejsca młodemu, potrzeba nawet 35 tys. sadzonek sosny i 4 tys. sadzonek brzozy.

Czas, temperatura, wilgotność i odpowiedni wybór drzewek przez doświadczanego leśnika wyłonią z tej gęstwiny osobniki, które będą stanowiły właściwy drzewostan przez dziesięciolecia, tworząc kolejne pokolenie lasu. Ale to już pieśń przyszłości. Natomiast w szkółkach wszystko zaczyna się od nowa – cykl powtarza się co rok, od wiosny do wiosny.

Czy konfederaci staną się trzecią siłą polityczną, czy to oni zadecydują o tym, kto obejmie władzę po jesiennych wyborach? Czy to ich ugrupowanie zdominuje wyobraźnię tych Polaków, którzy wchodzą dopiero w wybory? Trzeba przyznać, że konfederaci umieli wykorzystać swój krótki skok w górę. Można się spierać, czy nagłośnienie ich rzekomego wzrostu popularności było zamiarem „Gazety Wyborczej”, która postanowiła postraszyć polityków opozycji niekwestionując się do jednej listy pod wodzą Donalda Tuska wizję konfederatów jako gwarantów trzeciej kadencji PiS. Nawet jeżeli tak było, to fala zainteresowania Konfederacją zarówno w polityce Platformy, jak i PiS spowodowała reakcję, którą powszechnie uznano za próbę ucieczki do przodu w postaci podchwycenia pewnych haseł partii Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka. Donald Tusk bez mrugnięcia okiem odsuwa na bok swoje dawne obietnice socjalne i zaczyna przypominać o wolnorynkowych korzeniach swojej partii. Z drugiej strony PiS, który jakby reagując na ukraiносceptycyzm konfederatów, robi wszystko, aby przekonać rolników, że potrafi zablokować wyciek ukraińskiego zboża na polskie rynki.

NOWI KINGMAKERZY

Wszystko to sprawiło, że konfederaci nabrali pewności siebie i zaczęli z dużą wiarą w swoją przyszłą mocną pozycję rozdzielać klapsy i prztyczki między dwóch dominujących graczy polskiej sceny politycznej. Wypowiedzi typu: „Jeśli PiS będzie chciał nas wziąć do koalicji, to najpierw będzie musiał odejść Morawiecki” czy „Nie zrobimy nic, aby ułatwić Platformie dojście do władzy” były naturalnym polem dla wykazywania, że Konfederacja jest w wygodnej sytuacji, którą w anglosaskiej terminologii politycznej nazywa się pozycją „kingmakera”. Kogoś, kto może, lecz nie musi, zadecydować, kto obejmie władzę.

Ten status „mogę, ale nie muszę” wzmacniały jeszcze dodatkowo deklaracje Mentzena, że tak naprawdę jego ugrupowanie nie przywiązuje szczególnej wagi do jesiennego politycznego rozdania kart, bo po cichu myśli raczej o rozdaniu za cztery lata, w 2027 r., do którego to terminu Konfederacja ma stać

Ile potrwa ich „pięć minut”?



Piotr Semka

Dotarcie do najmłodszych wyborców nie jest gwarancją na trwałe usytuowanie się wśród rozgrywających na scenie politycznej. Najbliższe miesiące kampanii wyborczej będą testem dla Konfederacji – czy jest w stanie przejść od fazy partii rzucającej wyzwanie duopolowi do roli skutecznego, ale i dojrzałego gracza

się partią na tyle silną, by myśleć o samodzielnym przejęciu władzy.

Ten pewny siebie ton przypominał mi inne ugrupowanie, które wierzyło, że zaatakuje chwytających się dominatorów sceny politycznej na początku lat 90. zeszłego wieku. Była to zapomniana dziś zupełnie Konfederacja Polski Niepodległej. To ugrupowanie z ładną opozycyjną kartą w 1991 r. w Sejmie I kadencji na czele z Leszkiem Moczulskim wprowadziło do Sejmu 51 posłów. I wówczas Moczulski także był przekonany, że bez oparcia się na Konfederacji żadna sejmowa koalicja się nie uda.

Politycy KPN zapowiadali wówczas polityczną ewolucję, która miała wynieść ich do władzy. W myśl tej opowieści po komunistach, którzy kompromitowali się, przegrywając wybory w 1989 r., do władzy doszła generacja wywodząca się z ruchu Solidarności, która oto właśnie na oczach wszystkich kompromitowała się, mając problemy z wyzwaniem transformacji. I oto po skompromitowanych komunistach i niedających sobie rady „solidaruchach” do władzy mieli wreszcie dojść konfederaci, którzy mieli być twórcami rozkwitu Rzeczypospolitej.

Wystarczyły jednak dwa lata, by KPN przeżyła bardzo poważny wewnętrzny

kryzys. W kolejnym Sejmie z 1993 r. miała już tylko 22 posłów, którzy nie odgrywali już żadnej specjalnej roli. A sam Leszek Moczulski ścigany oskarżeniami o bycie tajnym współpracownikiem SB stracił popularność.

ILE RAZY GRANO TĘ PIOSENKĘ

Gdy przyglądałem się temu festiwalowi dobrego samopoczucia panów Mentzena, Bosaka i Winnickiego, przypominało mi się inne pięć minut zainteresowania. Chodziło o łódzki zespół rockowy Cool Kids of Death. Ta grupa przyciągnęła uwagę publicystów, analityków i socjologów w 2001 r., lansując piosenkę „Butelki z benzyną i kamienie”. Jej początek głosił: „Hej, człowieku w pierwszym rządzie / Panie decydencie z agencji reklamowej / Hej, panie menadżerze z MTV prezenterze / Słynna dziennikarko / Mamy butelki z benzyną i kamienie wymierzone w Ciebie! / Mamy butelki z benzyną i kamienie wymierzone w Ciebie! / Wymierzone w Ciebie!”.

Jeśli ktoś ma ochotę posprawdzać, to może zobaczyć, ile hałasu wywołała ta piosenka. Poważne, siwe profesorskie głowy przedstawiały zespół Cool Kids of Death jako trybunów nowej epoki, w której nowa generacja wywoła coś na kształt

rewolty 1968 r. Wskazywano, że młodzi mają dosyć liberalnego wyścigu szczurów, że lada moment dojdzie do erupcji generacyjnego gniewu, a łódzcy muzycy mieli być wkrótce najpopularniejszą grupą młodych gniewnych. Cool Kids of Death pograli jeszcze blisko dekadę i ok. 2012 r. rozplynęli się wśród wielu innych kandydatów na muzyczne gwiazdy.

To kojarzenie Konfederacji z chwilowym zamieszaniem wokół buntowniczej kapeli jest oczywiście wyrazem mojej publicystycznej przekory. Ale jest też przypomnieniem, jak bardzo w planowej polityce liczą się ciężka praca i długotrwałe opieranie się na potrzebach elektoratu, a nie bazowanie na jednym czynniku powodzenia lub dwóch. Bo jeśli przyjrzyć się ostatniej fali zainteresowania Konfederacją, to widać, że jest to dzieło zasadniczo jednej osoby – Sławomira Mentzena. Sam dwa miesiące temu zwracałem uwagę na to, że potrafił on bardzo sprawnie wylansować Konfederację na Facebooku, na YouTube, na TikToku. Komplementowałem jego zdolność do bardzo spójnych i przekonujących wypowiedzi, które doskonale trafiają do wyobraźni młodych między 18. a 30. rokiem życia.

Ale jak każde cudowne dziecko im bardziej wychodzi ono z cienia na czoło polityki, tym bardziej media wyciągają rozmaite wypowiedzi z przeszłości, które nie były najszcześniejsze, czy zadając takiej nowej gwiazdce coraz bardziej docieklawe pytania. Przemija wreszcie także efekt nowości. Coś Mentzenowi mógłby powiedzieć na ten temat Szymon Hołownia. On też w latach 2017–2019 miał fazę, kiedy jego deklaracje o rozbiściu duopolu PO-PiS i stworzeniu nowego modelu polityki były przyjmowane z zaciekawieniem i zainteresowaniem.

KIEDY WRÓCI GRZEGORZ BRAUN

Podstawowe pytanie brzmi jednak: Czy Mentzen potrafi być długodystansowcem? I tu już pewności specjalnej nie mam.

Po pierwsze, ten bardzo sprawny polityk z Torunia zasłonił swoją osobą zarysowujący się od roku kryzys Konfederacji. To nie jest przypadek, że od paru miesięcy wskutek czy to umowy, czy to jakichś form nacisku Konfederaci usunęli w cień Grzegorza Brauna. Jego prorosyjskie wystąpienia nawet ukrainosceptycznym konfederatom wydały się obciążeniem.

Ale za chwilę przyjdzie moment prawdy. Okaże się, czy Braun zostanie umieszczony na listach Konfederacji. To samo pytanie dotyczy Janusza Korwin-Mikkego. Czy Mentzen i Bosak wpiszą go na czołowe miejsca na swoich listach? Jeśli tak, to obaj dżentelmeni wrócą do swojego ulubionego hobby – wyskakiwania z wypowiedziami, z których potem konfederaci muszą się gęsto tłumaczyć.

Mało kto przypominał ostatnio też konfederatom, że metody rozwiązywania wewnętrznych konfliktów nie są w ich wypadku specjalnie budujące. Niedawna awantura liderów „Konfy” z Robertem Bąkiewiczem o władzę nad stowarzyszeniem Marsz Niepodległości przypominała incydenty, które ubarwiały działalność partii prawicy w latach 90. Zajmowanie przy pomocy wynajętych firm ochroniarskich lokalu, wymiana zamków, wzajemne oskarżenia o włamanie i „kradzież” aktywów – to wszystko nie świadczy zbyt dobrze o ugrupowaniu Bosaka i Mentzena.

KTO DORADZA „KONFIE”?

Kolejny problem Konfederacji to brak jakiegos wyraźnego zaplecza eksperckiego. Nie słychać o istotnych nazwiskach, które mogłyby wesprzeć merytorycznie tę partię w razie wejścia jej do poważnej polityki. Jest to ugrupowanie nieposiadające żadnego wyrazistego medium, w którym można byłoby przeczytać bardziej zaawansowane teksty dotyczące rozwiązania wszystkich tych problemów, na które wskazują liderzy Konfederacji.

Podstawowe pytanie brzmi jednak: Czy Mentzen potrafi być długodystansowcem? I tu już pewności specjalnej nie mam

Owszem, udało im się dotrzeć do młodych ludzi króciutkimi 50-sekundowymi filmikami, a duet Mentzen-Bosak bardzo dobrze daje sobie radę w rozmaitych „politycznych kawach” i magazynach niedzielnych, ale to ciągle za mało, aby pasować Konfederację na partię o jakimś zdecydowanym i rozwiniętym programie politycznym.

Mam oczywiście świadomość, że polityka zawsze opiera się o łut szczęścia. Że bardzo często paliwem politycznej kariery jest zmiana nastroju – dojście do głosu nowej generacji z nowymi priorytetami i innym spojrzeniem na wiele spraw. To oczywiście szansa Konfederacji. Z tego też powodu tak wiele łączy młodych działaczy Konfederacji z młodymi działaczami partii Razem. Oba te ugrupowania nie ukrywają, że mają dosyć dziadków i boomerów.

Gdy niedawno działaczka partii Razem Paulina Matysiak ochrzaniała traktowanego do niedawna jako patriarchę Lewicy Jacka Żakowskiego, była widoczna w tej polemice różnica generacyjna. I to samo wychodzi na jaw, kiedy Sławomir Mentzen wyszydza Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska, że są oni starsi nawet od jego rodziców. Tyle że dotarcie do najmłodszych wyborców nie jest gwarancją na trwałe usytuowanie się wśród rozgrywających na scenie politycznej. A PiS wyszedł już z pierwszego zaskoczenia wzrostem notowań Konfederacji i ustami swego sekretarza generalnego Krzysztofa Sobolewskiego wyraźnie deklaruje: „Walczymy o samodzielną większość”.

Te bardzo buńczuczne wypowiedzi Mentzena i Bosaka na temat przyszłej roli Konfederacji jako jęczyczka u wagi politycznych targów mają zresztą swoje konsekwencje. Zarówno w obozie PiS, jak i w obozie Platformy pojawiają się już głosy, które wyraźnie zapowiadają, że nikt konfederatom roli rozgrywającego nie będzie dawał na tacy. Oczywiście Mentzen i Bosak mogą powiedzieć, że dwa wielkie słonie polskiej polityki mogą dziś zaklinać się na wszystkie świętości, że nie potrzebują do niczego jesienią Konfederacji, ale sama sytuacja polityczna po wyborach zmusi ich do przeproszenia się z ich ugrupowaniem. Ale to będzie miało miejsce za ponad pół roku. Najbliższe miesiące kampanii wyborczej będą testem dla Konfederacji – czy jest w stanie przejść od fazy partii rzucającej wyzwanie duopolowi do roli skutecznego, a także dojrzałego gracza. Na razie sondaże pokazują, że szczyt możliwości „Konfy” to 12 proc. A są już badania pokazujące dużo gorsze wyniki. 20 kwietnia ukazało się badanie Social Changes dające Konfederacji tylko 7 proc. Zobaczymy, czy ugrupowanie Mentzena wyskoczy poza ten wynik.



Rafał A. Ziemkiewicz

Konfederacji nie wystarczy dobry wynik: musi jeszcze przejść stress test, czyli oprzeć się z jednej strony próbom przekupienia przez większe partie części jej działaczy, z drugiej zaś – użyciu przeciwko liderom „haków” na nich samych i ich bliskich

Wizja przyszłego Sejmu, w którym ani PiS, ani PO, nie będą w stanie zbudować większości sejmowej bez Konfederacji, obu tych politycznych plemion, najdelikatniej mówiąc, nie wprawia w entuzjazm. Przy czym po stronie lewicowo-liberalnej ten brak entuzjazmu jest znacznie większy. To zrozumiałe: do roku 2025 w Belwederze będzie Andrzej Duda, więc, po pierwsze, możliwe są mniejszościowe rządy PiS, a po drugie, nawet spójna i dobrze prowadzona większość lewicowo-liberalna niewiele będzie mogła. Takiej zaś koalicji, spójnej i dobrze prowadzonej, nie bardzo można się spodziewać. Lewica już zapowiada, że w opisanej na wstępie sytuacji dążyć będzie do jak najszybszych przyspieszonych wyborów (w których rzeczywiście mogłaby zyskać, kosztem PO), zresztą nawet gdyby partiom lewicowo-liberalnym udało się uciułać 231 mandatów, dzisiejsze chochole tańce wokół „jednej listy” czynią realnym scenariusz, w którym i wtedy dochodzi do przyspieszonych wyborów jeszcze za kadencji Andrzeja Dudy i skompromitowany, skłócony anty-PiS znowu traci większość.

Natomiast dla PO i jej akolitów zarówno trzecia kadencja w opozycji, jak i konieczność poważnego liczenia się z politykami, których przez lata odsądzała od czci i wiary jako bardziej pisowskich od samego PiS „faszystów”, w najlepszym razie kompletnie lekceważyla, to perspektywy zupełnie nieakceptowalne, szokujące. Szczególnie wstrząśnięte wydaje się nimi medialno-eksperckie zaplecze liberalnej lewicy, wszystkie owe „autorytety”, które przez osiem lat zdołały ocalić w sobie wiarę, że



wbrew arytmetyce politycznej cieszą się jako „siły demokratyczne” niepomnień większym społecznym szacunkiem niż popierana tylko przez wiochę i roszczeniową ciemnotę „prawica” – a już zwłaszcza młodzież stoi za nią, demokracją i postępowym murem. Wyrośnięcie sojuszu znienawidzonych narodowców z wykipowanymi korwinowcami na rozgrywających w parlamencie, i to wskutek zdobycia przez nich serc młodych wyborców, to dla „ludzi rozumnych” coś, jakby im niebo spadło na głowy.

FESTIWAL WYPARCIA

W takich sytuacjach pierwszą i najsilniejszą reakcją, zgodnie z powszechnie znaną teorią straty prof. Kübler-Ross, jest zaprzeczenie. Od chwili, gdy „Gazeta Wyborcza” uświadomiła swemu obozowi nową sytuację, zupełnie niechcący, bo chodziło jej przecież o zmuszenie „społecznym sondażem” mniejszych partii lewicowo-liberalnych do podporządkowania się Tuszkowi, mamy w tych środowiskach istny festiwal wyparcia. Najczęściej racjonalizowanego twierdzeniem, że młodzi ludzie zwyczajnie dają się zwieść pozorom, oszukają, że w istocie nie wiedzą, czym Konfederacja jest naprawdę, i wystarczy skierować posiadaną medialną potęgę na demaskowanie Bosaka i Mentzena jako „prawicy”.

Jak bardzo mylą się w tym TVN-owskie „autorytety”, powinno im było uświadomić ogłoszone właśnie teraz, jak na zamówienie, badanie „Polityczny portret młodych Polaków 2023”, które polskie przedstawicielstwo niemieckiej Fundacji Konrada Adenauera zleciło pracowni Indicator. Badanie to pokazuje przede wszystkim, że dla większości Polaków pomiędzy 18. a 30. rokiem życia pojęcia „prawica” i „lewica” są pustym dźwiękiem – co nie oznacza bynajmniej braku zainteresowania polityką, udział w wyborach deklaruje ponad 70 proc. badanych, ale swoją polityczną tożsamość budują oni w oderwaniu od tego podziału. Miesząc w niej poglądy przypisywane tradycyjnie jednemu lub drugiemu obozowi politycznemu, statystycznie jednak duża jest popularność poglądów kojarzonych z prawicą. Większość młodych jest np. przeciwko liberalizacji aborcji, „małżeństwom” jednopłciowym, Unii Europejskiej (jeśli za miarę zaufania do niej przyjąć poparcie dla przyjęcia europejskiej waluty), pomaganiu „uchodźcom”, za zwiększaniem wydatków na obronność etc. Nie miejsce tu na dokładne omawianie tego badania, ale jeśli nałożyć je na osie komunikacyjne Konfederacji, to wiadać od razu, że Mentzen i Bosak nikogo nie zaczarowali i nie oszukali, tylko po prostu dotarli do młodych Polaków z przekazem, którego ci oczekiwali.

Sławomir Mentzen (na zdjęciu) i Krzysztof Bosak nikogo nie zaczarowali i nie oszukali, tylko po prostu dotarli do młodych Polaków z przekazem, którego ci oczekiwali. FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS



jak pierwszą koalicją PSL-SLD de facto rządziła ta pierwsza partia, teoretycznie znacznie słabsza, bo dzięki poparciu rządu Jana Olszewskiego Waldemar Pawlak zdołał otworzyć sobie drogę do przekroczenia podziału między postkomunistami a post-Solidarnością. Ten ostatni przykład jeszcze nam się zresztą przyda.

ROSNĄCY PROFESJONALIZM

O tym, że Konfederacja ma realną perspektywę decydowania w następnym Sejmie o tym, kto będzie sprawować władzę, pisałem już ponad rok temu i już wtedy nie było to niczym odkrywczym. Zaraz potem wybuchła jednak wojna na Ukrainie i sondażowe wyniki Konfederacji, która w kwestii stosunku do Ukrainy rozminęła się z nastrojami społecznymi, spadły do wartości jednocyfrowych. To, co widzimy teraz, nie jest więc tak naprawdę sytuacją nową, tylko powrotem do sytuacji sprzed wojny, wtedy przez medialny mainstream prześlępionej.

Mniejsza w tej chwili o spór, czy „ukrainosceptyczna” retoryka przestała Konfederacji szkodzić, bo Polacy zaczynają być kosztami pomagania Ukrainie zirytowani czy dlatego, że po prostu sprawa się po roku „uleżała” i przestała należeć do politycznych „topics”, kwestii, podług których wyborcy podejmują decyzje. Osobiście sądzę, i zresztą dawałem już temu wyraz na naszych łamach, że odpowiedź leży w umiejętnym wkomponowaniu „ukrainosceptyzmu” w ideową ofertę partii. Nazwałem ten proces „macierewiczacją Grzegorza Brauna”, bo właśnie PR-owskie „schowanie” Macierewicza przez PiS w roku 2015 uważam za modelowe rozwiązanie problemu, jak wykorzystać na użytek szerszej formacji przywódcę radykałów, zarazem zapobiegając odstraszeniu przez jego radykalizm wyborców umiarkowanych. Wygląda na to, że wyśmiewana przez lewicowo-liberalne media Konfederacja wykazała się daleko większym profesjonalizmem niż PO, której jedną z głównych przyczyn niepowodzenia jest niemożność zapanowania nad radykałami, przez co jej wizerunek publiczny i narrację od lat określają w oczach wyborców osoby w rodzaju „babci Kasi” czy Marty Lempart.

To nie jest jedyny dowód rosnącego profesjonalizmu wschodzącej formacji. Duet Mentzen-Bosak z Winnickim w tle i radykalną grupą Brauna w kuluarach

wskazuje, że politycy „ideowej prawicy” (jak sami się lubią nazywać) nauczyli się zasad politycznego marketingu, który każdemu organizować ugrupowanie polityczne jak swego rodzaju orkiestrę, gdzie każdy z liderów gra dla innego segmentu elektoratu. Innym przejawem krzepnięcia sił Konfederacji było stosunkowo bezbolesne przejście przez wewnętrzny konflikt pomiędzy Nową Nadzieją Mentzena a Wolnościowcami Dziambora.

PRAWDZIWY EGZAMIN

Reasumując: po pierwsze, Konfederacja nie jest efemerydą, ma swoje zakorzenienie w zaświadczeniach przez badania socjologiczne nastrojach społecznych. Jej elektorat jest wciąż niszowy, ale wystarczający, by myśleć o 40-osobowym klubie poselskim, co w politycznej praktyce oznaczać będzie „pakiet kontrolny” przyszłego Sejmu. Jednocześnie, po drugie, partia na tyle się sprofesjonalizowała, a wzrost jej popularności budzi na tyle bezmyślne i histeryczne reakcje zasiedziały uczestników politycznej gry, że wykorzystanie szansy wydaje się w pełni realne. Jak ją Konfederacja wykorzysta, to osobne pytanie. Sympatyzujący z konfederackimi radykałami prof. Adam Wielomski pisał niedawno, że jej historyczną misją jest zmusić PO i PiS do zawarcia koalicji, która ostatecznie oba te polityczne plemiona skompromituje, co otworzy drogę do generalnej przebudowy polskiej sceny politycznej. Mnie osobiście bardziej realistyczne wydaje się powtórzenie przywołanego już wyżej sukcesu Waldemara Pawlaka z 1991 r., kiedy to umożliwiając powstanie mniejszościowego rządu Olszewskiego bez wchodzenia weń, a potem wycofując to poparcie, uzyskał on na pewien czas dla siebie i swej formacji wpływ nieproporcjonalny do wyborczego wyniku PSL.

Tak czy owak, aby osiągnąć którykolwiek z tych celów, nie wystarczy Konfederacji dobry wynik: musi jeszcze przejść stress test, czyli oprzeć się z jednej strony próbom przekupienia przez większe partie części jej działaczy, z drugiej zaś – użyciu przeciwko liderom „haków” na nich samych i ich bliskich. Znając bowiem polską politykę, jedno i drugie czeka konfederatów nieuchronnie. Dopiero po zdaniu także tego egzaminu zacznie się poważna polityka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Posł Krzysztof Bosak jest jedną z twarzy obecnej kampanii Konfederacji

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER



Konfederacja ma czas. Czy będzie cierpliwa?



Łukasz Warzecha

Konfederacja jest dziś trzecią siłą polityczną w kraju. Gdyby po wyborach stworzyła rząd z PiS, oznaczałoby to dla niej pewny koniec w perspektywie jednej kadencji

W przypadku Konfederacji powinienem przyznać się do błędu: jak wielu innych komentatorów na początku obecnej kadencji Sejmu nie dawałem jej szans na przetrwanie. Pod koniec czteroletniego okresu miała być już tylko wspomnieniem, a jej postowie mieli być częścią innych klubów parlamentarnych. Myliłem się całkowicie.

Nawet odpadnięcie frakcji wolnościowców, choćby częściowo, nie potwierdza tamtych diagnoz. Nie było bowiem rozpad w całym tego słowa znaczeniu, lecz jedynie odejście trzech posłów (równolegle

dołączył inny – Stanisław Tyszka). Co więcej, politykom Konfederacji udało się ten proces przeprowadzić w taki sposób, że dla większości wyborców pozostał niemal niezauważony i nie wpłynął na notowania. Artur Dziambor, Dobromir Sośnierz i Jakub Kulesza nie zostali też przejęci przez inne ugrupowanie i nie taki był powód ich rozstania z kołem Konfederacji.

Dzisiaj, w zależności od sondażu, partia, której twarzami w czasie kampanii stali się Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak, regularnie sytuje się na trzecim lub czwartym miejscu, zdobywając od ok. 9 proc. do nawet blisko 12 proc. głosów. W przeliczeniu na mandaty, w zależności od przyjętych założeń dotyczących całłościowych wyników wyborów, może to być od ponad 40 do blisko 60 miejsc. Konfederacja może więc w nowym Sejmie stać się klubem, od którego będzie bardzo wiele zależeć – może również to, czy odbędą się przyspieszone wybory. Lecz czy taka pozycja Konfederacji jest pewna? Na to pytanie można odpowiedzieć, patrząc w dwóch perspektywach: krótszej, ograniczonej do kolejnej kadencji, lub dłuższej, sięgającej dekadę.

Niektórzy skłonni są szukać analogii pomiędzy Konfederacją a innymi projektami, które się skończyły, a które także próbowały grać na antysystemowości. Były takie przynajmniej dwa: Ruch Palikota i Kukiz'15. Ruch Palikota to jednak całkowicie inna historia, bo od początku funkcjonował jako rodzaj przybudówki Platformy Obywatelskiej, mającej obsługiwać elektorat bardziej radykalny i właśnie chcący czegoś spoza systemu. Ale była to antysystemowość całkowicie udawana i szybko się skończyła.

Lepsza jest analogia do Kukiz'15, z którego list zresztą w 2015 r. do Sejmu weszli niektórzy politycy późniejszego koła Konfederacji: Robert Winnicki, Jakub Kulesza czy najnowszy nabytek partii – Stanisław Tyszka. Klub Kukiz'15 również był konglomeratem, ale jego niejednorodność była o wiele większa niż w przypadku Konfederacji. Funkcjonowały w nim osoby, których nie łączyła właściwie żadna wyraźna idea. W czasie kadencji 2015–2019 uciekali z niego kolejni posłowie, od Kornela Morawieckiego począwszy, poprzez Marka Jakubiaka, na Annie Marii Siarkowskiej skończywszy

(pełna lista jest o wiele dłuższa). W 2019 r. Kukiz'15 był w stanie rozsyпки. Całkiem inaczej niż Konfederacja, która wręcz zwiera szeregi. W tej chwili funkcjonują w niej trzy podmioty: Korona Grzegorza Brauna, Nowa Nadzieja Mentzena i Ruch Narodowy. Każdy z nich ma wyraźny profil ideowy i każdy obsługuje nieco inną grupę elektoratu – i to mocno odróżnia Konfederację od ruchu Pawła Kukiza.

KONSEKWENCJA IDEOWA I PROGRAMOWA

Wygłada więc na to, że Konfederacja jest jednak zjawiskiem *sui generis*. Służy jej zaś coś rzadko w Polsce spotykanego: konsekwencja ideowa i programowa. Od początku swojego istnienia partia postawiła na dwa główne filary: liberalny i narodowy. Wydawało się to ryzykowne, bo zwłaszcza pomysły oparte na liberalnym widzeniu gospodarki były w odwrocie. A jednak konsekwencja się opłaciła, również dlatego, że w wyniku szczęśliwego dla Konfederacji obrotu spraw okazuje się ona jedynym liczącym się ugrupowaniem, które ma jakąkolwiek ofertę dla wyborców szukających tego, co dwie główne formacje sobie odpuściły. Szeregi zwolenników Konfederacji zasilają zatem ci, którzy w przeszłości mogli głosować na Platformę, głównie z powodu jej deklarowanego (aczkolwiek nierealizowanego) liberalnego kursu, a dzisiaj widzą partię licytującą się z PiS na socjal. Z drugiej strony napływają ci, którzy po ugrupowaniu Jarosława Kaczyńskiego oczekiwali zdecydowanego oporu wobec szaleństw Unii Europejskiej, przede wszystkim związanych z Zielonym Ładem, a usłyszeli, że rząd z polityką klimatyczną walczył nie będzie, bo to oznacza wyjście z UE. Ci ostatni mają jeszcze wprawdzie ofertę Solidarnej Polski, ale jako koalicjant PiS ma ona w tej sprawie – mimo wielu celnych diagnoz – niską wiarygodność.

Konfederacja przyciąga również tych, którzy nie akceptują obecnego skrajnie proukraińskiego kursu Warszawy – to głównie uciekinierzy z elektoratu PiS. Dodać trzeba, że w tej ostatniej sprawie Konfederacja bardzo doszlifowała przekaz, rezygnując ze skrajności i z retoryki, która mogła być przedstawiana jako antyukraińska, a podkreślając konkretne problemy. Widać zresztą, że taki jest cel Konfederacji, być może nie tylko na tę

kampanię wyborczą, lecz także na dłuższy czas: przesuwanie się w kierunku mniej radykalnym bez rezygnowania z wyrazistości i klarowności przekazu. Sztuka niełatwa, ale wykonalna.

W długim okresie wątek wojny na Ukrainie z oczywistych przyczyn może się wyczerpać, ale dwa pozostałe są bardzo perspektywiczne – w szczególności wątek europejski, który może Konfederacji dawać paliwo w perspektywie nawet kilku kadencji. Brnięcie przez UE w kolejne klimatystyczne szaleństwa już zaczęło generować trudne do zniesienia koszty dla zwykłych ludzi, a to dopiero początek drogi. Przed nami, w perspektywie zaledwie czterech lat, wejście w życie pierwszych regulacji systemu ETS2, które spowodują drastyczny wzrost kosztów życia, a na które rząd PiS nie ma żadnej odpowiedzi. Sam je zresztą zaakceptował. Opozycja poza Konfederacją albo milczy, albo wszystkie wątpliwości pokrywa euroentuzjastyczną retoryką i bajaniem o konieczności ratowania klimatu. To będzie temat coraz bardziej rozpalać wyborców.

Konfederacja, o ile nie chce być efemerydą, o tyle powinna przeczekać obecny układ symbolizowany głównie przez Kaczyńskiego i Tuska

Jak się okazuje, istnieje także grupa klientów opowieści o Polsce autentycznie liberalnej. To nie jest elektorat, który dawałby w wyborach pierwsze czy drugie miejsce, ale im intensywniejsza staje się licytacja na socjal, im bardziej daje się we znaki inflacja i im więcej wiadomości o rosnącym zadłużeniu, tym mocniejsza staje się dogodna dla Konfederacji oś polaryzacji właśnie według tego kryterium: etatyzm i socjalizm kontra wolny rynek. Można powiedzieć, że dawna opowieść PiS o Polsce liberalnej i Polsce solidarnej wraca w nieco zaskakującej postaci.

CO ZROBIĄ PO WYBORACH?

Są zatem przesłanki, aby twierdzić, że Konfederacja nie tylko z firmamentu nie zniknie, lecz przeciwnie: jeszcze się na nim umocni. Tyle że, jak to często bywa, na

przeszkodzie realizacji tego długoterminowego scenariusza mogą stać sprawy krótkoterminowe. Przede wszystkim po jesiennych wyborach przed partią Mentzena i Bosaka stanie pytanie, jak się zachować. Dzisiaj politycy tej formacji unikają jednoznacznej odpowiedzi – o co trudno mieć do nich pretensję. Nieoficjalnie od polityków Konfederacji można usłyszeć, że optymalna byłaby sytuacja, w której nie wchodzić do mniejszościowego rządu PiS, Konfederacja byłaby w stanie wymuszać na nim spełnianie niektórych swoich postulatów, dawkując poparcie dla kolejnych ustaw w ramach koalicji parlamentarnej, formalnej lub nieformalnej. Byłoby to rozwiązanie z pewnością skrajnie niewygodne dla Jarosława Kaczyńskiego, ale być może konieczne do zaakceptowania, aby nie stracić władzy.

Czy to się uda? Nie ma wątpliwości, jak w sytuacji braku większości zachowa się PiS – będziemy świadkami wielkiego kuszenia. Może się to ograniczyć do pojedynczych posłów, jeśli będzie brakowało kilku lub kilkunastu miejsc, a jeśli będzie chodziło o większą liczbę – to kuszona będzie Konfederacja jako całość. Czy to kuszenie wytrzyma lub czy po prostu jej politycy nie uznają, że wejście w koalicję jest z jakichś powodów opłacalne? Jaka będzie spójność klubu liczącego sobie kilkadziesiąt osób? Czy nie skończy się to jak w przypadku Kukiz'15 w minionej kadencji Sejmu? Tego nie wiadomo. Jedno natomiast wydaje się pewne: wejście w formalne przyznanie – nawet obwarowane pisemną, jawną umową koalicyjną (jak to się robi np. w Niemczech) – i współtworzenie rządu z Prawem i Sprawiedliwością, wciąż z Jarosławem Kaczyńskim przy sterze i Mateuszem Morawieckim jako jednym z najważniejszych polityków tej formacji, oznaczałoby krach antysystemowego wizerunku Konfederacji i, co za tym idzie, niemal na pewno jej koniec w perspektywie jednej kadencji.

Zatem kluczem do trwałej obecności na scenie w przypadku tej partii wydaje się cierpliwość – cecha nieczęsta. Konfederacja, o ile nie chce być efemerydą, o tyle powinna przeczekać obecny układ, symbolizowany głównie przez Kaczyńskiego i Tuska. Może sobie na to pozwolić, bo jej politycy są relatywnie młodzi – inaczej niż dwaj wspomniani liderzy – a czas pracuje dla niej.

RYSZARD GROMADZKI: Przed wyborami w 2019 r. sprawą, wokół której Konfederacja mobilizowała swoich zwolenników, była amerykańska ustawa 447 o restytucji bezspadkowego mienia żydowskiego. Co będzie rdzeniem waszego przekazu przed jesieniami wyborami? Sprzeciw wobec unijnej tzw. dyrektywy renowacyjnej, wymuszającej na Polakach kosztowne przymusowe remonty budynków, motywowane ideologią klimatyzmu?

ROBERT WINNICKI: Rdzeniem naszego przekazu przed nadchodzącymi wyborami jest zmiana na polskiej scenie politycznej, przełamanie duopolu Platformy i PiS. To najważniejsza rzecz, którą niesiemy Polakom. Oczywiście ważną częścią naszego programu jest krytyczna i asertywna postawa wobec unijnej polityki klimatycznej, polityki podatkowej, antysamochodowej, antybudynkowej. To istotna część naszej agendy, nie powiedziałbym jednak, że jest wyłącznym kołem zamachowym naszej oferty politycznej.

Kołem zamachowym Konfederacji jest spójny wizerunek partii, która zgłasza określone postulaty. Której liderzy są wiarygodni w zgłaszaniu tych postulatów, są wiarygodni w walce o ważne sprawy dla Polaków. Projekty takie jak tani prąd, tani węgiel, tanie paliwo, obrona Polaków w czasie pandemii przed segregacją sanitarną, sprzeciw wobec masowego rozbrajania Polski na rzecz Ukrainy czy sprzeciw wobec niekontrolowanej imigracji. W ten sposób budujemy rozpoznawalność i walczymy o wyborców.

Od wielu tygodni Konfederacja ma dobrą passę w sondażach. W niektórych badaniach opinii publicznej plasuje się na pozycji trzeciej siły politycznej w kraju. Ten trend zmobilizował waszą konkurencję do kontrataku. Macie pomysł, jak utrzymać wysokie notowania?

Rzeczywiście konkurencja jest zmobilizowana i próbuje nas otwarcie i wprost atakować, jak cały centrolewicowy obóz pod wodzą Tuska, lub też przemilczać i kęsać, jak robi to obóz rządzący. Naszym celem jest nie tyle utrzymanie, ile wręcz powiększenie dwucyfrowego poparcia, które w tej chwili dają nam sondaże.

Nie mamy na to magicznej recepty, poparcie nie wzięło się znikąd. Ono wynika z tego, że Polacy są zmęczeni sporem między Platformą i PiS, dominującym scenę polityczną od 2005 r., widzą jałowość zakłęb powtarzanych ciągle w tym konflikcie. Ludzie są zniechęceni nieefektywną



Z Robertem Winnickim, prezesem Ruchu Narodowego, szefem sztabu wyborczego Konfederacji rozmawia Ryszard Gromadzki

Idzie nowe



FOT. POTR MOLEKUL/EAST NEWS

polityką gospodarczą. Wreszcie dostrzegają potrzebę zmiany pokoleniowej. To, że Konfederacja pod przywództwem Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oferuje zmianę jakości merytorycznej i pokoleniowej w polskiej polityce, niewątpliwie stanowi nasz mocny punkt. Myślę jednak, że najistotniejsze jest to, że tej wiosny wielu Polaków wreszcie poczuło, że idzie nowe, jest szansa na realną zmianę polityczną.

Liderzy Konfederacji odznaczają się od wszelkich koalicji po wyborach, ale polityka rządzi się swoimi prawami. Jak to zatem jest z waszą zdolnością koalicyjną?

Od wyborów mija zawsze kilka tygodni, w których władzę pełni poprzedni rząd i funkcjonuje poprzedni parlament. Dopiero po upływie tego czasu nowi posłowie zostają zaprzysiężeni i zaczyna się proces formowania nowych rządów. Tymi tematami będziemy się zajmować po wyborach. Konsekwentnie odmawiamy udziału w dyskusjach na ten temat, bo nie to jest naszym zadaniem. Naszym zadaniem na pół roku przed wyborami jest mobilizacja wyborców, przekonanie ich do siebie, dopracowanie programu, żeby nasi potencjalni zwolennicy, ci, którzy jeszcze nas nie znają, mieli jasność, z czym idziemy do wyborów. Nie prowadzimy żadnych kuluarowych rozmów czy dywagacji na temat koalicji ani wewnątrz Konfederacji, ani tym bardziej na zewnątrz.

Schowanie pod korcem tak wyrazistych polityków jak Grzegorz Braun czy Janusz Korwin-Mikke to zabieg, który ma chronić Konfederację przed jakimiś nieprzewidywalnymi sytuacjami czy wypowiedziami, które mogłyby zaszkodzić jej notowaniom?

Regularnie dostaję takie pytania od dziennikarzy – nie mówię, że dotyczy to pana redaktora – którzy konsekwentnie nie zapraszają takich postaci jak Grzegorz Braun czy Janusz Korwin-Mikke do swoich programów, a później się dziwią, że nie ma ich w przestrzeni publicznej. Prawda jest taka: w lutym powołaliśmy dwóch współprzewodniczących Rady Konfederacji: Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena. W naturalny sposób to na nich skupiła się uwaga mediów. Nic dziwnego, że ich wystąpienia publiczne, medialne czy z mównicy sejmowej są najbardziej nośne w opinii publicznej. Janusz Korwin-Mikke, Grzegorz Braun, a także pozostali posłowie – Berkowicz, Kamiński, Urbaniak, Tyska

czy mówiący te słowa Winnicki – to są osoby, których nie chcemy ani nie jesteśmy w stanie jakkolwiek schować. Korwin-Mikke i Braun pozostają w szpicy najbardziej aktywnych polityków Konfederacji. Nie schodzą z mównicy, biorą udział w konferencjach i spotkaniach. Mamy pewien kapitał związany z nietuzinkowymi osobowościami w naszym składzie. Dlaczego mielibyśmy je maskować?

Jeśli Konfederacji uda się utrzymać tak wysoki poziom poparcia do wyborów, jaki dają wam dziś sondaże, to można się spodziewać, że ataki na was staną się dużo bardziej histeryczne. Na myśl przychodzi sytuacja z wyborów prezydenckich we Francji sprzed 20 lat, kiedy Jean-Marie Le Pen po raz pierwszy dostał się do drugiej tury. Pamięta pan słynną okładkę lewicowego dziennika „Libération”, opatrzoną zdjęciem lidera Frontu Narodowego i wielkim napisem „NON”? Z Konfederacją może być podobnie. Spodziewacie się prowokacji? Gdzieś w Polsce ktoś znów spali kukłę Żyda i znów będzie na was...

Uważam, że przez najbliższe pół roku będziemy mieli do czynienia z bardzo wieloma prowokacjami i atakami. Próbnymi udowodnienia, jak bardzo „straszna” jest Konfederacja. Analogia do Jeana-Marie Le Pena sprzed 20 lat, którą pan przywołał, jest o tyle ciekawa, że już wtedy Front Narodowy popierało kilkanaście procent Francuzów – to mniej więcej tyle, ile poparcia ma dziś Konfederacja. Gdyby ten wynik potwierdził się w jesiennych wyborach, oznaczałoby to prawdziwy przełom polityczny w Polsce. Wracając do francuskiej analogii, Zjednoczenie Narodowe jest dziś jednym z dwóch największych ugrupowań politycznych w tym kraju, a jego kandydatka Marine Le Pen regularnie wchodzi do drugiej tury wyborów prezydenckich.

Czyli we Francji to histeryczne wzmoczenie liberalno-lewicowego mainstreamu wymierzone w Zjednoczenie Narodowe nie przyniosło w pełni oczekiwanego skutku?

Tak. Co do nadchodzących wyborów, to spodziewam się takiego histerycznego wzmocnienia przeciwko nam. A skończy się, jak przewiduję, dokładnie tak samo jak we Francji, czyli awansem Konfederacji na pozycję jednej z dwóch głównych sił politycznych w Polsce.

Jakie będą pana zdaniem polityczne skutki afery związanej z niekontrolowanym napływem ogromnych ilości ukraińskiego zboża na polski rynek?

Rząd PiS dopuścił się jawnej zdrady polskich rolników, prac do zniesienia wszystkich cła na ukraińskie produkty rolno-spożywcze bez żadnych zabezpieczeń, jak stało się rok temu. Wykazał się w tej sprawie wręcz porażającą niefrasobliwością, o czym świadczą głupie i kłamliwe wypowiedzi Kaczyńskiego, Morawieckiego czy Kowalczyka z 2022 r. Rezygnacja z cła na ukraińskie produkty rolne przy potencjale eksportowym tamtejszej branży, która nie musi spełniać naszych, wyśrubowanych norm, musiała doprowadzić do katastrofy. Alarmowaliśmy w tej sprawie wiele razy. W efekcie mamy teraz zagrożenie bytu setek tysięcy gospodarstw rolnych. Ponadto mamy ogromne koszty, bo rząd będzie starał się ratować większość gospodarstw, by nie stracić politycznie, pompując do rolników ogromne pieniądze z budżetu. Rozwiązanie w postaci czasowego zakazu importu okazało się oszustwem, które upadło już po dwóch dniach i negocjacjach z ukraińskim ministerstwem. Opowieści na temat eksportu są pisane patykiem po wodzie – w polskich portach nawet nie ma odpowiednich mocy przeładunkowych. A niekontrolowany zalew polskiego rynku przez nieprzebadane produkty poszerza się na kolejne branże: mleko, mięso, miód i wiele innych.

Uważam, że załamanie poparcia dla PiS na wsi, które obserwujemy w związku z tą sytuacją, będzie miało charakter trwały. Rządząca partia odczuje to podczas jesiennych wyborów. Nie tylko rolnicy, lecz także cała polska gospodarka boleśnie odczuwa, że PiS przedkłada interesy ukraińskie ponad interesy polskie w bardzo wielu obszarach.

Wracając do ostatnich sondaży Konfederacji: Czy w związku z tą dobrą koniunkturą nie obserwuje pan wśród działaczy nadmiernego zadufania, syndromu uderzenia wody sodowej do głów?

Pycha jest przyczyną zguby ludzi, narodów, partii politycznych też. Ostatnia rzecz, która nam przychodzi teraz do głowy, to pysznić się i popadać w samozadowolenie z powodu korzystnych sondaży. Przed wyborami w 2019 r. mieliśmy sondaże – może z wyjątkiem jednego – które nie dawały nam szans na wejście do Sejmu, mimo że ciężko pracowaliśmy, żeby osiągnąć sukces, który nastąpił. Dzisiaj nie popełnimy błędów w drugą stronę.



Marek Jurek

Debata o polskiej polityce zagranicznej odbyła się w samą porę. Wojnie, która od przeszło roku toczy się na naszej granicy, towarzyszą zrozumiałe emocje. Za emocjami nie nadąża jednak refleksja. Ta zaś jest dziś coraz bardziej potrzebna

Mimo trudnego historycznego momentu orędzie ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua, wygłoszone 13 kwietnia w Sejmie, tchnęło optymizmem. Profesor przekonywał, że „rosyjska agresja na Ukrainę” otwiera możliwości „poprawy statusu Polski w Europie”, naszej „pozycji, bezpieczeństwa, warunków rozwoju”. W każdym razie „trzeba dążyć do tego”, by takie szanse z obecnej sytuacji wysnuć. Bo choć „obecny kryzys międzynarodowy związany [jest z – przyp. red.] zagrożeniem dla pokoju w Europie [i jest – przyp. red.] potencjalnie groźny dla bezpieczeństwa Polski”, to otwiera perspektywę, „jak to określano w czasach marszałka Józefa Piłsudskiego, licytowania polskich spraw wzwyż”.

Wykorzystywanie szans w orędziu ministra zdecydowanie więc dominowało nad analizą zagrożeń i propozycjami środków zapobiegawczych. Na przykład sama agresja Rosji, brutalnie uzmysławiając jej imperialistyczną naturę, otwiera drogę do bliskiej współpracy „Ukraińców, Polaków, Litwinów i Białorusinów”.

Minister zapewniał, że „Ukraina zwycięży, przetrwa i odsunie widmo wojny od naszych granic”, do czego „będziemy nadal dokładać wszelkich możliwych starań”. Dlatego jak długo Rosja „nie wycofa swoich wojsk z międzynarodowo uznanego ukraińskiego terytorium, to znaczy także z Półwyspu Krymskiego” [...], będziemy „zwalczać przedwczesne propozycje odbudowywania mostów z Rosją”. Do koniecznych warunków przyszłego pokoju minister włączył też



„ukaranie sprawców”, co właściwie zakłada bezwarunkową kapitulację Rosji.

W polityce ważna jest konsekwencja, wytrwałe zmierzanie do obronnego punktu, ale ważny jest też umiar, więc konkretne nakreślenie i trzymanie się celu. Profesor Rau bardzo trafnie zwrócił uwagę międzynarodowej opinii publicznej, że Polska i kraje Europy Środkowej najbardziej angażują się w obronę Ukrainy, że nawet w planie militarnym dają jej – „proporcjonalnie rzecz biorąc, jeśli posłużymy się kryterium dochodu narodowego” – największe wsparcie. Nie

widać więc powodu, by przy tak wielkim wysiłku przesuwając jeszcze nasze cele poza obronę ukraińskiej niepodległości i przede wszystkim poza stanowisko naszych sojuszników, najbardziej zaangażowanych w pomoc dla Ukrainy. Aby deklarować – jak niedawno mówił prezydent Duda – że „nie ma naszej zgody”, by „za wszelką cenę doprowadzić do najszybszego zawieszenia broni”. To Ukraina ma prawo decydować, jak długo chce prowadzić wojnę, a państwa, które ją wspierają, mają prawo decydować, na rzecz jakich celów wojennych i w jakim



Szef MSZ Zbigniew Rau (z prawej) z szefem MSZ Ukrainy Dmytrem Kułebą
FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS

kompromisu między wolnością i zniewoleniem”. Jednak cała historia półwiecza 1939–1989 to dzieje kompromisów „między wolnością i zniewoleniem”, które zresztą w czasach drugiej wojny światowej ocierały się niemal o granicę wspólnego obrazu świata, gdy wojenna cenzura brytyjska chroniła swą antyfaszystowską opinię publiczną przed informacjami o sowieckich zbrodniach popełnionych właśnie w czasie drugiej wojny światowej.

Przypominam to w tym miejscu nie dla polemik historycznych, ale uzmysłowienia reguł, które obowiązywały wczoraj i obowiązują dzisiaj. Wiara, że zakłębiami nakłonimy inne państwa do spełniania naszych życzeń kosztem tego, jak rozpoznają własne bezpieczeństwo, jest złudna. W amerykańskiej debacie cały czas toczy się dyskusja na temat optymalnego zakończenia obecnej wojny. Oczywiście w interesie Polski leży NATO aktywne, zachowujące swą zachodnią tożsamość, działające na rzecz utrwalenia na wschodzie zmian, które nastąpiły po rozpadzie Związku Sowieckiego. Polska powinna nie tylko werbalnie, lecz także wszechstronnie wspierać amerykańskie i sojusznicze działania na rzecz bezpieczeństwa naszego regionu. Oczywiście, by przypomnieć kryterium przywołane przez ministra – proporcjonalnie, i to nie tylko (jak zauważa prof. Rau) względem „dochodu narodowego”, lecz także więcej – proporcjonalnie do ryzyka narodowego, wyznaczonego przez nasze szczególne geopolityczne położenia jako jedynego państwa NATO sąsiadującego jednocześnie z Ukrainą i Rosją.

Oczywiście, jeśli kanclerz Scholz albo prezydent Macron wysuną propozycje zawieszenia broni, które odrzuci Ukraina ze wsparciem prezydenta Bidena i premiera Sunaka, to Polska może zająć stanowisko podobne. Ale to nie znaczy, że po pierwsze – nasza oficjalna polityka powinna publicznie snuć już dziś na ten temat hipotetyczne spekulacje i że przede wszystkim w międzynarodowej debacie na temat celów wojny mamy zastępować Stany Zjednoczone, Ukrainę i Wielką Brytanię razem wzięte. Zachód, również jego zaangażowana część, odbiera wojnę jako ciężkie brzemię, więc powinniśmy wystrzegać się izolacji, wizerunku państwa torpedującego pokój

albo wręcz harcownika, którego rola się kończy, gdy strony przystępują do rozmów.

NIEOBECNE ZAGROŻENIA

O zagrożeniach wojennych minister wspominał, ale konkretnie już ich nie rozważał. Nie piszę tu bowiem o „poczuciu zagrożenia”, które może paraliżować działania, ale o realnie rozpoznawanych (przede wszystkim za granicą) ryzykach eskalacji. Pierwsze to oczywiście użycie przez Rosjan taktycznej broni jądrowej (co jako zagrożenie odbiera nawet Xi Jinping). Drugie to globalne rozszerzenie konfliktu, wybuch wojen na Dalekim i Bliskim Wschodzie, co znacznie zmniejszyłoby amerykańskie możliwości obrony państw Europy Środkowej i Wschodniej. Trzecie to możliwości nieodwracalnych strat terytorialnych w wypadku najpierw agresji rosyjskiej na Polskę, a potem – zagrożenia konfliktu (np. w trakcie globalnego odwrócenia przymierzy). Czwarte to ugodowość Niemiec i Francji, co niesie groźbę izolacji Polski w wypadku jakichkolwiek zmian w polityce amerykańskiej. Wszystkie te ewentualności wskazują na pożytki pokoju, szczególnie w momencie, gdy nastąpi pogorszenie koniunktury. Tymczasem dziś nasza oficjalna polityka bardziej martwi się perspektywą zbyt wczesnego przerwania ognia niż przedłużającej się wojny.

Nasze interesy natomiast nie kończą się wraz z wojną, przeciwnie. Jeśli już dziś jesteśmy świadomi, że po wojnie powstawać będzie nowa architektura porządku europejskiego, to warto przedstawić postulaty, które dla nas są szczególnie ważne. A tu obok niepodległości Ukrainy rysują się przede wszystkim niepodległość i wycofanie wojsk rosyjskich z Białorusi oraz demilitaryzacja Królewca. W każdym razie perspektywicznie militarny status Królewca jest dla nas znacznie ważniejszą sprawą od językowego statusu Sewastopola. Właśnie dlatego, że musimy zawsze brać pod uwagę wznowienie agresji rosyjskiej.

NIEMCY I ICH OBROŃCY

Ważnym motywem programowego przemówienia ministra Raua był nasz status w Europie. W kwestii UE prof. Rau zdecydowanie przeciwstawił się niemiecko-federalistycznym pomysłom

zakresie będą się angażować. Natomiast nawet największe „proporcjonalnie” polskie wsparcie dla Ukrainy nie będzie stanowić wystarczającego warunku osiągnięcia celów, których realizacji od Ukraińców oczekujemy. W tym również warto zachować proporcje.

REALIZM BEZ ZŁUDZEŃ

Swe stanowisko prof. Rau, tak jak cały rząd oraz duża część opinii publicznej, uzasadnia realizmem. Przywołuje „lekcję, którą wynieśliśmy z XX w.,” po której już „nie wierzymy w możliwość zawarcia

■ zniesienia zasady jednomyślności w kluczowych kwestiach polityki unijnej, ponowionym w głośnym artykule Olafa Scholza o „Globalnej Zeitenwende”. Bardzo celnie minister zwrócił uwagę, że w kwestiach bezpieczeństwa i polityki NATO Niemcy nie proponują żadnych mechanizmów większościowych. Chcą ich jedynie tam, gdzie mają szansę dominować, gdzie są najwięksi, w Unii Europejskiej. Minister stwierdził jasno, że „Europa nie potrzebuje niemieckiego przywództwa, nie potrzebuje [...] podejmowania decyzji w Unii Europejskiej większością głosów”. Profesor Rau przypomniał też, że budowa Nord Stream „była kontynuowana mimo rosyjskiej agresji na Gruzję w 2008 r. i przy pełnym wsparciu niemieckiego rządu”, a budowa Nord Stream 2 „została przez Niemcy zainaugurowana rok po rosyjskiej agresji na Ukrainę, aneksji Krymu i okupacji Donbasu, gdy Rosja objęta już była unijnymi sankcjami”.

Te celne uwagi natychmiast spotkały się z gwałtowną reakcją ze strony Platformy. Grzegorz Schetyna w uniesieniu protestował przeciw czynieniu z „wojny i agresji rosyjskiej” pretekstu „do budowania złych stosunków z naszymi partnerami w Unii Europejskiej i ataku na nich”. To groteskowe stanowisko, uznające krytykę Nord Stream za „paliwo dla rosyjskiej propagandy”, zawierało istotę polityki zagranicznej głównego nurtu opozycji. Raz jeszcze pokazali, że są przede wszystkim partią zagranicy; o ograniczonych, na szczęście, kompetencjach.

TU ŻYJEMY, TU STALIŚMY SIĘ SOBĄ

Ważnym wątkiem programowego przemówienia ministra Raua była Europa Środkowa – „region, gdzie ukształtowana została nasza narodowa tożsamość”. Profesor Rau zaprezentował jednak tyleż ciekawą, co pomniejszoną wizję naszej wspólnej tożsamości. Za jej istotę uznał to, że wszystkie państwa Europy Środkowej – od Grecji aż do Finlandii – odzyskały lub uzyskały niepodległość w XIX i XX w., mając za sobą długie doświadczenie niewoli.

To prawda, jednak od dominacji habsburskiej czy niewoli tureckiej o wiele ważniejszym współczesnym doświadczeniem jest po prostu życie pod władzą Związku Sowieckiego i kolaboracyjnych rządów

Powinniśmy wystrzegać się izolacji, wizerunku państwa torpedującego pokój albo wręcz harcownika, którego rola się kończy, gdy strony przystępują do rozmów

komunistycznych (albo nawet walka z Sowietami i komunizmem, jak w wypadku Grecji i Finlandii). To jest tradycja naszej współczesnej walki o wolność. Tym ważniejsza, że orędziem, które Polska powinna nieść w czasie toczącej się wojny (bardzo ważnym również dla dekonstrukcji „konserwatywnej” maskarady Putina), jest domaganie się od powojennej Rosji konsekwentnego potępienia bolszewizmu i sowieckiej przemocy. To Polska powinna przypominać miliony Rosjan zamordowanych przez Lenina i Stalina, nieszczęsnych żołnierzy porzucanych przez swoją władzę na pastwę hitlerowskich obozów koncentracyjnych, prześladowania religijne i burzenie kościołów, za które nikt nigdy nie poniósł kary. Im bardziej zachodnie rządy chcą, by ten temat pozostał tabu, tym bardziej należy wokół potępienia komunizmu integrować świadomość historyczną Europy Środkowej.

I wątek drugi, konstytuujący Europę Środkową: konserwyzm naszych społeczeństw. Jego najlepszą praktyczną ilustracją (bo polityka musi nieść praktyczne konsekwencje) jest choćby to, że większość państw leżących między Łotwą a Bułgarią ciągle odrzuca ratyfikację genderowej konwencji stambulskiej. Polska powinna być rzecznikiem ich stanowiska, tym bardziej że już prawie trzy lata temu premier Morawiecki zlecił Ministerstwu Spraw Zagranicznych przygotowanie umowy międzynarodowej alternatywnej dla paktu genderowego. Wiceminister Jabłoński informował w lipcu 2020 r. o inauguracji „działań dyplomatycznych na rzecz przyjęcia międzynarodowej umowy – konwencji chroniącej prawa rodzin, jednego z podstawowych praw człowieka, które zasługuje na pełną ochronę, także w prawie międzynarodowym”. Po trzech latach prac czas z tymi działaniami wyjść na forum publiczne.

Niestety, w tej sprawie nie tylko rząd zawiódł. Konfederacja miała stanowić alternatywę moralną dla PiS, ale jest dziś jedynie alternatywą wyborczą. Owszem, tego dnia, gdy Zbigniew Rau przedstawił założenia polityki zagranicznej, Robert Winnicki krytykował w Sejmie finansowanie z budżetu „gender studies” i „ślizganie się” przez władze „po powierzchni tego, co w Polsce narodowe i chrześcijańskie”, tyle że było to w zupełnie innej debacie. Liczni politycy Konfederacji zabierający głos w debacie zagranicznej ani nie domagali się realizacji obietnic dotyczących międzynarodowej konwencji praw rodziny, ani nawet nie domagali się kontynuacji prac nad zamrożonym społecznym projektem ustawy o wypowiedzeniu konwencji stambulskiej.

Szkoda, bo rzecz ma znaczenie nie tylko zasadnicze, lecz także bardzo przyziemne, wręcz podstawowe.

Po drugiej wojnie światowej zapobieżenie konkurencyjnym zbrojeniom stanowiło warunek jedności Europy Zachodniej. Tak powstała Europejska Wspólnota Węgla i Stali. To był punkt wyjścia dla budowy Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Unii Europejskiej. Dziś praktyczna obrona praw rodziny jest najkonkretniejszym społecznym wyróżnikiem Europy Środkowej. Ona może stać się ideowym rdzeniem naszej cywilizacyjnej wspólnoty. Nawet w tych krajach, które przyjęły konwencję stambulską (jak w Polsce, Rumunii czy Chorwacji), sprawa ta budziła i budzi szeroki sprzeciw. W innych ten sprzeciw jest ciągle stanowiskiem państwa.

Minister Zbigniew Rau oświadczył, że „Polska zawsze powinna stawać po stronie mniejszych i historycznie boleśnie doświadczonych państw Europy Środkowej i Wschodniej”. I tą zasadą, tak pięknie i zwięźle nawiązującą do przedwojennej doktryny Adolfa Bocheńskiego, należy się kierować. Nasza niepodległość (tak jak niepodległość wielu innych państw naszego regionu) wymaga oporu wobec Rosji. Ale nasza tożsamość (tak jak wielu innych nardów, z którymi dzielimy doświadczenia historii) to dużo więcej niż walka z Rosją. I czas ten uniwersalizm pokazać. On jest najmocniejszym fundamentem naszej wolności i naszej wspólnoty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z rzecznikiem praw obywatelskich
prof. Marcinem Wiackiem**
rozmawia Ryszard Gromadzki

Znikająca prywatność



FOT. ZBYSZEK KAZIMAREK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: W przeciwieństwie do poprzedniego rzecznika praw obywatelskich, którego działania często sytuowały go w centrum politycznych sporów, pan dystansuje się od bieżącej polityki. To wyraz przekonania, że ombudsman powinien być realnie apolityczny?

PROF. MARCIN WIĄCEK: Zgodnie z konstytucją Rzecznik Praw Obywatelskich powinien być niezależny i niezawisły. To jest drugi taki organ konstytucyjny obok sądów, na który konstytucja nakłada obowiązki zachowania niezależności i niezawisłości. Rzecznik Praw Obywatelskich nie jest uczestnikiem bieżącej polityki i nie ma legitymacji do wypowiadania się w sprawach, które są objęte swobodą polityczną parlamentu czy rządu. Rzecznik powinien wypowiadać się tylko w sytuacji, gdy dochodzi do ingerencji w wolności i prawa człowieka. Staram się w ten właśnie sposób pełnić swój urząd.

Czy na granicy polsko-białoruskiej dochodzi do ingerencji w wolności i prawa migrantów z Azji, którzy przy pomocy białoruskich służb próbują nielegalnie przekroczyć granicę?

Mogę nawiązać do tego, co powiedziałem przed chwilą. To są do pewnego stopnia sprawy należące do sfery polityki państwa, czyli polityki związanej z ochroną granic czy polityki migracyjnej – i tu nie widzę przestrzeni do wypowiadania się przez rzecznika. Jednak jeżeli na terytorium Polski znajduje się człowiek, to rzecznik ma prawo i obowiązek domagać się ochrony jego praw i wolności, bo każdy człowiek korzysta z wolności i praw określonych w polskiej konstytucji i w wiążących Polskę przepisach prawa międzynarodowego. Każdy człowiek, nie tylko obywatel. Moim głównym zarzutem dotyczącym sytuacji na granicy polsko-białoruskiej jest to, że istnieje podstawa prawna do stosowania procedury zawrócenia na granicę, tzw. pushback. Taki środek jest w świetle wiążących standardów międzynarodowych dopuszczalny w absolutnie wyjątkowych sytuacjach i tylko wtedy, gdy zawrócenie następuje do kraju bezpiecznego. Białoruś w oczywisty sposób nie jest krajem bezpiecznym, rządzi tam autorytarny reżim, który nie respektuje praw człowieka, będący de facto współagresorem w wojnie, która toczy się w Ukrainie. Dlatego moim zadaniem jest to, żeby monitorować, jak standardy prawa międzynarodowego

stosowane są wobec tych ludzi. Mnie i moim współpracownikom zależy na tym, aby każdy, kto złożył wniosek o status uchodźcy czy ochronę międzynarodową, miał prawo do tego, żeby ten wniosek został rozpoznany. Oczywiście to nie jest tak, że nasz kraj ma obowiązek bezwarunkowego przyjmowania migrantów, którzy są wypychani z terytorium Białorusi do Polski. Jednak wydalenie tych ludzi w każdym przypadku powinno być poprzedzone indywidualną procedurą. A rozwiązanie, które nazywamy pushbackiem czy zawróceniem na granicę, wyłącza jakąkolwiek procedurę.

Chce pan powiedzieć, że Polska nadużywa instrumentu zwracania migrantów z granicy?

Problem jest taki, że to rozwiązanie ma swoją podstawę ustawową. Moim zdaniem przepisy ustawy, które zostały wprowadzone do polskiego prawa w październiku 2021 r., nie są zgodne ze standardami międzynarodowymi, które powinny być w tym zakresie respektowane, dlatego że umożliwiają zawrócenie człowieka do Białorusi, a ta nie jest państwem bezpiecznym. Na Białorusi tym ludziom grożą tortury i nieludzkie traktowanie. Nie powinniśmy zwracać ludzi do tego kraju.

ci ludzie mają dokładnie te same intencje i przekraczają granicę w tych samych okolicznościach. Dlatego właśnie apeluję o to, żeby wobec tych osób dokonywać indywidualnej oceny, bo niewykluczone, że są osoby o takich intencjach, jak pan powiedział, ale też jest dużo osób, które po prostu poszukują schronienia, uciekają przed prześladowaniami. Żeby to zweryfikować, należy ocenić ich sytuację i podać procedurę, w której trakcie można będzie ocenić, czy taką osobę umieścić np. w ośrodku dla uchodźców czy też wydalić, ale po przejściu odpowiedniej procedury.

Czy wobec wykładni, którą pan przedstawił, można skonkludować, że Polska łamie standardy międzynarodowego prawa uchodźczego?

Pushback w postaci, w jakiej jest przewidziany przez polskie prawo, takie standardy łamie. Wskazywałem na to w opiniach prawnych dotyczących tej ustawy, które kierowałem do parlamentu i do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. To nie jest tylko moja opinia, to są także opinie środowisk akademickich zajmujących się tym zagadnieniem, również niektórych sądów. Za jakiś czas będziemy mieli w tej sprawie również wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Znając orzecznictwo trybu-

aktywistów działających na granicy zgłaszają swoją sprawę do Rzecznika Praw Obywatelskich. Obserwujemy, co się dzieje z tymi ludźmi, jak stosowane są wobec nich procedury uchodźcze. Również każdy przypadek, kiedy ujawnione jest ciało, przypadek śmierci na tym terenie, jest przedmiotem naszego zainteresowania. Jako rzecznik mogę obserwować postępowania przygotowawcze toczące się w prokuraturze, nie mam jednak kompetencji śledczych do samodzielnego prowadzenia dochodzenia. Każda sytuacja, w której dochodzi do ujawnienia zwłok, jest badana przez stosowne organy, policję czy prokuraturę, i to wszystko, co mogę stwierdzić na podstawie działalności mojej i moich współpracowników.

Czyli nie dysponuje pan wiedzą, która dawałaby podstawy do domniemań, że informacje o mordach na migrantach są wiarygodne?

Nie mam podstaw do potwierdzenia i formułowania takich tez.

Sprawą, która wywołała w ostatnim czasie duże emocje społeczne, był wyrok poznańskiego sądu w sprawie grupy osób, która w czasie protestów tzw. Strajku Kobiet po wyroku Trybunału Konstytucyjnego delegizującego aborcję eugeniczną doprowadziła do przerywania mszy świętej w poznańskiej katedrze. Sąd uniewinnił te osoby. Czy ten wyrok nie uderza w prawa osób wierzących, nie ogranicza swobody kultu religijnego?

Z racji swojej funkcji muszę ostrożnie podchodzić do komentowania orzeczeń sądów, które nie posiadają jeszcze uzasadnienia pisemnego. Poza tym ten wyrok nie jest prawomocny. Ale wyjaśnijmy, że zgodnie z Kodeksem karnym, z art. 195 tego kodeksu, nie każde przeszkadzanie we mszy świętej jest przestępstwem. Takie jest prawo. Żeby zakłócanie mszy świętej mogło być uznane za przestępstwo, musi mieć cechę, którą ustawa nazywa złośliwością. Prokurator, oskarżyciel musi więc wykazać, że zakłócenie mszy świętej było złośliwe. Jak zakładam, sąd uznał, że w tym przypadku doszło co prawda do przeszkadzania, zakłócenia mszy świętej, lecz nie dopatrzył się złośliwości. To, co mogę powiedzieć, to to, jak to pojęcie jest rozumiane w dotychczasowym orzecznictwie i nauce prawa. Chodzi o to, kiedy przeszkadzanie we mszy świętej ma

Przepis Kodeksu karnego mówi o tym, że przeszkadzanie w sprawowaniu mszy świętej podlega karze tylko wtedy, gdy jest złośliwe. Tak zdecydował parlament

Ale przecież ci ludzie, jak wszystko wskazuje, przybywają na terytorium Białorusi z własnej woli, mając pełną świadomość tego, w jakim procederze uczestniczą. Ten proceder obliczony na wywołanie chaosu w Polsce jest z premedytacją realizowany przez reżim Łukaszenki.

Zarówno ja, jak i moi współpracownicy wielokrotnie rozmawialiśmy z tymi ludźmi i to nie jest tak, że oni, co do zasady, wszyscy wiedzą, jak dokładnie będzie wyglądała ich sytuacja, jak zostaną potraktowani przez Białoruś. Są często oszukiwani i manipulowani tylko po to, żeby użyć ich jako oręża w wojnie hybrydowej. Ta sytuacja nie jest do tego stopnia jednoznaczna, żeby traktować ją według schematu, że wszyscy

nału w Strasburgu, z dużym prawdopodobieństwem mogę stwierdzić, że trybunał ten orzeknie, że Polska naruszyła Europejską Konwencję Praw Człowieka właśnie dlatego, że wprowadziła w takiej, a nie innej postaci tę procedurę do polskiego systemu prawa i ją stosuje.

Czy pańskie biuro weryfikowało informacje o rzekomych masowych mordach na migrantach, których mieli dopuszczać się polska Straż Graniczna i leśnicy, następnie ukrywać ciała w „dołach śmierci” gdzieś w przygranicznych lasach?

Zajmujemy się sprawami konkretnych ludzi, konkretnych uchodźców, którzy sami czy poprzez pełnomocników bądź

być złośliwe, to znaczy, jaki zamiar mają sprawca czy sprawcy. Jest nim wyrażenie pogardy dla osób wierzących, dążenie do upokorzenia tych osób. W trakcie postępowania przesłuchano świadków i biegłych. Sąd na tej podstawie uznał, że ta sytuacja nie miała cech przeszkadzania złośliwego, a więc że celem osób, które zakłóciły mszę świętą, nie było wyrażenie pogardy, obrażenie, poniżenie czy wyszydzenie osób wierzących i uczestników nabożeństwa. Tyle mogę stwierdzić. Podkreślam, o tym orzeczeniu trudno mi wypowiadać się szerzej, skoro nie znam jego pisemnego uzasadnienia.

Czy wyrok poznańskiego sądu nie jest przejawem czystej kazuistyki? Sytuacja była ewidentna. Doszło do profanacji miejsca kultu religijnego, osoby, które wtargnęły do poznańskiej katedry, doprowadziły do przerwania mszy świętej. Czy ten akt sam w sobie nie obraża najgłębszych uczuć wiernych, nie poniża ich?

Nie wykluczam, że jest tak, jak pan powiedział. Trzeba jednak pamiętać, że przepisy prawa karnego, które wprowadzają sankcje, powinny być interpretowane w sposób możliwie ścisły. Wątpliwości trzeba rozstrzygać na korzyść oskarżonych. Przepis Kodeksu karnego mówi o tym, że przeszkadzanie w sprawowaniu mszy świętej podlega karze tylko wtedy, gdy jest złośliwe. Tak zdecydował parlament. Ta przesłanka złośliwości ma z kolei swoje utrwalone rozumienie, przedstawione w dotychczasowym orzecznictwie sądowym, w literaturze prawniczej. Powtarzam, nie każde zakłócenie przebiegu mszy świętej jest przestępstwem. Aby tak było, musi mieć ono pewne szczególne cechy związane z intencjami osób przeszkadzających. Jak zakładam, sąd uznał, że w tej sprawie zamiarem protestujących nie było obrażenie czy poniżenie wiernych, którzy uczestniczyli we mszy świętej, lecz wyrażenie swoich poglądów w związku z burzliwą dyskusją, która się w tamtym czasie toczyła po wyroku Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji. Gdy będzie dostępne pisemne uzasadnienie wyroku poznańskiego sądu, wtedy poznamy jego motyw. Dowiemy się, jakie były zeznania świadków i opinie biegłych, które doprowadziły sąd do takiego wniosku, że w sytuacji, która była przedmiotem wyroku, nie było owej cechy złośliwości.

Lockdown i towarzyszące mu rygory były w znacznej części oparte na wadliwej podstawie prawnej, co dzisiaj potwierdzają wszystkie sądy. A to dlatego, że ograniczenia praw i wolności człowieka mogą być wprowadzane tylko na podstawie decyzji parlamentu

Czy jako Rzecznika Praw Obywatelskich nie niepokoi pana sytuacja swoistej fikcji prawnej dotyczącej regulacji prawnych przyjętych w czasie pandemii COVID-19, które wciąż obowiązują? Epidemii nie ma, ale ograniczenia wielu wolności i swobód obywatelskich pozostały.

Z formalnego punktu widzenia mamy w Polsce w dalszym ciągu stan zagrożenia epidemicznego. Przypomnę, że w maju ubiegłego roku minister zdrowia wycofał stan epidemii. W mojej ocenie należy się zastanowić, czy obecnie nie zaistniały okoliczności, które dają podstawy do uchylenia również stanu zagrożenia epidemicznego. Co do tej kwestii powinni się wypowiedzieć eksperci. Ja mam generalnie wątpliwość związaną z tym, że w wielu obszarach prawa nadal obowiązują rozmaite ograniczenia, które były wprowadzane w czasie pandemii. Powstaje pytanie, czy w tej chwili nie żyjemy już w takim okresie, w którym te ograniczenia należałoby stopniowo eliminować i wracać do stanu poprzedniego. W przypadku wielu dziedzin życia pojawia się dodatkowy problem, dlatego że zarówno lockdown, jak i towarzyszące mu ograniczenia w dużym stopniu wprowadzane były rozporządzeniami rządowymi, a nie ustawami.

Lockdown i towarzyszące mu rygory były więc niekonstytucyjne?

Były w znacznej części oparte na wadliwej podstawie prawnej, co dzisiaj potwierdzają wszystkie sądy. A to dlatego, że ograniczenia praw i wolności człowieka mogą być wprowadzane, ale tylko na podstawie decyzji parlamentu, a nie aktów rządowych, czyli rozporządzeń, które nie są poddawane procedurze parlamentarnej i związanej z nią debatą demokratyczną. To ogólny problem związany z lockdownem i jego pozostałościami w systemie prawnym. Moim zdaniem w tej chwili należałoby przejrzeć cały system prawny pod kątem wszystkich pozostałości po pandemii i zastanowić się, czy one są w dalszym ciągu uzasadnione. Myślę, że

pierwszym krokiem ku temu powinno być jednoznaczne rozstrzygnięcie, czy nadal powinien obowiązywać stan zagrożenia epidemicznego.

Wydaje się, że sytuacja ograniczeń praw i wolności obywatelskich, z którą mieliśmy do czynienia w związku z COVID-19, jest symptomatyczna. Ograniczeń swobód obywateli, narastającego nadzoru nad ich prywatnością jest coraz więcej. Często wprowadza się je pod pretekstem interesu motywowanego bezpieczeństwem państwa. Doświadczamy „śmierci prywatności”?

Rzeczywiście obserwuję, szczególnie jeśli chodzi o przesłankę bezpieczeństwa państwa, że jest ona niekiedy zbyt pochopnie wykorzystywana do ograniczania wolności i praw człowieka. Przykładowo, mam na myśli ograniczenia w obszarze prawa do prywatności. Od wielu lat, nie tylko ja, lecz także moi poprzednicy, apelujemy do kolejnych rządów i parlamentów o pilną zmianę przepisów dotyczących inwigilacji i czynności operacyjnych prowadzonych przez służby specjalne. Gwarancje prywatności są, mówiąc ogólnie, dalece niesatysfakcjonujące, jak na standardy państw europejskiego.

W tej chwili kolejnym argumentem, którego używa się jako uzasadnienia dla utrzymywania tego stanu prawnego, jest bezpieczeństwo państwa. Wojna w Ukrainie ma przemawiać za jeszcze dalej idącą ingerencją w prywatność jednostki. To jednak wymaga głębszej refleksji. Nie wystarczy powiedzieć, że mamy wojnę za naszą granicą, i to już wystarczy do wprowadzenia kolejnych ograniczeń wolności. Obserwuję jednak, że czasami tak właśnie się dzieje, a tu jest potrzeba pewnego wyważenia, proporcjonalności. Staram się więc pozostawać w dialogu z przedstawicielami władzy publicznej i dostarczać im kolejnych argumentów za tym, że nie zawsze jest tak, iż przesłanka bezpieczeństwa państwa legitymizuje wszelkie ograniczenia praw i wolności człowieka.

Naczelny polski geopolityk w ostatnich latach uzyskał status prawdziwej gwiazdy. Dziesiątki tysięcy sprzedanych książek, miliony wyświetleń na YouTube i sale wypełnione po brzegi podczas spotkań autorskich mówią same za siebie. Rzesza fanów traktuje Jacka Bartosiaka niczym wyrocznię w sprawach międzynarodowych, brutalnie i niemal z sekciarską żarliwością atakując każdego, kto ośmieli się skrytykować jego tezy. Skąd się bierze ten fenomen? Kim jest Bartosiak i co proponuje Polsce?

PROROK GEOPOLITYKI

Andrzej Kohut z Klubu Jagiellońskiego, analizując temat popularności Bartosiaka, wskazał na trzy czynniki: hermetyczny język, prostota wyjaśnienia i obietnica alternatywy dla polskiej polityki. To wszystko prawda, aczkolwiek warto tu dołożyć co najmniej dwie kwestie – niezwykle charyzmę oraz... szczęście. Bo gdyby gwiazda Bartosiaka rozblęśla trzy lata wcześniej bądź trzy lata później, to sytuacja mogłaby wyglądać zupełnie inaczej.

Aby zrozumieć, skąd wziął się fenomen Jacka Bartosiaka, musimy się cofnąć do 2012 r., gdy po raz pierwszy mogliśmy usłyszeć o prawniku głoszącym szumne tezy o końcu NATO, schyłku hegemonii USA i nadchodzącej dominacji Chin. Jak jednak wyglądały wówczas Polska i świat? Był to czas drugiej kadencji Platformy Obywatelskiej, gdy Donald Tusk przechwalał się, że nie ma z kim przegrać, a Michał Kamiński publikował (współ z Andrzejem Morozowskim) swe wiekopomne dzieło zatytułowane „Koniec PiS-u”. Rok 2012 to czas obowiązywania polityki resetu Baracka Obamy, to czas, gdy Unia Europejska nadal wydawała się być rajem na ziemi, a Fukuyamowska wizja końca historii nacechowana mdłą politpoprawnością i demoliberalizmem zdawała się spełniać na naszych oczach, odsyłając na śmietnik historii takie pojęcia jak „narody” czy „patriotyzm”. Historia była obciążeniem, polityka – złem koniecznym.

I wówczas na scenę wkroczył Jacek Bartosiak, który ze swoimi rewolucyjnymi tezami idealnie wypełnił lukę po prawej stronie sceny politycznej, przekonując, że żyjemy w przededniu wielkiego

Doktryna Bartosiaka



Jan Fiedorczuk

Jacek Bartosiak lubi się kreować na chłodnego realistę, dla którego polityka sprowadza się do brutalnej gry interesów. W rzeczywistości pod tą maską skrywa się polityczny romantyk o wielkich ambicjach, który nie waha się stawiać własnego ego ponad polską rację stanu

starcia amerykańsko-chińskiego, a zarazem – co dodawał z teatralną emfazą – przed szansą Rzeczypospolitej na powrót do wielkości. Dla prawicy, która przez całą III RP słuchała, że nowoczesna polityka sprowadza się do administrowania krajem i porzucenia narodowych ambicji, było to prawdziwe objawienie. Bartosiak pokazywał, że można mówić o racji stanu i polskiej historii, nie zapisując się jednocześnie do PiS.

Istotne zresztą było nawet nie to, o czym opowiadał, ale jak to robił. Jego wystąpienia sytuowały się gdzieś pomiędzy wykładem a sztuką teatralną, między publicystyką a poetycką improwizacją. Zniżanie głosu, teatralne podwijanie rękawów, zamaszysta gestykulacja, znamienne pauzy i budowanie napięcia –

Bartosiak nie opowiadał po prostu o sytuacji geopolitycznej, on odgrywał przed widzami wielką opowieść. Jak stwierdziła jedna z dziennikarek, raczej krytycznie do niego nastawiona, „Bartosiak na żywo jest postacią hipnotyzującą”.

Warto też wskazać na monokausalizm Bartosiakowej wizji, w której geopolityka przestaje być narzędziem służącym do analizy, stając się kluczem, który w prosty sposób może objaśnić tajniki polityki międzynarodowej.

Na to nakładał się wspomniany już „hermetyczny język”, czyli geopolityczny słownik opracowany przez Bartosiaka (na podstawie zachodnich klasycznych prac) i eksploatowany do wręcz komicznej przesady. Drabina eskalacyjna, heartland, rimland, lewary, sworzeń,



FOT. STERN WASZEWSKI/REPORTER

ocean światowy, pętla decyzyjna, dualizm na Łabie, brama smoleńska, przepływy strategiczne itd. W swojej najnowszej książce zamiast pisać o elicie państwa i społeczeństwie, woli stosować metafory „wieży” i „placu”. W pracach Bartosiaka nie przeczytamy zatem, że społeczeństwo po prostu naciska na władzę, aby wyegzekwować jakieś rozwiązania – dajmy na to wstrzymanie wycinki lasu – tylko że „plac przechyla wieżę na swoją stronę w celu uzyskania przewagi strategicznej w grze statutowej na rzecz stordedowania akcji dezintegracji drzewostanu”.

Pozostaje jednak pytanie: Po co ta lingwistyczna ekwilibrystyka? Wszak wystarczy wziąć do ręki pierwsze z brzegu opracowanie, by się przekonać,

że w literaturze fachowej nikt nie stosuje takiej terminologicznej inflacji.

Wydaje się, że klucz do rozwiązania tej zagadki jest dość prosty. O wielce kontrowersyjnym niemieckim filozofie Martinie Heideggerze krążył złośliwy bon mot, że w jego twórczości same słowa są bardziej oryginalne niż myśli. Odnosiło się to do charakterystycznego dla fryburskiego filozofa tajemniczego, patetycznego tonu połączonego z wyszukany słowotwórstwem, co jego uczniom dawało poczucie obcowania z jakąś wiedzą tajemną. Skoro Heideggera nikt nie rozumiał, to znaczy, że musiał być to myśliciel nad wyraz głęboki. Wydaje się, że w przypadku Bartosiaka (toutes proportions gardées oczywiście) mamy do czynienia właśnie ze swoistą

„heideggeryzacją” geopolityki – z dziedziny, której rolą powinno być objaśnianie wzajemnych relacji między polityką a geografiami, Bartosiak uczynił niemal wiedzę tajemną. Siebie natomiast namaścił na jej proroka, który objaśnia arkana wybrancom losu.

WIZJONER?

Najnowsza książka Bartosiaka, „Najlepsze miejsce na świecie”, reklamowana jako „najbardziej osobista pozycja” w dorobku Bartosiaka, to przedziwna, nieco patchworkowa praca, w której tuż obok analizy geopolitycznej znajdziemy dziennik podróży, a obok opisu modernizacji armii pojawiają się wiersze Miłosza i Herberta.

Książka była zapowiadana jako opis stanu państwa polskiego, elit politycznych, a zarazem jako raport z prób wdrożenia wielkiego projektu reformy polskiego wojska. Armia Nowego Wzoru (dalej ANW), bo tak nazwano to przedsięwzięcie, została opracowana w 2021 r. przez zespół Strategy & Future – think tank, którego założycielem, szefem oraz najogólniej mówiąc spiritus movens jest właśnie Bartosiak. Organizacja do tej pory znana była z publicystyki i popularyzacji geopolityki, jednak pomysł ANW pod względem rozmachu i złożoności to przedsięwzięcie z zupełnie innej półki. Mimo ogromu pracy (sama prezentacja ANW trwała ponad 10 godzin) projekt nie spotkał się jednak z akceptacją ani kręgów decyzyjnych, ani eksperckich, ani nawet szczególnie zainteresowaniem mediów.

Czy MON słusznie zignorowało pomysł ANW? Wielu ekspertów od początku podchodziło sceptycznie do planów Strategy & Future, co było powodowane nie tyle jakąś niechęcią do Bartosiaka, ile raczej przeświadczeniem, że prywatny think tank po prostu nie dysponuje odpowiednim potencjałem i środkami do opracowania planu skrupulatnej reformy całej armii. Najmocniej wybrzmiała bodaj krytyka Krzysztofa Wojczala, popularnego prawnika zajmującego się na co dzień geopolityką, który opublikował wnikliwą (na 80 stron!) analizę ANW, bezlitośnie punktuje deprecjonujące podejście do lotnictwa, sił pancernozmechanizowanych czy tworzenia licznej armii.

Jeszcze kilka miesięcy przed rosyjską inwazją na Ukrainę podczas wystąpienia

■ na Forum G2 Bartosiak wprost mówił, że ciężki przemysł w Polsce trzeba „zaorać”, a na jego miejsce zbudować przemysł nowoczesny „bez tych wszystkich ciężkich komponentów”. Powodem było jego przekonanie, że „współczesna wojna będzie wyglądać inaczej”, a w związku z tym Polska powinna skoncentrować się na robotyce, automatyzacji, amunicji precyzyjnej, komunikacji kwantowej itd., czyli „na wszystkich rzeczach nowych, które będą determinowały krótki konflikt”.

W programie ANW przekonywano, że wojna potrwa do dwóch tygodni i będzie miała nowoczesny charakter. Do tego doktryna Bartosiaka opierała się na pomysśle wypuszczenia Rosjan w głąb polskiego terytorium na kilkadziesiąt kilometrów, aby bronić się na linii Wisły. Bogatsi o ukraińskie doświadczenia wiemy, że to nie „komunikacja kwantowa” i robotyka, ale „staroświeckie” czołgi nadal rozstrzygają o losach współczesnych wojen, podobnie jak wiemy, że wypuszczenie rosyjskiej armii na polskie terytorium prowadziłoby do rzezi cywilów wydanych na łaskę najeźdźcy.

Zdaniem Bartosiaka w wypadku rosyjskiej agresji Polska ma dwie możliwości: skupić się na obronie na linii Wisły lub przeprowadzić atak wyprzedzający

Bartosiak brzmi bardziej przekonująco, gdy operuje na pewnym poziomie ogólności, skupiając się raczej na trendach w międzynarodowej polityce niż wchodząc w konkretne, szczegółowe rozwiązania. Jednak również tutaj, gdy weźmiemy optykę kilku lat (a nie miesięcy), wizjonerstwo miesza się z grubymi pomyłkami. Koronnym przykładem może być teza, jakoby w celu powstrzymania rosnącego znaczenia Chin Stany Zjednoczone miały się wycofać z Europy i budować sojusz z Rosją. Po upływie kilku lat widać, że rzeczywistość potoczyła się całkowicie odwrotnie.

Zresztą sama sztandarowa diagnoza Bartosiaka dotycząca kryzysu USA oraz rzekomego przeganiania Ameryki przez

Chiny wydaje się wątpliwa. Takie wskaźniki jak PKB, S&P 500 czy PMI potwierdzają raczej dominującą pozycję Stanów Zjednoczonych. Klasyczny u Bartosiaka wywód, że Chińczycy produkują x razy więcej stali, wylewają x razy więcej betonu i stawiają x razy więcej budynków niż państwa Zachodu, także trudno uznać za trafiony. Te wyliczenia oczywiście brzmią efektownie, jednak drugą stroną medalu, o której geopolityk już nie wspomina, są np. chińskie miasta widma, w których stoją setki tysięcy pustych budynków, bankructwa kolejnych chińskich firm budowlanych czy to, w jaki sposób te nieskończone morza wylanego betonu przekładają się na PKB per capita Chińczyków. Wzrostu znaczenia Państwa Środka oczywiście nikt nie może kwestionować, jednak zbyt dalekie wnioski, które znamionują refleksję Bartosiaka w tej kwestii, jakkolwiek efektowne, są co najmniej na wyrost.

GAMBIT BARTOSIAKA

W niedawnej rozmowie z dziennikarzem Igorem Jankem Bartosiak przekonywał, że memy, które krążą w Internecie na temat jego osoby, były w rzeczywistości częścią intrygi, której celem było zdyskredytowanie zarówno jego samego, jak i całej ANW. – Memy były zorganizowaną akcją wynikającą z tego, że zmonopolizowaliśmy w sposób profesjonalny debatę o modernizacji wojska polskiego i jeszcze oparliśmy się o Amerykanów – mówił Bartosiak.

Tak też dochodzimy do wątku USA, który jest kluczowym momentem nowej książki, a chyba i samej „doktryny Bartosiaka”. Od pewnego czasu, jeżeli obserwować się internetową dyskusję wokół mecenasa, można było wychwycić plotki, jakoby Bartosiak groził polskim władzom, że mają wdrożyć projekt Armii Nowego Wzoru albo on skontaktuje się z Amerykanami w tej kwestii. Nigdy o tym nie pisałem, gdyż oprócz plotek nie widziałem wypowiedzi samego geopolityka świadczących o takim zdarzeniu. Aż do teraz. W swojej najnowszej książce Bartosiak nie tyle przyznaje się do prób szantażowania polskich władz, ile wprost, otwartym tekstem, pisze, że pertraktował z Amerykanami, aby USA wymusiły na rządzie RP wdrożenie reform Strategy & Future.

Oddajmy głos autorowi: „Zależało nam na nowoczesnym zreformowaniu polskie-

go wojska i mieliśmy świadomość, że bez spięcia naszych polityków amerykańskimi ostrogami to się nie powiedzie [podkreślenia moje – przyp. J.F.]”. Kilka stron dalej dodaje natomiast: „Amerykański gambit miał pomóc podjąć dobre dla Polski decyzje przez pozyskanie wsparcia dominującego mocarstwa dla modelu potrzebnej reformy. Wsparcia tak stanowczego, by przełamało niemoc wykonawczą polskiego systemu publicznego oraz by podeptało i skruszyło siły nacisku oraz grupy lobbystyczne skoncentrowane wyłącznie na partykularnych interesach finansowych”. Jak następnie eufemistycznie konkluduje Bartosiak: „Dokonywaliśmy tak zwanej projekcji intencji za państwo polskie”.

Warto, aby powyższe fragmenty wybrzmiały z pełną mocą – naczelny polski geopolityk, człowiek formatujący wyobraźnię tysięcy młodych ludzi, otwarcie przyznaje, że dla wdrożenia koncepcji swego think tanku był gotów „łamać i kruszyć” wszelki opór oraz „spinać amerykańskimi ostrogami” polskie władze. Nie odmawiam rzecz jasna Bartosiakowi swoiście rozumianej troski o Polskę, ale powyższe passusy dowodzą nie tylko rozmiarów jego ego, lecz także zupełnego niezrozumienia tego, czym jest racja stanu.

Sprawa robi się jednak naprawdę poważna, gdy weźmiemy pod uwagę koncepcję „aktywnej obrony”, o której ostatnio zrobiło się głośno. Zdaniem Bartosiaka w wypadku rosyjskiej agresji Polska ma de facto dwie możliwości – skupić się na obronie na linii Wisły (czego dotyczy ANW) albo przeprowadzić, sugerowany przez niego w ostatnim czasie, atak wyprzedzający, czyli po prostu wypowiedzieć wojnę Rosji i przenieść „teatr wojny” poza własne terytorium.

Bo o tym, że do wojny polsko-rosyjskiej w końcu dojdzie, to Bartosiak jest przekonany. Jak pisze w swojej najnowszej książce: „Pozostaje tylko kwestią czasu, kto komu narzuci wolę i sprawczość. Tertium non datur. Niekończący się konflikt, zimny lub gorący, aż do podporządkowania sobie przeciwnika”. Jak jednak można zniwelować rosyjskie parcie do europejskiego systemu? Cóż: „Należy złamać rosyjski punkt ciężkości owej polityki, czyli po prostu wojsko rosyjskie”.

Koncepcja prewencyjnego ataku wiąże się z wieloma problemami i wątpliwościami, jednak podstawowy problem jest taki,

W postaci Bartosiaka jest coś z Wokulskiego – to człowiek o wielkiej, romantycznej wizji Rzeczypospolitej, który na co dzień przybiera maskę chłodnego realisty

że Polska musiałaby wówczas dobrowolnie zrezygnować z parasola ochronnego NATO – jedynego poważnego atutu, którym w konflikcie z Moskwą dysponuje III RP po trzech dekadach swego kulawego funkcjonowania – i na własną rękę zmierzyć się z projektem przeprowadzenia inwazji na mocarstwo nuklearne. Sam Bartosiak w Radiu Zet przyznał niedawno, że idea tzw. aktywnej obrony „jest przeciwko sojuszowi, a w szczególności solidarności sojuszniczej artykułu piątego”.

Reasumując, możemy stwierdzić, że cały proces wokół Armii Nowego Wzoru wygląda następująco: zespół dowodzony przez Bartosiaka opracowuje holistyczny plan reformy armii. Projekt zostaje krytycznie oceniony przez ekspertów oraz zignorowany przez polskich polityków. Bartosiak rusza do USA, gdzie rozmawia z „ważnymi Amerykanami” i stara się zmusić polskie władze za pomocą obcego mocarstwa do wdrożenia reformy. Równolegle Bartosiak sugeruje konieczność strategii opartej na przewencyjnym ataku na mocarstwo nuklearne, a zatem

pozbawienia naszego kraju parasola ochronnego NATO, które to jest sojuszem obronnym.

Pozostaje jedno pytanie: Czy Bartosiak podczas swych rozmów z Amerykanami i prób zaangażowania ich w „spieczę ostrogami” polskich władz wtajemniczył ich w pomysł „aktywnej obrony”? Bo jeżeli tak, to należy uznać, że pewna granica została przekroczona, a nasz geopolityk wprost działa na szkodę polskiego państwa.

UKRYTY ROMANTYK

Bartosiak odwołuje się do bezwzględnego realizmu i chłodnej oceny sił, wyśmiewając wszelkie emocjonalne uniesienia w polityce i charakterystyczne dla idealizmu mówienie o wartościach w polityce, jednocześnie sam jest jednak romantyczny do bólu. W jego postaci jest coś z Wokulskiego – to człowiek o wielkiej, romantycznej wizji Rzeczypospolitej, który na co dzień przybiera maskę chłodnego realisty.

Jest to jednak realizm powierzchowny, to realistyczne opakowanie kryjące romantyczne serce. Wystarczy włączyć dowolny film Bartosiaka, na którym na mapie Europy Środkowo-Wschodniej rysuje przyszły układ sił na pomoście bałtycko-czarnomorskim albo wzdycha do chwil chwały dawnej Rzeczypospolitej. Dlatego też jego wypowiedzi tak mocno rezonują w polskim społeczeństwie. Cała nasza współczesna kultura w jakimś stopniu wywodzi się z romantyzmu, a wizje Bartosiaka, jego hipnotyzujące

wystąpienia i analogie historyczne po prostu grają na strunach, które są tak czułe w sercu każdego Polaka. To pokłosiem romantyzmu Bartosiaka jest idea nieuniknionego konfliktu z Moskwą, wizja rozpadu Rosji, pomysły wysyłania wojsk NATO na Ukrainę, przewencyjnej „obrony aktywnej”, federacji wielonarodowej na „pomocie bałtycko-czarnomorskim” itd.

Mimo nieustannego traktowania obu pojęć jako swych synonimów polityczny romantyzm jest nieco czym innym niż idealizm (koncepcja liberalna) w stosunkach międzynarodowych i wykracza w ogóle poza dziedzinę geopolityki. Zasada się m.in. na figurze wybitnej jednostki, która porywa tłum, wyrasta ponad niego i kwestionuje dotychczasowe normy rządzące społeczeństwem. Przeświadczony o swym geniuszu autor snuje wielkie wizje i czuje potrzebę przewodzenia wspólnoty. Romantyzm to w istocie postawa rewolucyjna. I dlatego Bartosiak postrzega samego siebie za jednostkę, która ma prawo decydować o Polsce („ja i ojczyzna to jedno”), i dla dobra Polaków bierze ich los na swe barki. Ten prometeizm w istocie jest zatem podejściem stricte romantycznym, które stoi w opozycji do konserwatyzmu uznającego prymat racji stanu nad widzimisię jednostki.

Pod maską realisty kryje się najprawdziwszy romantyk, który pochylając się nad mapami sprzed lat, z rozrzewnieniem wspomina minione czasy wielkości polskiego oręża i snuje plany kolejnej wojny z Rosją.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Fundacja
Dorastaj z Nami

tata
strażak, żołnierz,
policjant – zginął
na służbie

Przekaż 1,5%

KRS: 0000 36 12 65

(Nie)męskie wykluczenie



Tomasz Rowiński

Sytuacja psychospołeczna mężczyzn jest zła, ale spotyka się to z dość powszechnym brakiem zainteresowania debaty skupionej na kobietach

Choć aż 85 proc. przypadków samobójstw w Polsce jest popełnianych przez mężczyzn, to temat tej strasznej dysproporcji stosunkowo mało kogo interesuje. Także polskie państwo wydaje symboliczne kwoty na prewencję suicydalną. Dlaczego tak się dzieje? Może właśnie dlatego, że w taki właśnie sposób ukształtowana została debata publiczna oraz polityczna i męski problem nie jest problemem?

Bez wątpienia ruch emancypacyjny kobiet odniósł sukces. Każdy, kto krytycznie odnosi się do elementu programu emancypacyjnego, musi się liczyć z tym, że spotka się nie tylko z merytoryczną ripostą, lecz także – co częściej – z presją moralną. Będzie szowinista, wrogiem kobiet itp. W pewnej mierze społeczne postulaty utożsamiane jako „kobiece” są nietykalne. A zatem trwają dyskusje o sprawach rozmaitych, od kwestii takich jak: „Czy aborcja może być prawem człowieka?”, aż do szczegółowych propozycji: „Czy państwo i samorządy powinny zająć się problemem ubóstwa menstruacyjnego?”.

Zresztą chodzi nie tylko o dyskusję; sprawy postulowane przez różne środowiska zainteresowane tematem tak czy inaczej pojętej kobiecej emancypacji łatwo i szybko stają się elementem politycznej agendy. A wiadomo, że od debaty do polityki droga jest czasem bardzo długa, nawet jeśli dotyczy to spraw ważnych. Bez wątplenia można powiedzieć, że w naszym

kręgu cywilizacyjnym kobiety uzyskiwały kulturową przewagę nad mężczyznami. Jeśli chodzi o niektóre obszary dyskursu, to trzeba wręcz mówić o dominacji. Przekłada się to zresztą – także pozytywnie – na relacje społeczne. W społeczeństwach, które ze względów historycznych nie mają zastanej struktury – a do takich należy Polska – nierówności płacowe na niekorzyść kobiet są niewielkie, kobiety są też silniej reprezentowane w biznesie. Odsetek kobiet na stanowiskach właścicielskich czy menedżerskich w naszym kraju znacznie przekracza unijną średnią.

Istnieją też oczywiście znacznie bardziej problematyczne aspekty procesu wyrównywania pozycji społecznej kobiet. O jednym z nich już wspominałem: to szeroko obecne, nie tylko na Zachodzie, przekonanie, że fundamentalne prawo człowieka, czyli prawo do życia, może być kwestionowane w imię dość arbitralnie formułowanych postulatów na rzecz tzw. praw kobiet. „Prawa kobiet” – oczywiście tych urodzonych – dziś sprowadzają się niemal całkowicie do kwestii nieograniczonego dostępu do aborcji. Inny niepokojący aspekt emancypacji, w obecnie realizowanej formie, stanowi powszechnie obecne w potocznym dyskursie równościowym przekonanie, że mężczyźni we wszystkich grupach społecznych są uprzywilejowani. W praktyce oznacza to wyciszanie znaczenia danych pokazujących pozytywne zmiany na rzecz dowartościowania kobiet

w społeczeństwie. Ich uznanie wymuszałoby niuansowanie czarno-białej narracji przeciwko panującemu rzekomo patriarchatowi, jednak oznacza także wykluczanie problemów mężczyzn ze zbioru zjawisk wymagających politycznego rozwiązania.

ZŁA SYTUACJA MĘŻCZYZN

Tymczasem problemy mężczyzn w Polsce wiążą się z wieloma nierównościami. Dotyczy to rosnącego między płciami rozżewu, jeśli chodzi o przewidywalną długość życia, pogarszającej się sytuacji edukacyjnej mężczyzn, nierówności w odniesieniu do wieku emerytalnego czy obowiązku mobilizacyjnego. Niektóre nierówności są bardziej złożone. Jak zauważył w opublikowanym 11 kwietnia na portalu „Krytyki Politycznej” wywiadzie Jakub Chabik, prezes Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn, „polski system emerytalny finansują mężczyźni z klas niższych, którzy zaczynają pracować fizycznie zaraz po osiągnięciu pełnoletności, a niekiedy nawet wcześniej. W grupie wiekowej 18–22 jest dwa razy więcej pracujących mężczyzn niż kobiet. Jednocześnie to oni najkrócej żyją”.

Takich korelacji jest więcej, ale spotykają się one z dość powszechnym brakiem zainteresowania debaty skupionej na kobietach. Tymczasem zasygnalizowany na początku tekstu problem przytłaczającego odsetka mężczyzn w grupie osób podejmujących skuteczną próbę samobójczą jest markerem pokazującym rzecz zasadniczą: sytuacja psychospołeczna mężczyzn jest zła. Michał Gorczyca w artykule „Polska krajem samobójców? Pilnie potrzebujemy skutecznej polityki prewencyjnej”, opublikowanym 22 czerwca 2022 r. na portalu Klubu Jagiellońskiego, tak pisał o zamachach na własne życie, które podejmują mężczyźni: „Największą grupę stanowią powody nieustalone, które w mojej opinii są często wynikiem spiętrzenia się wielu problemów. Wydaje się, że może tu chodzić np. o subiektywne poczucie niemożności poradzenia sobie np. z trudną sytuacją finansową, zawodową, rodzinną czy też problemy w relacjach wynikające z wychowywania się w dysfunkcyjnym środowisku itd. Choć część tych powodów z perspektywy osoby trzeciej stwarza pozór błahych, to dla człowieka postrzegającego siebie jako uwięzionego w ciemnym pokoju bez możliwości jego opuszczenia i bez nadziei jawią się jako nie do przezwyciężenia”.

Feministki przyczyn męskich problemów dopatrują się głównie w patriarchalnych strukturach społecznych, czyli w kulturze rywalizacji zawodowej i społecznej, kulcie odporności emocjonalnej, sukcesu i siły. Nie zauważają, że tego rodzaju argumentacja nosi znamiona victim blaming, czyli oskarżania ofiar o ich własną krzywdę. Mężczyźni mieliby być sami sobie winni. Tymczasem w epoce postpatriarchalnej, czyli tej, w której faktycznie żyjemy, oczekiwania wobec mężczyzn stały się jeszcze większe, i to za sprawą samych kobiet. Te w dalszym ciągu szukają partnerów o jak najlepszej pozycji społecznej i ekonomicznej, odpornych emocjonalnie, odnoszących sukcesy, jednocześnie jednak posiadających szerokie kompetencje psychospołeczne w zakresie obowiązków domowych, opieki nad dziećmi, empatycznych etc. Trudniej zasłużyć jest mężczyznom na miano bycia męskim niż kobietom na bycie kobiecymi. Gorczyca zauważa istnienie tej tendencji w kontekście kultury patriarchalnej, ale jej sfeminizowana wersja zdaje się w praktyce nakładać na mężczyzn jeszcze większe oczekiwania.

Niestety, sytuacja w Polsce, zamiast się poprawiać, jest coraz gorsza. Jak pisał ostatnio w mediach społecznościowych Michał Gulczyński, autor raportu „Przemilczane nierówności. O problemach mężczyzn w Polsce”: „Polska jest jedynym krajem Grupy Wyszehradzkiej, w którym nie ubywa samobójstw mężczyzn. W 1990 r. liczba samobójstw na 100 tys. mężczyzn była dwa razy niższa niż na Węgrzech. Dzisiaj w obu krajach jest niemal równa”. Tymczasem, jak zauważa ekspert, w ostatnich 30 latach w Czechach liczba samobójstw mężczyzn spadła o 30 proc., kobiet aż o 60 proc., na Słowacji spadek dotyczył obu płci na podobnym poziomie i wyniósł mniej więcej jedną trzecią. Na Węgrzech liczba samobójstw mężczyzn spadła o 50 proc., a kobiet o 60 proc. Od roku 2010 w krajach tych zaczęła się też poprawiać na korzyść mężczyzn relacja pomiędzy przypadkami samobójstw męskich i kobiecych. Wciąż jest ich więcej, ale proporcje nie są tak dramatyczne. Z danych zaprezentowanych przez Gulczyńskiego wynika, że w Polsce mamy dziś podobny poziom samobójstw jak w roku 1990. Licz-

ba samobójstw kobiet spadła w ostatnich 30 latach o jedną czwartą.

GORZEJ NA WSCHODZIE

Gulczyński zwraca uwagę, że państwa Europy Środkowej i Wschodniej w zakresie nierówności dotyczących mężczyzn wypadają gorzej niż kraje zachodnie. To ciekawe w kontekście tego, że z nierównościami odnoszącymi się do kobiet zasadniczo radzimy sobie lepiej od Zachodu. Ważne jest pytanie, czy te dwie kwestie jakoś się ze sobą zazębiają i czy zarówno w przypadku kobiet, jak i mężczyzn statystyki mogą się poprawiać. Warto też zapytać, czy problemy nierówności, które dotyczą w różny sposób kobiet i mężczyzn, da się rozwiązać bez wojny płci na poziomie polityki ogólnokrajowej. Dzisiejszy brak zainteresowania problemami mężczyzn wśród polityków większości ugrupowań parlamentarnych nie wróży tej sprawie dobrze na przyszłość. A problemy te same nie znikną, raczej będą się pogłębiać razem z coraz wyraźniej dostrzegalnym rozwarstwieniem płci w różnych społecznych zakresach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

John Boyne
CHŁOPIEC W PASIASTEJ PIŻAMIE
Międzynarodowy bestseller
11 milionów sprzedanych egzemplarzy
Replika

John Boyne
CÓRKA KOMENDANTA
Kontynuacja bestsellera
CHŁOPIEC W PASIASTEJ PIŻAMIE
Replika

KONTYNUACJA
jednej z najważniejszych
powieści o Holokauście

**Wstrząśnie Tobą tak,
jak uczynił to
CHŁOPIEC
W PASIASTEJ
PIŻAMIE**

Patroni medialni:
lubimy czytać DO RZECZY Radio Poznań granice.pl

Replika
www.replika.eu

Łatanie dziur w taksówkach



Łukasz Zboralski

Rząd wpuścił na polski rynek przewozy na aplikacje. Zaczęło być nowocześnie i tanio. Jednak drzwi otworzono za szeroko – taksówkami jeżdżą obcokrajowcy bez prawa jazdy i potężnie wzrosła liczba gwałtów. Czy uchwalona właśnie nowelizacja rozwiąże ten problem?

Kilka lat temu zagraniczne koncerny oferujące przewozy osób, obsługiwane za pomocą internetowych aplikacji, weszły na polski rynek. Ominęły wiele regulacji obowiązujących taksówkarzy. To spodobało się klientom, bo ceny spadły trzykrotnie. Nie spodobało się to jednak krajowym firmom taksówkarskim, które wskazywały, że konkurencja zaczęła być niezdrowa.

Minister infrastruktury nie zauważał problemu aż do momentu, gdy narósł do tego stopnia, że taksówkarze zaczęli w protestach blokować miasta. Wówczas w resorcie przy ul. Chałubińskiego zaczęto przygotowywać prawo, nazwane potem „Lex Uber”, które miało uregulować sprawę przewozów na aplikacje. Wyszło wtedy na jaw, że ówczesna ambasador USA kierow-

ła pisma do ministra Andrzeja Adamczyka, grożąc mu wstrzymaniem amerykańskich inwestycji nad Wisłą. W ten sposób walczyła o interesy amerykańskiego Ubera.

Ustawa powstawała w bólach. I – jak się okazało – niewiele zmieniła. A właściwie koncernom pomogła, bo zniosła egzamin z topografii, który odbywał się w języku polskim. W taksówkach nadal jeżdżą niezidentyfikowani obcokrajowcy, tyle że na autach są też koguty „Taxi”, a przewozy kosztują już nieco więcej.

GWAŁTY I PR Z ANJĄ RUBIK

Problem z przewozami na aplikacje zaczął narastać. Bo wzrosła liczba przestępstw popełnianych przez kierowców takich taksówek. Głównie chodziło o napaśtowania kobiet i gwałty. W tej sprawie

interweniowała poseł Aleksandra Gajewska z PO. Interweniowała u Prokuratora Generalnego w sprawie pomocy dla kobiety, która została pobita i zgwałcona w trakcie przejazdu taksówką na aplikację. Podczas niedawnego posiedzenia w Sejmie Gajewska przypominała, że jeszcze w 2016 r. i kilku kolejnych latach liczba zgłoszeń przestępstw popełnianych w przewozach na aplikacje była niewielka. – W 2021 r. było ich już 16, a w 2022 r. aż 35. Niepokojące jest to, że prawie połowa zgłaszanych spraw jest umarzana – podkreśliła podczas sejmowej Komisji Infrastruktury.

Po tym, jak sprawą zajęły się media, koncerny zaczęły informować o zmianach. Stworzono w aplikacjach możliwość przewozu z kierowcą, który jest kobietą. Firma Uber ogłosiła w marcu tego roku, że... wsparła fundację SexEdPL modelki Anji Rubik, która zajmuje się „edukacją w zakresie praw człowieka, równości płci czy relacji”.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu w Lublinie policjanci zatrzymali Gruzina, który w taksówce Bolt po dowiedzeniu kobiety na miejsce przesiadł się na tylne siedzenie, przytrzymał ją i zaczął całować. Kobiecie udało się uciec.

Ostatecznie rząd zaproponował zmiany prawa. Projekt został w połowie kwietnia przegłosowany przez Sejm (musi jeszcze przegłosować to Senat, a podpisać prezydent). Uzyskał znaczną większość głosów. Choć byli i tacy posłowie jak Dobromir Sośnierz, który przekonywał, że wszystko ureguluje rynek – bo skoro kobiety będą nadal gwałcone, to przestaną wybierać taksówki, w których im to grozi.

Nowe prawo przede wszystkim wprowadza kontrolę nad tym, kto właściwie przewozi pasażerów. Bo – jak beztrudno przyznał rząd – „Lex Uber” stworzył fikcję. „Aktualnie przepisy nie zabezpieczają przed sytuacją, w której aplikację stosuje i realizuje przewóz inna osoba niż faktycznie zgłoszona do przedsiębiorcy” – czytamy w uzasadnieniu nowelizacji.

Nowe przepisy zobowiązywać będą firmy do tego, by kierowca stawiał się osobiście w ich siedzibie. Tak ma dokonać się jego prawdziwa weryfikacja. Firmy będą musiały wykonać też zdjęcia twarzy kierowców. Aplikacja ma zmuszać potem kierującego taksówką do wykonania sobie co jakiś czas zdjęcia twarzy, które zostanie porównane z tym w bazie. Pomysł dobry,

jednak prawo zakłada, że kierowca będzie musiał się w ten sposób weryfikować „co najmniej” raz na... 100 przejazdów. Trudno uznać, że to gęste sito.

Obowiązek weryfikacji kierowców zmusić ma też w teorii firmy do zapoznania nad swoimi pracownikami – czyli używającymi aplikacji do zarabiania. Jeśli bowiem kierowca popełni przestępstwo, to firma będzie odpowiadać za brak odpowiedzialności w doborze pracowników.

Miedzy różnymi przedsiębiorcami ma się też odbywać wymiana danych o kierowcach. Po to, by osoba, która w jednej firmie dopuści się jakichś nadużyć, nie miała szansy na podjęcie zarobkowania w innej.

Przedsiębiorstwo taksówkarskie będzie miało teraz obowiązek – na żądanie Inspekcji Transportu Drogowego – udostępnić dane o weryfikacji kierowcy i jej wyniku. Za niedopełnienie takiego obowiązku grozić będzie kara w wysokości 10 tys. zł. Przy ponownym niedopełnieniu – 50 tys. zł.

NOWE PRAWO NADAL MA LUKI

To, czego ustawa nie załatwi, wskazywali obecni na Komisji Infrastruktury przed-

stawiciele rodzimych firm taksówkarskich i zrzeszeń kierowców. Byli oburzeni tym, że obcokrajowcy nie będą musieli nadal przedstawiać zaświadczeń o niekaralności. I słusznie dowodzili, że w ten sposób nadal w taksówkach zasiadać będą mogli np. skazani za granicą gwałciciele. Będący twarzą nowelizacji minister cyfryzacji Janusz Cieszyński tych zarzutów nie umiał odeprzeć. Twierdził, że ograniczyłoby to możliwość zarobkowania w przewozach na aplikacje wielu osobom, które musiałyby jechać po takie zaświadczenia do krajów reżimowych, takich jak Białoruś. Tymczasem takie zaświadczenie można otrzymać poprzez ambasadę. Drugi argument ministra – że poszkodowani zostaliby ludzie ukarani przez niedemokratyczne reżimy – też trudno utrzymać. Bo czy wszyscy muszą pracować jako taksówkarze? Czy bezpieczeństwo polskich kobiet w taksówkach ma być ceną za niesłuszne skazanie kogoś za granicą?

Ustawa prawdopodobnie utrudni jeżdżenie taksówkami tym, którzy pokazują podrobione prawa jazdy albo wcale ich nie mają (takich odkrywała policja podczas kontroli w wielu miastach). Nie utrudni

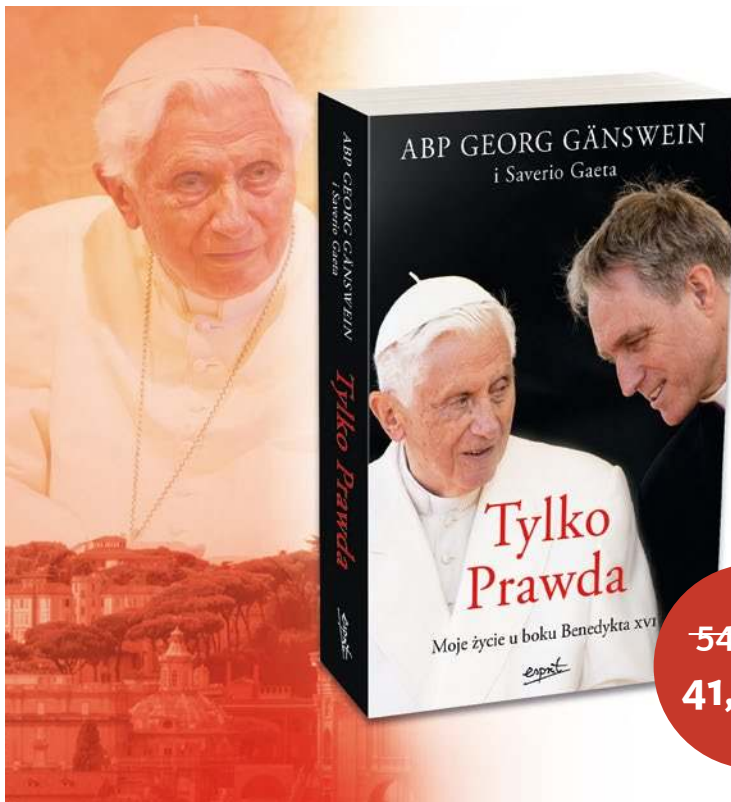
za to w ogóle prowadzenia pojazdów tym, którzy uprawnienia zdobyli w krajach, gdzie nie jest to szczególnym wyzwaniem. Uznawanie prawa jazdy regulują bowiem międzynarodowe konwencje.

Nowelizacja zawiera też dwie niespodzianki, które nie są związane z przewozami na aplikacje. Jedną to zniesienie tzw. opłaty ewidencyjnej, którą polskie urzędy pobierają m.in. przy czynnościach związanych z rejestracją pojazdów. To opłata wynosząca 50 gr lub 1 zł, której koszt zbierania nie pokrywa wydatków na organizację takiego systemu.

Drugi zapis władza starała się ukryć. Minister Cieszyński, przedstawiając projekt na Komisji Infrastruktury, o takich zapisach nawet się nie zająknął. Okazało się, że do ustawy mającej zabezpieczyć kobiety w taksówkach dopisano złagodzenie prawa wobec kierowców naruszających przepisy. Punkty karne znów kasować będą się po roku (ale od zapłacenia mandatu). Wróć też odpłatne kursy, które raz na sześć miesięcy pozwolą usunąć kierowcy z konta sześć punktów karnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WYZNANIE ŚWIADKA ŻYCIA BENEDYKTA XVI

Po śmierci Benedykta XVI nadszedł czas, aby abp Georg Gänswein powiedział całą prawdę o niegodnych oszczerstwach, którymi bezskutecznie próbowano rzucić cień na posługę papieża Ratzingera.

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratyski!
Zamów książkę na esprit.com.pl
lub pod numerem telefonu **12 267 05 69**.

54,90 zł
41,90 zł

esprit

Przyznałem się do tego, ale tylko z tego powodu na policji się przyznałem, bo [...] ci, którzy mnie zatrzymywali, powiedzieli, że mają na mnie takie, jakie mają, dowody. I zaczęli mnie bić, żebym się do tego przyznał, że ta sprawa za długo trwa, że nie mogą odnaleźć prawdziwych sprawców, i ja muszę się do tego przyznać, bo inaczej nie wyjdę żywy z ich pokoju. I po prostu tak mnie bili, że nawet bym się przyznał, że strzelałem do papieża, nie? – tak Tomasz Komenda opowiadał po latach o tym, dlaczego przyznał się do zgwałcenia i zabicia w noc sylwestrową z 1996 na 1997 r. 15-latkę Małgorzaty Kwiatkowskiej. W sprawie tzw. zbrodni miłoszyckiej policja przez trzy lata nie była w stanie ustalić podejrzanych. Przełom nastąpił po emisji reportażu telewizyjnego, po którym zadzwoniła kobieta przekonana, że jeden z portretów pamięciowych przedstawia syna sąsiadów. To był Komenda – niekarany, po szkole specjalnej, pracujący w myjni. Za kratki trafił w 2000 r. W 2004 r. mężczyznę skazano na 25 lat więzienia za zgwałcenie i zabójstwo Małgosi.

Do sprawy z Miłoszyc wrócił w 2016 r. policjant Centralnego Biura Śledczego Policji Remigiusz Korejwo. Wraz z dwoma innymi funkcjonariuszami przebrnęli przez tomy akt. Korejwo opowiadał, że zajęli się przypadkiem Komendy dzięki policyjnej intuicji – czuł, że coś tu jest nie tak. I było. Prokuratura wznowiła śledztwo. Okazało się, że akta nie zawierają dowodów winy Tomasza Komendy. Popełniono wiele błędów. W marcu 2018 r. Sąd Okręgowy we Wrocławiu warunkowo zwolnił go z odbycia kary. W maju 2018 r. Sąd Najwyższy uniewinnił mężczyznę. Dwa lata później skazano prawdziwych sprawców śmierci 15-latk.

Czterdziestosześcioletni dziś Tomasz Komenda spędził za kratkami w sumie 18 lat. Po wyjściu na wolność relacjonował, że była to prawdziwa gehenna. Mówił o znęcaniu psychicznym i fizycznym. Trzy razy próbował odebrać sobie życie. Komenda opuszczał więzienne mury w blasku fleszy. Media były żywo zainteresowane jego historią: jak się czuje, co sądzi o polskim wymiarze sprawiedliwości, co planuje. W chwili odzyskania wolności miał 41 lat. Dziennikarze bacznie śledzili każdy jego krok. Opisywano, jak szyb-

Ciężar wolności



Zuzanna Dąbrowska

Jego sprawą żyła cała Polska. Po 18 latach niesłusznie spędzonych w więzieniu został uniewinniony i wyszedł na wolność. Uzyskał rekordowe odszkodowanie. Jan Holoubek nakręcił o jego historii film. Dziś, jak przekonują media, Tomasz Komenda znajduje się na życiowym zakręcie. Dlaczego?



ko zaczął układać sobie życie na nowo. Stanąć na nogi pomogli mu przedsiębiorcy, działacze społeczni – bracia Rafał i Grzegorz Collins – którzy zatrudnili go w swojej fundacji. Komenda związał się z poznaną przez Internet Anną Walter, o której mówił, że jest tą jedyną. Oświadczył się jej w blasku fleszy we wrześniu 2020 r., podczas premiery filmu Jana Holoubka „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy”. Anna była wówczas w ciąży. Niedługo później urodziło się dziecko pary, Filip. Bezsprzecznie kamieniem milowym w życiu niesłusznie skazanego był rok 2021 i decyzja opolskiego

Sądu Okręgowego, że otrzyma od Skarbu Państwa 12 mln zł zadośćuczynienia i 811 533,12 zł odszkodowania.

POWAŻNE OSKARŻENIA

Wydawało się, że teraz wszystko już będzie dobrze. Miał pieniądze, rodzinę, a przede wszystkim był wolnym człowiekiem. Jednak w ostatnich tygodniach, zgodnie z relacjami mediów, coś zaczęło się psuć. Sprawa 46-latkę wróciła na czołówki portali (choć nie tylko – tygodnik „Polityka” Komendzie poświęcił okładkę) za sprawą wywiadu udzielonego przez Annę Walter. Wielka miłość skończyła się szybko – para

rozstała się dwa miesiące po przyznaniu odszkodowania. Rok później, czyli w 2022 r., Anna wniosła do sądu sprawę o alimenty. Na rzecz kobiety zasądzono 4,5 tys. zł miesięcznie.

Medialna machina ruszyła. „Do tej pory nie chciałam pewnych kwestii poruszać publicznie, ale do zmiany zdania zmusiły mnie komentarze osób trzecich o tym, że pławię się w luksusie, oraz zdanie Tomka, że się nie zgadza z wysokością alimentów. Szanowni państwo, w odniesieniu do wiadomości medialnych o tym, że mój były partner Tomasz Komenda nie zgadza się na zasądzone przez sąd alimenty, chcę publicznie oświadczyć, iż uważam to za zachowanie karygodne, zwłaszcza że dysponuję faktami, w oparciu o które sąd wydał przecież swój wyrok. Wyrok w sprawie, która trwała prawie rok i na której Tomek praktycznie się nie stawiał” – powiedziała Walter w marcowej rozmowie z „Super Expressem”.

W wywiadzie padają też inne mocne oskarżenia. Kobieta twierdzi, że Komenda pieniądze z odszkodowania wydawał na alkohol i narkotyki. Twierdzi, że miał wobec niej stosować przemoc. „Do naszego mieszkania wzywana była policja, ponieważ Tomasz był agresywny, a świadkami tej przemocy wielokrotnie były dzieci, sąsiedzi wszystko słyszeli. Ludzie piszą, że ja z nim dla pieniędzy się związałam. To nieprawda. Ja po przejściach i on też, chciałam zbudować dom i myślałam, że on też, tak mi się zdawało” – przekonuje. To jednak nie koniec. Była narzeczona Komendy zarzuca mu, że groził uprowadzeniem ich syna. „Komenda nie różni się niczym od Królikowskiego i innych alimentarzy, a teraz chce odwoływać się od 4,5 tys. zł alimentów. Milioner, który wydaje dwa razy tyle na używki, alko i przypadkowe koleżanki” – zarzuca Anna Walter. Dodała, że w sądzie Komenda przedstawił dowody na chorobę nowotworową i obecność przerzutów. „Nie chciałam mu niszczyć ostatnich dni życia, prosiłam go i błagałam tysiąc razy, żebyśmy się polubownie dogadali, ale on miał zlewkę i traktuje ludzi z góry” – dodaje, twierdząc, że Tomasz zmienił się na gorsze, gdy na jego konto wpłynęły miliony z odszkodowania.

ZGUBNY WPŁYW PIENIĘDZY

Na forum medialnym ostre zarzuty pod adresem syna formułuje też Te-

resa Klemańska. Ona również mówi o zgubnym wpływie pieniędzy. W czasie niesłusznego pobytu w więzieniu matka i syn pozostawali w kontakcie. Stworzyli swój system komunikowania. „Pytał mnie, jak się czuję, a ja mówiłam, że o 17 idę do lekarza. To oznaczało, że o 17 będę pod murem więzienia. On siedział przy oknie, a ja patrzyłam na niego przez lornetkę. Strażnicy mnie przeganiali, straszili, że wezwą policję. A przecież ja tylko patrzyłam na swojego syna, jak zmieniał się z minuty na minutę” – wspominała kobieta w rozmowie z Onetem. Ona wiedziała, że on jest niewinny, a Komenda, gdy tylko dostał miliony od państwa, poszedł do banku, wypłacił sporą kwotę i zaniósł matce.

Dziś Klemańska przypomina swoje obawy związane z odszkodowaniem. Gdy synowi zasądzono pieniądze, mówiła: „Boję się, że pójdzie to w złą stronę, że je szybko roztrwoni, że będzie miał złych doradców albo że odbije mu palma. Ludzie już teraz dzwonią i proponują mu jakieś spółki, inwestycje. Chcą go wykorzystać. On nie jest gotowy na duże pieniądze”. Matka Tomasza Komendy żali się, że syn zerwał z nią kontakt. „Tomek w ogóle się już do nas nie odzywa. Udaje, że nas nie zna. Nie chce mieć z nami nic wspólnego. Z całą rodziną Klemańskich”. Kobieta przekonuje, że Tomasz jest pod złym wpływem jej najstarszego syna z pierwszego małżeństwa. „Jak tylko się dowiedział, że Tomek dostanie pieniądze, to odciął go od nas. Chciał nas skłócić, i to mu się udało. Chciałabym, żeby [Tomek] miał odwagę przyjść i powiedzieć: »Nienawidzę cię, matka. Zrobiłaś coś złe. Nie tego się spodziewałem«. A on po prostu zniknął, jak tchórz. Serce mi pęka. Nikomu nie życzę, by znalazł się w takiej sytuacji” – mówi. Z ust matki padają niezwykle ostre słowa. „Jeżeli może, to niech usunie tatuaż z rękawa z napisem »Kocham cię, mamo«, bo jest nieprawdziwy i fałszywy. To jest kłamstwo. Po co ten napis? Przecież ja już dla niego umarłam. On mnie pochował żywcem” – ocenia kobieta.

ZABRAKŁO NARZĘDZI

Opinia, że tak radykalna zmiana w Komendzie to efekt nieprzygotowania na napływ gotówki i sławę, powtarza się w medialnych doniesieniach jak mantra.

Dziennikarz TVN Grzegorz Głuszak, który od pierwszych dni na wolności wspierał mężczyznę w ułożeniu życia na nowo (m.in. poszedł z nim na pierwsze zakupy odzieżowe, pomógł wyrobić dowód osobisty i znalazł psychoterapeutę), opowiada, że gdy Tomasz odszedł od rodziny, zostawił narzeczoną z długami. „On wynajmuje apartament we wrocławskim Sky Tower, w którym ceny zaczynają się od 500 zł za noc. Ma pieniądze, ale przestaje łożyć na syna. Najpierw podważa ojcostwo, potem grozi Annie, że zabierze jej dziecko. W międzyczasie kupuje kilka mieszkań we Wrocławiu i remontuje klitkę po babci. Kupione przez niego mieszkania ponoć stoją puste” – wskazał Głuszak w rozmowie z „Newsweekiem”.

Media informują o „przyjaciołach”, którzy pojawili się przy Tomaszu, gdy dostał pieniądze od państwa. Większość nie miała dobrych intencji, chciała go wykorzystać. Adwokat Komendy, prof. Zbigniew Cwiakalski, który reprezentował go podczas dochodzenia zadośćuczynienia od Skarbu Państwa, odmawia komentowania prywatnego życia swojego byłego klienta.

Według mediów Tomasz ma utrzymywać kontakt jedynie z bratem Gerardem (tym, którego matka oskarża o odseparowanie Komendy od reszty rodziny). Nie chce rozmawiać z mediami. Na prośbę dziennikarzy o kontakt odpisał: „Przepraszam, już nie udzielam wypowiedzi”. Nie komentuje kolejnych wypowiedzi osób bliskich, a także opinii ekspertów. A ci podkreślają, że zabrakło opieki postpenitencjarnej. Państwo dało mu (słusznie) wielkie pieniądze, media zainteresowanie, ale nie dano mu narzędzi do poradzenia sobie z traumą, która jest efektem błędów popełnionych przez wymiar sprawiedliwości. Pytany o opinię przez „Politykę” socjolog dr Paweł Moczydłowski, były kierownik Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Ministerstwie Sprawiedliwości, stwierdza, że wypuszczenie Komendy na wolność bez żadnych warunków było błędem. Socjolog przekonuje, że dobrym rozwiązaniem byłoby np. przydzielenie kuratora – nie po to, aby Tomasza Komendy pilnować, tylko po to, aby pomóc mu nauczyć się żyć od nowa. Jedno jest pewne: medialna burza z pewnością nie pomaga mu w odzyskaniu równowagi po 18 latach ukradzionej wolności. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



„Portret damy”; autor: Sinkiewicz z Telsz, 1820 r.

FOT. MUZEUM ŻMUDZI „ALKĄ” W TELSZACH



Książę Michał Kleofas Ogiński, obraz pędzla François-Xaviera Fabre’a z 1808 r.

FOT. MUZEUM ŻMUDZI „ALKĄ” W TELSZACH

Żmudzi, ojczyzno moja



Piotr Semka z Wilna

Los był okrutny wobec dworów i dworów na Żmudzi. Co ocalało z tej żmudzkiej Atlantydy?

Wielka wystawa pamiątek i dzieł sztuki z setek dworów i dworów na Żmudzi zakończyła się właśnie w Wileńskiej Galerii Obrazów. Dla przybysza z Polski to podróż do krainy, która nad Wisłą jest już niemal zupełnie zapomniana. A przecież takie rody jak Ogińscy, Broel-Platerowie, Górscy, Karpowie czy Grużewscy tworzyli na tych odległych terenach Rzeczypospolitej wspaniałe ogniska kultury.

Los był okrutny wobec tych siedzib rodowych. Pierwsza wojna światowa, bunt chłopów z lat 1918–1920, reforma rolna Republiki Litewskiej z lat międzywojnia przetrzebiły sporą liczbę tych polskich majątków, a ostateczną zagładę przyniosły im inwazja sowiecka na Litwę w czerwcu 1940 r. i druga wojna światowa. Co ocalało z tej żmudzkiej Atlantydy?

ZAPOMNIANE SIEDLISKA

Niemiecka arystokratka Marion von Dönhoff swoim wspomnieniom o wschodnio-pruskich majątkach rodowych nadała nazwę „Namen, die keiner mehr nennt” („Nazwy, których nikt już nie wymienia”). Tak samo jest z polskimi nazwami żmudzkich dworów. Samo ich brzmienie urzeka. Szweksznie, Plinksze, Szatejki, Płótele,

Birżyniany, Powondeń, Pojoście, Zdaniszki, Grudze, Mikuliszki, Phungiany, Johaniszkiele, Kielmy, Dziuginiany. Nazwy te przywodzą wspomnienia z „Trylogii” Sienkiewicza. Ale to, co porusza wyobraźnię, to poczucie jakiejś wielkiej straty w zbiorowej wyobraźni wynikające z tego, że te nazwy – co kiedyś uderzyło także hrabinę von Dönhoff – nic już nikomu nie mówią. Tak naprawdę tylko leżące na północy Litwy Możejki z racji polskich inwestycji w tamtejszą rafinerię ropy naftowej są jedyną polską nazwą na Żmudzi, która wróciła do powszechnego obiegu.

Nawet Litwini nie dbają, żeby te polskie nazwy jakoś zachować. W litewskiej Wikipedii próżno by szukać polskich nazw nielicznych zachowanych dworów z XVII, XIX i początku XX w. Żmudź w polskiej świadomości istnieje słabo.

Na myśl przychodzą mi tylko dwie produkcje filmowe. „Lokis” Jerzego Majewskiego z 1970 r. i ekranizacja „Doliny Issy” Czesława Miłosza w reżyserii Tadeusza Konwickiego z 1982 r.

Ale na bok nostalgiczne rozmyślenia. Wileńska wystawa to rezultat gruntownego remontu Muzeum Żmudzi „Alka” w Telszach. Skoro muzeum musiało przejść gruntowny remont, to uznano, że nie ma co przechowywać eksponatów przez rok pod kluczem, tylko że warto je pokazać w stołecznym Wilnie. Można być tylko wdzięcznym muzealnikom z Telsz, że wpadli na taki pomysł, bo nieporównanie więcej Polaków odwiedza Wilno niż zaczął Żmudź.

Wystawę otwiera najcenniejszy obraz ze zbiorów „Alki” – „Zdjęcie z Krzyża” pędzla Hendrika Schoocka, XVII-wiecznego malarza z Utrechtu. Obok obrazy innych zachodnich malarzy – Jana van Wyckersloota, Caspara Netschera, Jeana-Baptiste’a Greuze’a i Johanna Heinricha Tischbeina. Przechodzę dosyć szybko obok tych niekiedy bardzo ciekawych prac, są to pamiątki po zamiłowaniu żmudzkich arystokratów do kupowania obrazów w czasie wojaży do Paryża, Amsterdamu czy Hamburga. O wiele bliższe są mi kopie obrazów piwicy kresowej egzotyki Alfreda Wierusz-Kowalskiego, który lubował się w obrazkach z zimowych polowań polskich szlachciców. Niektóre zahaczają o kicz, jak np. portrety wilków w zimową noc czy obrazy ubranych we wspiania futra arystokratów jadących na saniami na zimowe polowanie. Ale trafiły one w gust żmudzkich zaścianków.

Najciekawsza sekcja wystawy to ocalałe zdjęcia z życia żmudzkich dworów szlacheckich. To np. kolekcja domu Władysława i Marii Górskich – z majątku Dziuginiany. Przed naszymi oczami przesuwają się charakterystyczne obrazy z końca XIX w. Starzy słudzy na przyzbie dworskiej stołowni. Szczycący się wspianiami bokobrodami wychowawca młodego panicza uczący go powożenia bryczką. Seniorka rodu w ciemnej sukni (czyżby to jakaś żałoba po ofiarach powstania styczniowego?) w czepcu jakby stylizowanym na krakowską czamarkę.

Ale jest i młode pokolenie. Dwóch braci, z których jeden ma szlachecką polską czapkę, a drugi nosi modne kapi



Mieszkańcy dworku na Żmudzi przed rodzową siedzibą, ok. 1887 r.

FOT. MUZEUM ŻMUDZI „ALKA” W TELSZACH



Paryska pracownia fotografii. Portret księżniczki Louise de Choiseul-Gouffiera (1880–1949), ok. 1885 r.

FOT. MUZEUM ŻMUDZI „ALKA” W TELSZACH

wzorowane chyba na armii francuskiej z lat Napoleona III. Obok dwóch młodych arystokratów w obowiązkowych marynarskich mundurkach uchwyconych w trakcie partyjki szachów odgrywanej ze śmiertelną powagą.

I wreszcie wnętrza salonów pełne stylu II Cesarstwa, przeładowanych bibelotami, upstrzonych popiersiami i wielkimi donicami z egzotyczna palmą.

Ale są i starsze pamiątki dyskretnie przypominające o dawnej chwale Rzeczypospolitej. Oto porcelanowa statua króla Augusta III Sasa wykonana w drezdeń-

skiej manufakturze. Zwracają uwagę obrazy Marii Anieli Górskiej-Wollman (1837–1915). Ona i jej siostra Józefa były malarskimi samoukami, które nauczyły się tej nietypowej dla kobiet umiejętności we własnym dworku. Obrazy są całkiem ciekawe – są to głównie portrety, ale autorzy zaznaczają, że po 1859 r., kiedy pani Maria wyszła za mąż, musiała skupić się na wychowaniu czworga dzieci i malować przestała. Tuż obok obraz, który doskonale trafił w gust żmudzkiej szlachty. To dzieło Romana Szwojnickiego (1845–1915) rodem z Kowieńszczyzny, pokazujące grzybobranie – scenę z „Pana Tadeusza”. Przypomina bardzo pięknie plastycznie scenę grzybobrania w ekranizacji arcydzieła Mickiewicza w reżyserii Andrzeja Wajdy. Czyżby mistrz ekranu oglądał ten obraz z końca XIX w.?

Ale duże majątki na Żmudzi mieli nie tylko przedstawiciele szlachty Rzeczypospolitej mogącej się wykazywać rodowodem aż do Gedymina. Oto sala poświęcona rodowi de Choiseul-Gouffier. Pierwszym przedstawicielem tego rodu na Żmudzi był August de Choiseul-Gouffier, który wskutek rewolucji francuskiej musiał uciekać z Francji i zasłużył się na dworze w Petersburgu jako dyplomata. Ożeniony z polską arystokratką Sofią Tyzenhauz, notabene zresztą powieściopisarką, dał początek całej generacji



Kucyki na żmudzkim dworze, autor: Alexander de Choiseul-Gouffier, 1877 r.

FOT. MUZEUM ŻMUDZI „ALKAI” W TELSZACH

rodu, której siedzibą był majątek Płótele. Jak podają autorzy wystawy, rodzina de Choiseul-Gouffier zasłynęła w okolicy, zakładając w 1905 r. pierwszą prywatną linię telegraficzną, która połączyła dwór z miasteczkiem Pługiany. Ród dotrwał na swych włościach do końca lat 30. Ostatni jego przedstawiciel, Oktawiusz, czyli Octave de Choiseul-Gouffier, uciekł przed Sowieciami w 1940 r. do Szwajcarii, gdzie zmarł w 1949 r. I zresztą słusznie zrobił, uciekając, bo Sowieci dwór najpierw spłądowali, a potem zburzyli.

Nie mogę się powstrzymać od zacytowania wspomnień ogrodnika rodziny, Silvestrasa Vasilauksa: „Koło ogrodu warzywnego była oranżeria, a w niej duży krzak różany, który zajmował prawie całą oranżerię. Wszystkie kwiaty kierowały się ku południowi. Były żółte jak upierzenie kanarków. Zapach tych róż był niezwykle intensywny. Na tyle mocny, że mało kto dłużej mógł wytrzymać w oranżerii. Kiedy kwiaty były w pełnym rozkwicie, stolarz dworski przygotowywał małe drewniane pudełka wypełnione wilgotną ziemią. Wysyłałiśmy tutejsze odrośla krzaku różanego w specjalnie przygotowanych pudełkach do Paryża. Księżna mówiła, że w Paryżu robią z nich ekstrakt do perfum. Kiedyś podarowała buteleczkę takiego pachnidła mojej mamie. »Pani ogrodnikowa, to jest woda kolońska na bazie ekstraktu z naszych róż«”.

Kolejny ród, który przedstawiony jest na wystawie, to Broel-Platerowie. Mająca prawo do książęcego tytułu rodzina ta przybyła ze Szwajcarii na Łotwę w XIII w.

Z Liwonii przenieśli się na Litwę i ród ten zasłynął patriotyzmem i zasługami dla Rzeczypospolitej. Broel-Platerowie wydali znanych prawników, lingwistów, bibliografów, archeologów i kolekcjonerów sztuki. Na wileńskiej wystawie obejrzeć można, co uratowało się z ich czterech głównych siedzib: Szwekszniów, Szatejków, Wilków i Plinkszów.

Rodzina przetrwała jakoś słynną litewską reformę rolną z lat 20. być może dlatego, że w rodzinie tej zawsze znano język litewski i używano go. I znów bardzo charakterystyczna relacja litewskiego posła na sejm Zigmasa Toliuśisa z wizyty w majątku Szweksznie w 1930 r.: „Książę Jerzy Feliks Broel-Plater żył w starym dworze otoczonym cienistym parkiem pełnym marmurowych rzeźb. Wysoki, przystojny mężczyzna z eleganckimi arystokratycznymi manierami nie tylko znał język litewski, ale mówił autentycznym żmudzkim dialektem. Gospodarz pokazał mi swoją kolekcję łowieckich trofeów na czele z wypchanym niedźwiedziem naturalnej wielkości. Jadalnię zdobiły dekoracyjne niebieskie talerze z holenderskich Delft. Na ścianach można było obejrzeć obrazy Józefa Oleszkiewicza, Jana Rustawa, Iwana Ajwazowskiego i francuskich malarzy z przełomu wieków”.

Na wystawie nie jest podane, kiedy książę Jerzy Feliks oddał Bogu ducha, ale – jak wspominają miejscowi – w 1940 r. pałac zajęli na kwatery oficerowie Armii Czerwonej. Trzeba było aż 16 ciężarów, aby wywieźć wszystkie cenne przedmioty, dzieła sztuki i meble. Jednak

część tych skarbów sowieccy oficerowie osobiście wyniszczyli, strzelając do rzeźb w ramach alkoholowych imprez.

I wreszcie ostatnia sala poświęcona rodzinie Ogińskich z ich dwoma szlacheckimi gniazdami: w Pługianach i w Retowie koło Telsz. Retów zakupił Michał Kleofas Ogiński pamiętany u nas jako kompozytor mazurka „Pożegnanie Ojczyzny”. Przez cały XIX w. Retów był głównym centrum kulturalnym Żmudzi i wzorcowym majątkiem wprowadzającym nowe techniki uprawiania roli. Ale jakieś złe fatum prześladowało ten ród. Ostatni właściciel Retowa, Bogdan Ogiński, zmarł w 1909 r. Tuż po jego śmierci pożar zniszczył dwór i pochłonął wiele dzieł sztuki. Resztę wyszabrowali stacjonujący tu w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy. W 1940 r. sowieccy oficerowie rozkradli resztki pozostałych mebli, przy okazji kompletnie dewastując pałac.

Wystawa poświęcona jest sztuce i ogólnie potraktowanym losom rodów żmudzkich. Nie dziwi, że nie ma w nich informacji o tym, jak międzywojenna Republika Litewska wykorzystała reformę rolną do wywłaszczenia tych szlacheckich dworów, które zachowały swoją polskość. Władze litewskie z urzędu wszczywały postępowanie przeciwko tym właścicielom dworów, którzy wstąpili do polskiej armii. Traktowano to jako zdradę stanu. W rezultacie wielu właścicieli majątków nie mogło wrócić na swoje ziemie, bo groziło im aresztowanie ze strony Litwinów. To właśnie o takich wypadkach w „Dolinie Issy” mówiła babcia Michalina Surkontowa, wzdychając: „Boże, jakich my gorzkich dożyliśmy czasów”.

No cóż. Trudno wymagać od Litwinów, aby roztkliwiali się nad losem tych Żmudzinów, którzy uważali się po 1918 r. za Polaków. Ale polski widz powinien troszeczkę na ten temat poczytać. Doskonałą lekturą może być gawędziarski tom wspomnień księdza kanonika Waleriana Meysztowicza rodem z Pojósia koło Powniewierza pt. „Poszło z dymem. Gawędy o czasach i ludziach”. Na pewno odkryjecie czar starej Żmudzi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Dwory Żmudzi” była czynna w Wileńskiej Galerii Malarstwa do 2 kwietnia 2023 r.

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.



DZIEŃ

Z REPUBLIKĄ

codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają

Ilona Januszevska

Emilia Wierzbicki

Piotr Nisztor

Aleksander Wierzejski

Marcin Bąk



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Człowiek z bliznami

Dokument „De Palma” pokazywany był (poza konkursem) na festiwalu filmowym w Wenecji w 2015 r. Do Polski trafia teraz jako premiera serwisu HBO Max FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Dwie wybitne postacie spotykają się w tym dokumencie. Noah Baumbach składa hołd Brianowi De Palmie

Artysta to zawód dla samotników, ale jest czas, gdy dobrze być w grupie. Wspomina Krzysztof Zanussi (w książce „Filmy, których już nie nakręcę”), jak prowadzący w łódzkiej filmówce zajęcia Andrzej Munk nakazywał studentom regularne przynoszenie na zajęcia pomysłów. „Co tydzień urządał giełdę. [...] Braliśmy te pomysły zewsząd – z życia, z lektur, z gazet, z zasłyszzeń. Czasami sobie pomagaliśmy. »Masz dwa? Ja nie mam żadnego, to może mi coś podpowiesz.« »Ale w przyszłym tygodniu oddaj!«”

Brian De Palma uczył się filmu w grupie wymienitej, bo pomysłami przerzucał się z tymi, którzy przez kolejne dekady decydowali o obliczu kina. – Niesamowicie się wspieraliśmy – mówi reżyser w filmie dokumentalnym zatytułowanym po prostu „De Palma”. – Ciągłe wymienialiśmy się scenariuszami, oglądaliśmy nawzajem swoje filmy, omawialiśmy. A z kim? De Palma nazywa tę grupkę „młodziakami z Warner Bros.”. Steven Spielberg, George Lucas, Francis Ford Coppola, Martin Scorsese, Paul Schrader i inni.

CIĄGŁA WALKA

Dokument „De Palma” pokazywany był (poza konkursem) na festiwalu filmowym w Wenecji w 2015 r. Do Polski trafia teraz jako premiera serwisu HBO Max; niecierpliwi mogli dużo wcześniej zaopatrzyć się w brytyjską edycję DVD. Warto. Brian De Palma to twórca nietuzinkowy, który na

taki portret zasługiwał, a na ekranie zobaczymy nie tylko jego obszerną opowieść, lecz także kluczowe sceny z najważniejszych filmów.

Przy karierze filmowej rozciągającej się na pięć dekad zrozumiałe jest to, że każdy ma „swojego” De Palmę. Po premierze filmów „Carrie” (1976), według powieści Stephena Kinga, i „Furia” (1978) za swojego uznali go fani horroru i fantastyki. W latach 80. stał się twórcą obrazu, jak się okazało ikonicznego dla tej dekady, czyli „Człowieka z blizną” (1983) oraz jednego z najlepszych filmów gangsterskich wszech czasów, czyli „Nietykalnych” (1987). Dekadę później, za sprawą sukcesu „Mission Impossible” (1996), jest ponownie królem Hollywood. Ale nic nigdy nie było proste i trwałe w jego karierze, tytuły znakomite przeplatały się z mniej udanymi. W jednym z prasowych wywiadów po premierze dokumentu „De Palma” reżyser wskazywał na jedyne w biznesie filmowym człowieka, który jest nietykalny – Stevena Spielberga. Sukcesy niemal wszystkich jego filmów dały mu olbrzymią władzę. Wszyscy inni muszą nieustannie walczyć – znani, nieznan, nagrodzeni Oscarem czy nie – nieważne.

Swoje lekcje De Palma zaczął przyswajać szybko – w 1972 r. kręcił dla Warner Bros. komedię „Get to Know Your Rabbit”. Wyrzucono go, kiedy producentom nie spodobały się jego innowatorskie zapędy. Film został przemontowany i dokończony przez kogoś innego. Sława i szacunek nie wystarczyły z kolei kilka dekad później, kiedy walczył o uratowanie „Misji na Marsa” (2000). Nawet twórca „Nietykalnych” i „Mission Impossible” nic nie mógł wskórać, gdy okazało się, że większych pieniędzy na efekty specjalne nie będzie.

Nie on jeden musiał się zmagać z machiną Hollywood, przycinanymi budżetami, zbyt optymistycznymi założeniami szefów wytwórni czy z ego nieznoszącego gwiaz-

dora (praca przy „Mission Impossible” była piekłem z powodu Toma Cruise’a). Nie zebraliśmy się tu jednak, żeby się nad De Palmą użalać, lecz by go wychwalać. Jest za co, bo dziwnym trafem nawet te filmy, po których premierze krytycy kręcili nosem, po latach zamieniały się w klasyki. Tak stało się z „Człowiekiem z blizną”, tak było też z „Życiem Carlita” (1993) – filarem obu jest Al Pacino. Tak jest też z „Targowiskiem próżności” (1990) wedle głośnej powieści Toma Wolfe’a, filmem w połowie udanym – tyle że to, co w nim udane, jest tak dobre, że przykuwa uwagę do dziś.

Z kolei blask największych hitów De Palmy nie gaśnie – „Nietykalni” się nie zestarzelili („podobnie jak „Mission Impossible”), żadna analiza amerykańskiego kina wojennego nie obejdzie się bez „Ofiar wojny” (1989), pierwsza kinowa wersja „Carrie” pozostaje niedościgniona, choć inni też próbowali. Z kolei autorzy krytycznych rozpraw wciąż analizują, jak bardzo był Brian De Palma pojętym uczniem Alfreda Hitchcocka. To inspiracja, której się nie wypiera i o której mówi z dumą, bo w dokumencie pada zdanie brzmiące niemal jak samochwalstwo: „Byłem jedynym uczniem, który rozwija to, czego Hitchcock był pionierem”.

Pokrewieństwo jest oczywiste – trudno nie widzieć w „Świadku mimo woli” (1984) hitchcockowskiego „Wysokiego okna”, trudno nie dostrzec, jak wiele łączy „Obsesję” (1976) i „Zawrót głowy”. Ale nie powinniśmy skupiać się jedynie na podobieństwie pewnych chwytów narracyjnych. Trzeba odnotować hitchcockowskie podglądactwo, bezlitosne, czasem okrutne, gdy zimne oko kamery staje się jednocześnie okiem widza. Trzeba wskazać na to, że De Palma jest mistrzem komponowania i wykorzystania przestrzeni w sposób prowadzący widza na szczyty suspens. Nawet jeżeli nie pamiętamy po latach

szczegółów fabuły, to pozostają w pamięci na zawsze wielkie sceny szargające nerwy. Scena z wózkiem na schodach w „Nietykalnych”. Niesamowite pierwsze minuty „Oczu węża” (1998), scena balu w „Carrie”, scena krwawej jatki w „Człowieku z blizną”. Dziś niewielu naśladuje Hitchcocka – wielu za to próbuje kopiować Briana De Palmę.

KONIEC NA RATY

Paradoksalnie to, co podkreślam wyżej, zbliża nas do wyjaśnienia zagadki, dlaczego film dokumentalny „De Palma” nakręcony został przez reżysera, który specjalizuje się w kinie zupełnie innym. Noah Baumbach, twórca „Historii małżeńskich” czy „Walki żywiołów” (a ostatnio „Białego szumu”), to spec od kina autorskiego, psychologicznego; reżyser, który lubi dokonywać wiwisekcji ludzkich dusz i obyczajów. Co może go łączyć z mistrzem kina klasy B – jak niektórzy (nadmiernie złośliwie) określają De Palmę? Znowu wyjść trzeba poza poszukiwanie oczywistych podobieństw, bo ich nie znajdziemy. Rzecz zrozumiemy wtedy, gdy przypomnimy sobie, że zarówno Baumbach, jak i inny wybitny twórca

współczesnego kina amerykańskiego będący fanem De Palmy – Wes Anderson – są zainteresowani nie tylko kręceniem filmu, lecz także zrozumieniem języka kina. To przypadki podobne do Quentina Tarantino – gdyby nie zostali reżyserami, zapewne byłiby wybitnymi krytykami i teoretykami kina. A Brian De Palma jest jednym z tych nielicznych twórców minionego półwiecza, który w ramach systemu domagającego się filmów kasowych i łatwych potrafił robić rzeczy unikatowe, oryginalne i inspirujące. De Palma nie uczył się od Hitchcocka treści, ale metody. Teraz od De Palmy uczą się Baumbach i Anderson. Gdy opanujesz język, drugorzędną sprawą jest to, czy wykorzystasz go do opowiadania krwawego kryminału czy intymnej historii rodzinnej.

Bardzo zaskakującymi fragmentami filmu „De Palma” są te, w których reżyser dzieli się osobistymi doświadczeniami, które wpływały na kształt filmów i pojawienie się takich, a nie innych postaci. Niektóre z tych wyznań padają przy okazji filmów o treściach mocno niepokojących, jak „Świadek mimo woli” czy „Mój brat Kain” (1992). Nie będę zdradzał, o której

z tych historii powiedział De Palma, że coś podobnego przeżył on sam.

Długa i niezwykła kariera Briana De Palmy kończyła się na raty. Po katastrofie finansowej, którą okazała się „Misja na Marsa”, powrócił jeszcze do formy, kręcąc „Femme Fatale” (2002). Ale już „Czarna Dalia” (2006) zadała jego reputacji ciężki cios. Z biegiem lat piętrzyły się problemy i nieufność producentów. De Palma musiał wybierać: albo będzie kręcił filmy za zbyt niskie budżety, albo nie będzie kręcił ich w ogóle. Amerykańskie studia nie chciały już w niego inwestować, pieniądze zbierał w Europie.

Jedyny film De Palmy, który trafił na ekrany już po premierze dokumentu Baumbacha, to „Domino” (2019). Nieudany, kręcony w Danii, poprzedzony kilkuletnim zebraniem o fundusze. Bardzo nierówny, ale przypominający niektórymi ujęciami dawną wielkość De Palmy. Czy będą kolejne? Serce by chciało, rozum podpowiada, że bez odpowiednich pieniędzy i zaufania to nie ma sensu. Pozostaje wspomnienie dawnej chwały – takie jak film Noaha Baumbacha.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Pobyty w terminach:
30.04 – 02.07.2023r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniemi.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Na co cię stać?



PIOTR GOCIEK



★★★★★
DAVID WEST READ
„NAGRODA
NA DZIEŃ DOBRY”
(„THE BIG DOOR
PRIZE”)
USA 2023

wyst. Chris O'Dowd,
 Gabrielle Dennis

Mam wszystko, czego w życiu pragnąłem – mówi w pierwszym odcinku serialu „Nagroda na dzień dobry” Dusty. – Może pragnąłeś za mało – odpowiada jeden z jego znajomych. Dyskusje na temat tego, kto czego w życiu powinien chcieć i do czego się nadaje, wybuchają w miasteczku za sprawą werdyktów tajemniczej maszyny MORPHO. Za jedyne dwa dolary (plus numer ubezpieczenia i odciski palców) informuje ona chętnych, jaki posiadają potencjał życiowy. Dyrektorka szkoły dowiaduje się, że nadaje się na motocyklistkę, miejscowa artystka – że na arystokratkę. I tak dalej. A nasz bohater? Jest nauczycielem, który lubi gwizdać. I tego też dowiaduje się od maszyny: „nauczyciel/gwizdacz”. Zatem Dusty osiągnął już swój życiowy

potencjał. Czy to powód do dumy czy żałoby? W końcu nic lepszego już go nie czeka.

Pomysł, na którym oparł swą powieść M.O. Walsh (serial jest jej ekranizacją, książki w Polsce jeszcze nie wydano), przypomina trochę „Sklepik z marzeniami” Stephena Kinga. U mistrza grozy tajemniczy przybysz oferuje chętnym wszystko, czego dusza zapagnie, tyle że płaci się właśnie kawałkami duszy. Sedno zmiany wywołanej obecnością MORPHO jest takie samo: mieszkańcy Deerfield pragną więcej. I niektórzy zaczynają za to gorzko płacić. Może czasem lepiej nie wiedzieć, na co cię stać? Może. A może po prostu z tego, że nadajesz się na tancerkę albo pływaka, nie należy wyciągać zbyt daleko idących

wniosków, przecież sami możemy kształtować swoje przeznaczenie.

Siłą „Nagrody na dzień dobry” jest ciekawa galeria sympatycznych postaci. Słabością to, że spora część z nich zachowuje się mocno idiotycznie. Inna sprawa, że ten ostatni fakt bywa dobrym źródłem komizmu: lekarka na widok werdyktu „uzdrowicielka” postanawia rzucić medycynę, rozwieść się i wyjechać do Irlandii, gdyż uważa, że sama potrzebuje uzdrowienia. Ostatecznie otrzymujemy zgrabną, przyzwoicie zagraną telewizyjną konfekcję wedle powieści, którą zapomina się równie szybko, jak się czytało. Ale przesłanie pozostaje: każdy uważa, że zasługuje na więcej, podczas gdy częściej powinien pamiętać, że jak sobie pościeszesz, tak się wyśpisz. ©©



NOWE SERIALE: „WILL TRENT”

Seria kryminalna inspirowana powieściami Karin Slaughter (pilot wykorzystuje wątki z książki „Pęknięcie”). Jest mniej mroczna od oryginału. To rozrywka o poziom lepsza od franczyzy typu „CSI”, ale nie tak odważna i oryginalna jak seriale premium. Fani powieści (jest ich wielu) mają pretensje

o chybioną obsadę – ekranowy Trent mocno odbiega od literackiego pierwowzoru. Ten wychowany w sierocińcu detektyw ma swoje demony, ale miejsca zbrodni czyta jak otwarte książki.

Piotr Gociek
 • sezon 1 „Will Trent”, USA 2023, wyst. Ramón Rodríguez, Erika Christensen

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Maryna Er Gorbach „Klondike”, Ukraina 2022
- miniserial „Facet z Florydy” („Florida Man”), USA 2023
- miniserial „O jedno cię proszę” („The Last Thing He Told Me”), USA 2023

Taśmy prawdy

skySHOWTIME

Marlon Brando, okrzyknięty najlepszym aktorem świata, nie miał o tym fachu najlepszego mniemania. Twierdził, że polega na okłamywaniu bliźnich w celach zarobkowych. On sam był fanem metody Stanisławskiego; zanim wyszedł na scenę, pilnie studiował twarze i gesty nowojorskich przechodniów. Niosły go talent i niespożyta energia. Marlon, zawadiaka na motocyklu, stał się idolem młodego pokolenia oraz bożyszczem kobiet. Pojawił się w odpowiednim czasie i miejscu. Bunt był modny, więc grał rebeliantów. W tym samym duchu zaangażował się w działalność publiczną, wspierając protesty czarnych i domagając się zadośćuczynienia dla Indian. Tymczasem kariera najmłod-

szego laureata Oscara tudzież bojownika o sprawiedliwość wpadła w turbulencje. Neurotyk Brando stał się utrapieniem reżyserów i producentów, występował w filmach wybitnych i żenujących. Miał ochotę zerwać z Hollywood, ale potrzebował pieniędzy. Zwątpiwszy w psychoanalizę, praktykował „autohipnozę”. Zapisy tych sesji stały się



★★★★★
REŻ. STEVAN RILEY
„MARLON BRANDO O SOBIE”
WIELKA BRYTANIA
2015

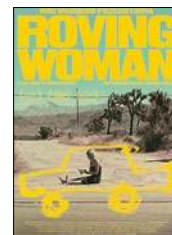
podstawą dokumentu, w którym aktor szuka przyczyn katastrofy, którą stało się jego życie. Odpowiedź jest banalnie prosta: niekochany dzieciak wyrósł na łobuza i powtórzył błędy taty (ba, nawet je przewyższył). A może to maska? Brando miał wszak poczucie humoru: przepowiedział, że aktorów zastąpią twory komputerowe.
Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

PRZED SIEBIE

KINO



★★★★★
REŻ. MICHAŁ CHMIELEWSKI
„ROVING WOMAN”
POLSKA/USA
2022

wyst. Lena Góra, John Hawkes, Chris Hanley

Polacy oglądają Kalifornię przez okulary Wima Wendersa. Niemiecki reżyser miał swój udział w odkryciu, że oprócz USA – gospodarczego mocarstwa, ojczyzny ludzi sukcesu i szerokich uśmiechów – istnieje również inna Ameryka. Kraj przegrywów i zgorzkniałców, samotnych z wyboru lub konieczności.

Teraz do ich grona dołączyła Sara, porzucona muza. Skacowana, po rozstaniu z facetem stojącym u progu sławy, kradnie samochód na stacji benzynowej. Nie za bardzo ma dokąd jechać, lecz podróż jest przecież idealną okazją, by się ogarnąć i na nowo sformułować życiowe priorytety. Ciężar rachitycznej fabuły spoczywa na barkach Leny Góry, dwulicowej żony milicjanta ze „Świętego”. Jako „wędrująca kobieta” daje radę, choć kamera wciąż ma ją na oku. Kto kocha filmy z założenia niszowe, bazujące na złotych myślach w stylu „każdy z czasem staje się niewidzialny”; i słyszał o Connie Converse, ten wyjdzie z kina urzeczony. © ©

PAMIĘTNIK KOSMITY

KINO



★★★★★
REŻ. EMANUELE CRIALESE
„BEZMIAR”
(„L'IMMENSITÀ”)
WŁOCHY/
FRANCJA 2022

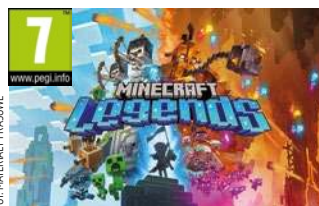
wyst. Luana Giuliani, Penélope Cruz, Vincenzo Amato

Nie każdy artysta to ekshibicjonista, ale liczba literatów i filmowców skorych do ujawniania młodzieńczych traum tudzież rodzinnych sekretów rośnie w zaskakującym tempie. Twórca „Bezmiaru” zafundował widzom wycieczkę w czasie. Do lat 70. XX w., które Włosi wspominają z większą ambiwalencją niż Polacy. Sportretowana rodzina balansuje na krawędzi rozpadu. Można mieszkać w nowym apartamencie z widokiem na kopułę bazyliki św. Piotra i czuć się podle. Miłość Clary i Felice wyparowała, a dzieci zaczynają sprawiać kłopoty wychowawcze. Najstarsza córka żałuje, że nie urodziła się chłopakiem, podejrzewa nawet, że pochodzi z innej galaktyki. Infantylna matka patrzy na to przez palce. Musicalowe wstawki rozładują napięcie tak skutecznie, że „Bezmiar” ogląda się z rosnącą obojętnością. Penélope Cruz, choćby stawała na rżęsach, nie dorówna Sophii Loren. **Wiesław Chelminiak**

GRA TYGODNIA: „MINECRAFT LEGENDS”

Akcja? Strategia? „Tower defence”? Wszystko po trochu. Na pewno zaskakująco mało tu dla mnie... samego „Minecrafta”. Wątek fabularny – krainie Overworld zagrażają Pigliny, a naszym zadaniem jest ich powstrzymanie – nie powala. PvP

z odpowiednimi kompanami już bardziej. Stenujemy tu jednym bohaterem, który przywołuje pomocników. Kluczem jest umiejętne sterowanie mobami. Gra dostępna od premiery w Game Pass – i lepiej tam ją najpierw sprawdzić, nim wydacie pieniądze. Bo



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

może być czymś zupełnie innym, niż oczekiwaliście. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** Akcji, RTS, TPP
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, Switch, PC
• **Producent; wydawca:** Blackbird Interactive, Mojang; Microsoft

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Na straży wiary

Kiedy Benedykta XVI spytano o perspektywę dla kapłaństwa kobiet w Kościele katolickim, odpowiedział krótko: „Nie jestem upoważniony do tego, by z »Ojciec nasz« robić »Matko nasza«. Zmarły ostatniego dnia zeszłego roku papież – jak pisze Jolanta Sosnowska w poświęconej mu książce – stał na straży czystości katolickiej doktryny. Strażnik wiary w czasach postprawdy – toż to brzmi jak wyrok skazujący”.

W Polsce, po krótkim okresie zaskoczenia (Niemiec?!), został przez ogół wiernych w pełni zaakceptowany, przede wszystkim jako jeden z najbliższych współpracowników Jana Pawła II. Z tego samego powodu naraził się na krytykę w swojej ojczyźnie, gdzie koła „postępowe” zrobili z niego „inkwizytora”, jako że stanął na czele Kongregacji Nauki Wiary, dość powszechnie nazywanej reaktywowanym przez polskiego papieża Świętym Oficjum. Już wcześniej zrobiono z niego „pancernego kardynała” i w końcu doszło do tego, w co trudno uwierzyć, że studenci teologii w Niemczech nie mogli powoływać się w swoich dysertacjach na dorobek jego właśnie – Josepha Ratzingera, bodaj najwybitniejszego teologa naszej epoki.

Co spowodowało jego rezygnację z urzędu, którą ogłosił w lutym 2013 r.? Na pewno podeszły wiek i stan zdrowia, po podjęciu tej decyzji żył jednak jeszcze prawie 10 lat. Profesor Andrzej Nowak rzecz tak ujmując: „To, co jest znacznie bardziej bolesne i czego doświadczył Benedykt XVI, to była zdrada – nie mam żadnego wahania, żeby użyć tego słowa – jego współpracownicy, nie tylko w kapłaństwie, ale w biskupstwie. W sposób straszny, haniebny zachował się jeden z jego następców w biskupstwie w Monachium,



FOT. FRANCO ORGUAL/GETTY IMAGES

który ośmielił się oskarżyć kardynała Josepha Ratzingera, wówczas już papieża emeryta, o to, że nie dość gorliwie przeciwstawiał się sprawom przestępstw seksualnych księży w diecezji monachijskiej. To oczywiście było wyssane z medialnego niemieckiego palca brednią [...]”. Skąd my to znamy? Jeszcze na koniec pontyfikatu zmierzyć się musiał z aferą Vatileaks wywołaną przez wyciek dokumentów dotyczących watykańskich finansów. A dokumenty te wykradał papieski kamerdyner.

Zaatakowano papieża szczególnie po wykładzie w Ratyźbonie w 2006 r., kiedy to obwołano go wrogiem islamu, co musiał wyjaśniać, choć powiedział, a właściwie zacytował jedynie słowa bizantyjskiego cesarza z przełomu XIV i XV w.: „Pokaż mi, co przyniósł Mahomet, co byłoby nowe, a odkryjesz tylko rzeczy złe i nieludzkie, takie jak jego nakaz zaprowadzania mieczem wiary, którą głosił”. Te wyrwane z kontekstu słowa posłużyły wrogom Benedykta XVI do rozpętania nieprawdopodobnej zupełnie nagonki. Można by się zastanowić, jaka byłaby reakcja „postępowych” mediów na podobny atak na Kościół katolicki. W ogóle by o nim nie wspomniano.

Joseph Ratzinger wielokrotnie był w Polsce; w 2003 r. został legatem Jana Pawła II na obchody 750. rocznicy kanonizacji św. Stani-

слава w Krakowie, był na pogrzebie prymasa Wyszyńskiego. Ale najbardziej pamiętamy go już jako papieża, z Oświęcimia, gdy po nabożeństwie na terenie obozu w Auschwitz powiedział jakże ważne słowa: „Nie mogłem tutaj nie przybyć. Przybyć tu musiałem. Był to i jest obowiązek wobec prawdy, wobec tych, którzy tu cierpieli, obowiązek wobec Boga: jestem tu jako następca Jana Pawła II i jako syn narodu niemieckiego – syn tego narodu, nad którym grupa zbrodniarzy zdobyła władzę przez zbrodnicze obietnice wielkości, przywrócenia honoru i znaczenia narodowi, roztaczając perspektywę dobrobytu, ale też stosując terror i zastraszanie, by posłużyć się narodem jako narzędziem swojej żądzy zniszczenia i panowania”.

A pielgrzymował wcale nie mało: 30 razy po Włoszech, odbył też 24 podróże poza granice Italii, pierwsze do Niemiec i do Polski. Odwiedził wszystkie kontynenty. W Europie zlaicyzowane do szczytu tereny byłej NRD, Czechy, Wielką Brytanię, poza Europą m.in. Kubę i Turcję, miejsca nieoczywiste. W Barcelonie konsekrował oddany po 100 latach kościół Świętej Rodziny zaprojektowany przez Gaudiego, podkreślając znaczenie sztuki. Znał się na niej znakomicie, a już o muzyce potrafił mówić jak nikt, jakby czując w niej boską obecność. Nazywany był „Mozartem teologii”. Czego było w tym powiedzeniu więcej: szacunku dla jego wyjątkowej wiedzy teologicznej czy może zaakcentowania ukochania przez niego muzyki, tak ważnej w jego życiu?

Jolanta Sosnowska, kończąc swą „Tajemnicę opuszczenia Łodzi Piotrowej”, stwierdza, że pontyfikat Benedykta XVI rośnie w ostatnich latach. Dlaczego? A to już niech każdy z państwa sam rozsądzi, wedle swoich wiedzy i sumienia. ©



★★★★★

**JOLANTA
SOSNOWSKA**
„TAJEMNICA
OPUSZCZENIA
ŁODZI
PIOTROWEJ”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wieczny Holmes

Są zjawiska zbyt popularne, by traktować je poważnie. Na przykład Sherlock Holmes, jedna z ikon popkultury, bohater niezliczonych kontynuacji, nowych wersji, naśladownictw. Czasem przynosi to efekty znakomite – jak filmy Guya Ritchiego czy serial Stevena Moffata i Marka Gatissa. Albo mniej znakomite – postać nie jest już strzeżona prawem autorskim, więc dziś byle pętał może własne opowiadanie o Sherlocku napisać.

W powieści „Piąty kier” Dan Simmons, prawdziwy gigant literatury popularnej, puszcza do nas oko – jego Holmes ma właśnie popełnić samobójstwo, gdyż zaczął podejrzewać, że jest postacią fikcyjną. Na szczęście los styka go z pogrążonym w depresji amerykańskim pisarzem Henrym Jamesem (tak, tym od „W kleszczach lęku”). Obaj panowie szybko zostają wciągnięci w skomplikowaną intrygę (a nawet dwie), gdzie obok zagadki przypominającej typowe wyzwania dla Sherlocka pojawia się także wątek polityczny, bardziej przypominający śmiało powieści szpiegowskie niż wspomnienia doktora Watsona o pożytkach z dedukcji.

Henry James odgrywa w książce Simmonsa rolę zastępczego Holmesa; pojawia się tu

zresztą dużo większa galeria postaci znanych z historii i kart literatury (od Marka Twaina do Ireny Adler, słynnej przeciwniczki Sherlocka), a cały ten... no właśnie – żart, pastisz, gra? – okazuje się nie tylko wymślenie napisane, lecz także drobiazgowo przygotowany przez autora. Simmons nie uważa wcale, by lekkość tematu i postmodernistyczny humor metafizyki zwalniał go z historycznej rzetelności. Trud włożony w budowę barwnej, epickiej panoramy kresu XIX stulecia jest równie wielki jak wtedy, gdy straszył nas nazistami i yeti w „Abominacji” albo rekonstruował ponury Londyn Dickensa w powieści „Drood”. Efekt jest zachwycający, bo czyta się „Piątego kiera”, jakby Conan Doyle posiadał umiejętności narracyjne Twaina, celność obserwacji obyczajowych Henry’ego Jamesa i rozmach snucia intryg Iana Fleminga.

Obszerna powieść Simmonsa to dzieło człowieka zachowanego w literaturze popularnej i osiągniętego w niej mistrzostwo.

Miłośnicy oryginalnych opowiadań o Holmesie docenią też pomysłowość, z jaką wpleciono w nią ikoniczne postacie wymyślone przez Conana Doyle’a – zwłaszcza wątek Mycrofta Holmesa i demonicznego Moriarty’ego okazuje się wielce zaskakujący. Czysta przyjemność lektury.



★★★★★
DAN SIMMONS
„PIĄTY KIER”
WYDAWNICTWO VESPER
2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasyczna praca wybitnego francuskiego historyka, wielkiego znawcy dziejów Azji i Orientu, na którym wzorował się m.in. Steven Runciman, pisząc „Dzieje wypraw krzyżowych”.



RENÉ GROUSSET
„EPOPEJA KRUCJAT”
INSTYTUT DZIEDZICTWA EUROPEJSKIEGO ANDEGAVENUM

Podtytuł: „Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy”. Ważny głos w dyskusji – autorzy analizują politykę uników RFN i udowadniają, że roszczenia m.in. Polski czy Grecji są słuszne.



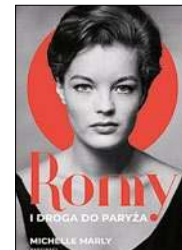
KARL HEINZ ROTH, HARTMUT RÜBNER
„WYPARTE, ODRUCZONE, ODRZUCONE”
ZYSK I S-KA

Zapis debat z Kongresu Lemologicznego (Wrocław 2016) – imponująca dawka wiedzy i opinii o twórczości genialnego pisarza. Mówią badacze, krytycy, tłumacze, pisarze (m.in. Andrzej Sapkowski, Jacek Dukaj, Michael Kandel).



AUTORZY RÓŻNI
„LEM: REAKTYWACJA”
WYDAWNICTWO WARSTWY

Życie Romy Schneider w formie powieściowej biografii (podobne pisywał Irving Stone). Najważniejsze spotkania (Alain Delon, Luchino Visconti, Coco Chanel) i sporo empatii zamiast epatowania skandalami.



MICHELLE MARLY
„ROMY I DROGA DO PARYŻA”
WYDAWNICTWO MARGINESY

KOMIKS TYGODNIA:

„DYLAN DOG”

Czytelnikom spoza Włoch trudno zrozumieć skalę fenomenu, którym jest w tamtejszej popkulturze seria „Dylan Dog”. Ukazujący się od 1984 r. cykl liczy już grubo ponad 400 tomów. „Mogę całymi dniami czytać Biblię, Homera i Dylana Doga” – prowokacyjnie ogłaszał niegdyś Umberto



TIZIANO SCLAVI, CORRADO ROI
„DYLAN DOG. DUCH ANNY NEVER”
WYDAWNICTWO TORE 2023

Eco. W Polsce znamy niespełna jedną dziesiątą serii. Najnowszy tom to „Duch Anny Never”.



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Lwowski barok

Zamek Królewski na Wawelu, zapraszając na wystawę „Ekspresja. Lwowska rzeźba rokokowa”, nazywa ją spektakularną. Dlaczego? Między innymi dlatego: „Ostro łamane szaty tworzące płataninę geometrycznych brył. Majestatyczne postaci uchwycone w swobodnym, ale pełnym dramaturgii ruchu. Linie ciała tanecznie wygięte. Twarze z wyostrozonymi rysami. Abraham, Samson, Matka Boska, św. Jan,

aniołowie, Chrystus. Przed nami rzeźbiarskie theatrum poruszających scen biblijnych autorstwa Johanna Georga Pinsla”.

Dzieła pochodzą z kościoła w Hodowicy nieopodal Lwowa. Odbyły długą podróż, zatrzymując się w tak znakomitych miejscach jak m.in. paryski Luwr, Pałac Zimowy w Wiedniu czy Muzeum Narodowe – Pałac Książąt Litewskich w Wilnie. Część tych arcydzieł można było oglądać w Polsce 30 lat temu. Na Wawelu możemy zobaczyć niemal wszystkie zachowane rzeźby z kościoła parafialnego w Hodowicy. Świątyni, która po pożarze w 1974 r. (prawdopodobnie celowe podpalenie) pozostaje w stanie ruiny. ©©

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu
KIEDY? do 22 października



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU



FOT. GALERIA KORDEGARDA

PAMIĘĆ 1943

Raport Stroopa będzie jednym z najważniejszych eksponatów powołanego w 2018 r., będącego w organizacji Muzeum Getta Warszawskiego. Jest też najważniejszym eksponatem wystawy przygotowanej przez MGW i Narodowe Centrum Kultury. Oprócz bezcennego dokumentu będącego zapisem tragedii getta warszawskiego z perspektywy niemieckich zbrodniarzy w Kordegardzie prezentowanych jest ponad 30 grup obiektów z ponad 2 tys. artefaktów wydobytych podczas wykopalisk na terenie dawnego getta. Dopelnieniem są współczesne rysunki, fotografie i plakaty. ©©

GDZIE? Warszawa, Kordegarda
KIEDY? do 7 maja

NA SŁUCH

Pełna prędkość

Promując 11. album Metalliki, Lars Ulrich stwierdził, że jest to „prawdopodobnie płyta, przy której powstaniu było najmniej tarć między członkami zespołu”. Może dzięki temu grupa nagrała najlepszy album od 15 lat.

Tytuł „72 Seasons” oznacza 18-letni okres biologiczny, w trakcie którego chłopiec staje się mężczyzną. James Hetfield wymyślił tematykę płyty po odbyciu ostatniej terapii. Stąd po raz pierwszy opisuje czas swojego dorastania bez gniewu, a teksty są przepełnione medytacjami na temat śmiertelności i moralności. Ważniejsze, że grupa porzuciła umizgiwanie się do rynkowych oczekiwań, nie ma na płycie żenujących ballad i wróciła do

profesjonalnego łojenia. Perkusja Ulricha jest w miksie wysunięta do przodu, Robert Trujillo szaleje na basie, Kirk Hammett tnie solówkami, a Hetfield ryczy jak wół. Płyta pędzi do przodu z miażdżącą głośnością i godnością. Jest ciężka, ale nie ponura. Fani wreszcie po latach odnajdą „starą” Metallicę, ale nie jest to jeszcze powrót do dawnej świetności. Utwory zlewają się ze sobą, przez co słuchanie wszystkich kawałków naraz jest nieco męczące. Właszcza że album trwa dobrze ponad godzinę. Gdyby płyta była o 20 minut krótsza, to jej siła rażenia byłaby znacznie większa.

Przełomu nie ma, ale jazda bez trzymanki zapewniona szczególnie po założeniu słuchawek. ©©



★★★★★
**KUCZEK, SŁAWECKI,
KWIATKOWSKI**
„GAUDE”
REQUIEM

Muzyka ilustracyjna

łącząca elektroniczne wizje Konrada Kuczka ze światem baroku. Wiolonczela Mateusza Kwiatkowskiego i kontratenor Michała Sławewskiego opowiadają o etapach depresji tego drugiego. Powstała płyta, której wyróżnikiem jest... piękno.



★★★★★
**PANCERNE ROWERY
I PRZYJACIELE**
„1995–2015”
REQUIEM

Druga część antologii Pancernych Rowerów, czołowego w latach 80. przedstawiciela Trójmiejskiej Sceny Alternatywnej. Po rozwiązaniu zespołu wokalista Roman Sebastyański zarejestrował te piosenki z ponad 20 przyjaciółmi. Album pamięci zmarłych trójmiejskich muzyków.



★★★★★
METALLICA
„72 SEASONS”
BLACKENED



Krzysztof Masłoń

Wnieustannej, a nawet rozwijającej się nad podziw rywalizacji mającej na celu rozbawienie telewizyjnej, spragnionej nie tylko wypieczonego z polskiego (broń Boże ukraińskiego) zboża chleba, lecz także igrzysk, pojawiła się komediowa oferta Amazon Prime Video w postaci na razie sześciu odcinkowego programu „*LOL: Kto się śmieje ostatni*”. Generalnie chodzi w nim o to, by uczestnicy zabawy, rozśmieszając innych do łez, sami zachowywali powagę. Wszystkie podobieństwa do znanego z dzieciństwa „pomidora” są oczywiście nieuzasadnione, a jeśli już, to absolutnie przypadkowe.

Generalnie nic tak dobrze się nie sprawdza, jak to, co stare i znane. Wyczekując z utęsknieniem nadejścia chwili, gdy telewizyjne kanały sportowe doprowadzą do powstania lig grających w zośkę, cymberegaję, bawiących się w berka, klasy, chowanego, pstrykających kapslami w chodnikowym wyścigu, skaczących przez gumę itp., itd. Wszystko to będzie transmitowane na kanałach sportowych, powstaną stosowne rankingi, a ludzie będą się emocjonować, kto spadnie, a kto awansuje z grupy A do B czy odwrotnie. Oczywiście na początku zawsze ktoś wzruszy ramionami i powie, że to bzdura, ale ani się obejrzy i po którejś tam powtórcie rozgrywek będzie już obstawiał zakłady i wymieniał na Facebooku fachowe uwagi z innymi znawcami nowo-starych dyscyplin, nie wiadomo dlaczego uznanych za sportowe.



Stare i nowe

Z rozrywką jest podobnie. Grubo ponad pół wieku temu Wojciech Młynarski postawił zagadnienie na ostrzu noża, pytając: W co się bawić? Próba diagnozy, której dokonał w zatytułowanej tak piosence, nie do końca jednak okazała się trafna. Bo cóż to znaczy, że „Kopciuszek dawno przestał grać w inteligencję / inteligencja już nie bawi się w Kopciuszek”? Kopciuszek już wtedy był jakby odporny na inteligencję, znacznie lepiej wychodziło mu oleolejanko, a jeśli chodzi o inteligencję, to ta, nieliczna zresztą, już wymarła. Jej potomkowie przemieszani z dziećmi klasy robotniczej (co to było?). Aspirując do klasy średniej, w pełnej harmonii oglądają dziś hity polskiego kabaretu, zarykując się coraz to głośniejszymi dowcipami i nieśmiesznymi już w momencie ich powstania.

Przypomina się w tym miejscu opowieść Melchiora Wańkowskiego o jego pobycie przed wojną w Kosowie, w modnym tamtejszym zakładzie przyrodolecznictwym, prywatnym

sanatorium Apolinarego Taranowskiego, którego kuracjusze poddawali się dobrowolnym, acz obowiązkowym głodówkom i jarskiej diecie. Pisarz, sam skonsultowawszy się z doktorem, udał się następnie na spacer ze swoim Królikiem – jak nazywał żonę i przebywającą akurat w Kosowie sławną Mirę Zimińską. „Naprzeciw nas – czytamy w »Zielu na kraterze« – lebeadały się dwa stusześcdziesięcikilowe potwory – kupcy zbożowi z Poznania, którym żony sznurowały buty. Ujrawszy popularną aktorkę, monstra stanęły i rozdziawiły się zadowolonymi uśmiechami:

– Pani Zimińska! Powiedz nam pani co dowcipnego!

– Dupa – spełniła z gotowością prośbę pani Mira i poszliśmy w głąb sadu, zostawiając osłupiałe hipergrubce”.

Nasi telewizyjni rozśmieszacze wyraźnie naśladują bohaterkę tej historyjki, szkoda tylko, że pod jednym względem. A o rozrywkę na wyższym niż depresyjny

poziomie dbają jedynie te telewizje, które mają w archiwach coś więcej niż tylko żarciki o d... Maryni. I tak TVP Kultura, w ramach przygotowań do, o Matko Boska, 60. Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, do którego dojdzie już w czerwcu, pokazuje co pewien czas festiwale sprzed lat. Ostatnio trafiłem na koncert z 1970 r., zatytułowany „Stefan Rachoń zaprasza”, do którego dyrygent, obchodzący wówczas swój pracowniczy jubileusz, zaprosił m.in. Irenę Santor, Sławę Przybylską, Danutę Rinn (jeszcze w duecie z Bogdanem Czyżewskim), Annę German, a nawet samego Mieczysława Fogga. Jakość zapisu jest przerażająca, ale widok młodziutkiego Młynarskiego kołyszącego się wraz z całym amfiteatrem do refrenu pana Mieczysława, zachęającego: „Bujaj się, bujaj kochanie” – bezcenny. Powtórzyć można jedynie za Janem Kaczmarkiem: „Jak w dobrej bajce wszystko szło / i komu to przeszkadzało”. Tamten festiwal z epoki schyłkowego Gomułki (po pół roku zmiotł go już wiatr historii) w ogóle był nie z tej ziemi. Śpiewano o ziemiach piastowskich, o „białej brzoźce pośród pól” i „listkach brzozy polnej”, a główne nagrody przyznano Annie German, która słowami Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego zapewniała, że choć „Być może gdzie indziej są ziemie piękniejsze / lecz sercu jest droższa / piosenka nad Wisłą i piasek Mazowsza”, oraz Janowi Pietrzakowi, w utworze „Marsjanie nie zagrażają Ziemi” jak zawsze pryncypialnemu: „Taka jest prawda, panowie: / Ziemi zagraża człowiek!”. Tak było: i patriotycznie, i ekologicznie. A dziś co? Na okrągło „On the Road Again” i „Bayraktar”. I zupełnie inne Rachonie. ©©

Czy Ukraina straci wsparcie?



Ujawnione dokumenty Pentagonu wskazują, że Ukrainie na frontach nie idzie tak dobrze, jak ona sama to przedstawia. FOT. ADOBE STOCK



Wojciech Golonka

Wojna na Ukrainie niewątpliwie będzie jednym z wiodących tematów kampanii prezydenckiej w USA. Spór polityczny w Stanach Zjednoczonych toczy się bowiem także o to. Niedawny wyciek tajemnic Pentagonu jeszcze bardziej go zaostrzy

Im więcej wiadomości dotyczących wojny na Ukrainie, im więcej konsultowanych wypowiedzi specjalistów, tym bardziej za Sokratesem można spuentować: wiem, że nic nie wiem. Konkluzja ta jest nie tyle przejawem dojrzałości umysłu nabierającego pokory wobec złożoności rzeczywistości, ile

wyrazem bezsilności spowodowanej sprzecznościami, jeśli nie wręcz niedorzecznościami, które stały się nieodłączną towarzyszką przekazu wojennego. Bardzo możliwe zresztą, że ta niejasność ma nawet swe zamierzone i skalkulowane mętne zadanie (po obu stronach konfliktu) – bo jak nie wiadomo, o co

chodzi... A przecież każda współczesna wojna toczy się w ostateczności właśnie o pieniądze.

TAJEMNICE PENTAGONU?

Przy czym nawet nie wnikając w tak przyziemne założenia, z przekazem informacyjnym wokół tej wojny jest jak z konsylium lekarskim, kiedy każdy z doktorów ma odrębne zdanie, podczas gdy pacjent jest już w stanie ciężkim. Najlepszym tego przykładem jest niedawny wyciek ściśle tajnych informacji Pentagonu. Wyciek, a może rzekomy wyciek, rzeczywistych, a może iluzorycznych tajemnic – bo przecież słuchając ekspertów, każdy wariant zdaje się tu możliwy.

Przez przypadek natknąłem się na wypowiedzi trzech różnych zachodnich

ekspertów świetnie ilustrujących ten rozdźwięk komentarzy. Oto gen. Waldemar Skrzypczak w wywiadzie dla Radia Wnet potępił histerię medialną wokół tego rzekomego, jego zdaniem, wycieku informacji, sugerując, że te szczątkowe informacje w rzeczywistości są elementem gry dezinformacyjnej Amerykanów wobec Rosjan.

Bardziej ostrożny był w swych konkluzjach płk Piotr Lewandowski w rozmowie z Wirtualną Polską, nie czując się na siłach rozstrzygać o autentyczności samego wycieku i zaznaczając, że w przypadku wycieku kontrolowanego, czyli akcji dezinformacyjnej, potrzebna jest jednak pewna doza autentyczności informacji, mająca uwiarygodniać całość.

Popularny w USA komentator wojenny płk Douglas Macgregor stwierdził, że w zasadzie wyciek potwierdza to, co już wiemy od dawna, a prawdziwy skandal polega na tym, że amerykańskie dowództwo i administracja okłamują własne społeczeństwo.

Wypowiedzi ekspertów świadczą zatem bardziej o ich dotychczasowym nastawieniu i zaangażowaniu, o ich rodzimych uwarunkowaniach, niż pozwalają jednoznacznie rozstrzygnąć kwestię, czy wyciek był autentyczny, a może jedynie miał stwarzać pozory autentyczności.

STARSZY SZEREGOWY

Tymczasem problemem dla samego laika jest nawet ustalenie, co tak naprawdę wyciekło. Ma się rozumieć, nie brakuje opisów medialnych – od tego w sumie wszystko się zaczęło, o czym za chwilę – podsumowujących zakres upublicznionych tajnych notatek wywiadowczych, ale znalezienie samych tych materiałów w sieci wymaga już poważnego przeszukiwania Internetu, a już natknięcie się na nie w formie jednego zestawienia wszystkich plików okazało się w tym przypadku porażką.

Zatem zaczęło się od tego, że materiały miały pojawiać się tygodniami na jednej zamkniętej grupie na komunikatorze Discord, skąd ostatecznie zaczęły wypływać na zewnątrz, w tym na Twittera. Wówczas zainteresowały się nimi prasa, amerykańskie służby, a w końcu sama opinia publiczna, gdy „Washington Post” opisał sprawę, docierając także do członków wspomnianej grupy.

Dosyć szybko służby zatrzymały, nie bez rozgłosu, samego podejrzanego, którym okazał się 21-letni starszy szeregowy Jack Teixeira z Powietrznej Gwardii Narodowej w Massachusetts. I tu chyba pojawia się najbardziej niesamowity, wręcz niewiarygodny element całej tej historii: jak szeregowiec będący członkiem formacji pokroju obrony terytorialnej mógł mieć dostęp do tajnej dokumentacji Pentagonu, ośmieszyc rząd amerykański i śmiertelnie narazić przy tym, jeśli wierzyć komentarzom, wtyki amerykańskiego wywiadu w rosyjskich siłach zbrojnych? Otóż twierdzi się, że Teixeira miał dostęp do danych wrażliwych z racji bycia czeladnikiem „Systemów cybertransportu”, specjalistą odpowiedzialnym za prawidłowe funkcjonowanie szerokiej, globalnej sieci wojskowej komunikacji. Brzmi to enigmatycznie, ale jak najbardziej możliwe jest to, że na swym stanowisku miał dostęp do pewnych depezy, choć nie brakuje w USA głosów, że w rzeczywistości ktoś starszy i mądrzejszy musiał mu tych danych odpowiednio użyczyć.

Jakie z kolei były motywacje chłopaka? Szeregowiec miał przekazywać kolegom dane ukazujące prawdziwe oblicze wojny na Ukrainie, inne niż serwowana w USA obywatelom narracja. Chodziło m.in. o krytyczne połozenie ukraińskich wojsk w Bachmucie, o bliską perspektywę unicestwienia ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, o straty obu stron. Wątek, który powinien był podnieść temperaturę w dyplomacji – w dokumentach znalazły się informacje o szpiegowaniu bliskich sojuszników USA przez same Stany, w tym władz Ukrainy, Korei Południowej i Izraela, a także sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych, któremu w dokumentach amerykańskiego wywiadu zarzuca się uległość względem Rosji. Były także informacje podważające popularny przekaz o odizolowaniu Rosji na arenie międzynarodowej – Egipt, hojnie dotowany militarnie sojusznik USA, miał dyskretnie dostarczyć pociski rakietowe do Rosji, choć w konsekwencji przecieku i oskarżeń ostatecznie zaofiarował ich dostawę Ukrainie. Dokumenty wskazywały także na rzecz bulwersującą, przynajmniej względem dotychczasowych zapewnień, a przede wszystkim wielce niebezpieczną, gdyż stawiającą kraje NATO w faktycznym stanie wojny z Rosją: o bezpośrednim operowaniu na Ukrainie zachodnich sił specjalnych,

z czego na przeszło 100 osób połowę stanowić mają Brytyjczycy. W końcu, co być może wywołało najwięcej problemów, ujawniono też plany i zasoby przygotowywanej wiosennej ukraińskiej kontrofensywy, w której skuteczność – jeśli wierzyć upublicznionym dokumentom – nie bardzo wierzą sami amerykańscy analitycy.

Warto tu nadmienić, że wbrew tradycji taryfy ulgowej dla „whistleblowerów”, lewicowe media kreowały przy okazji Teixeirę na prawicowego ekstremistę, określając go, podobnie jak członków jego grupy na Discordzie, jako zwolenników posiadania broni, a także czasem jako osoby wierzące. Pojawiła się nawet informacja, że Teixeira jest katolikiem, co poniekąd dawałoby złapać oddech będącej w zadyszce FBI po tym, jak okazało się, że agencja prowadziła szeroką operację inwigilacji środowisk katolickich w USA pod pretekstem ich rzekomej radykalizacji stanowiącej zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego kraju.

W każdym razie przeciek, rzeczywiście podważając różne elementy dotychczasowej oficjalnej zachodniej narracji (co nie znaczy, że tego typu informacje nie pojawiały się wcześniej), wywołał komentarze władz USA i Ukrainy, a także wspomniane już wypowiedzi eksperckie. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, owszem, uznali publicznie, że problem jest poważny, ale zastrzeżli, że wyciek nie spowoduje paraliżu prowadzonych działań, w tym przygotowań do wspomnianej kontrofensywy. Z kolei władze ukraińskie ripostowały, że ostateczny plan kontrofensywy i tak zostanie zatwierdzony dopiero na samym końcu wśród różnych możliwych wariantów. Ostrożność przejawiała także sama Moskwa, podkreślając możliwą kampanię dezinformacyjną.

Abstrahując jednak od merytorycznej analizy tych danych w zaciśniętych gabinetach wywiadów poszczególnych państw, trzeba przyznać, że sama powielona przez media ogólna treść wycieku pozwalała na praktycznie dowolną ich interpretację przez komentatorów. Generał Skrzypczak mógł zatem twierdzić, że chodzi o działania dezinformacyjne przed planowaną kontrofensywą, a z kolei amerykańscy eksperci mogli mówić o obnażonych kłamstwach administracji prezydenta Bidena. Pod tym względem ta dominująca na amerykańskiej prawicy narracja nie została w Polsce

■ wystarczająco zauważona, wraz z jej konsekwencjami.

WYBORY NA WOJENNYM TLE

Ameryka wielkimi krokami zbliża się do przyszłorocznych wyborów prezydenckich, a ich temperatura może sięgnąć historycznego zenitu – wspomnieć należy m.in. działania nowojorskiego trybunału sprawiedliwości wokół Donalda Trumpa, walczącego o powrót do Białego Domu.

Wojna na Ukrainie niewątpliwie będzie jednym z wiodących tematów kampanii prezydenckiej, w tym przede wszystkim jej kolosalny ciężar dla amerykańskiego budżetu. Im bardziej będzie brakować przełomu w terenie na korzyść Ukrainy, tym łatwiej będzie republikanom zarzucać demokratom gigantyczną niegospodarność pieniędzmi amerykańskich podatników. Pod tym względem znaczenie zapowiadanej kontrofensywy z punktu widzenia PR jest ogromne.

Trzeba pamiętać, że republikanie od zeszłorocznych wyborów uzupełniających kontrolują z powrotem Kongres i już grillują w przesłuchaniach członków administracji Joe Bidena na okoliczność zasadności podejmowanych przez nich działań w ramach wojny rosyjsko-ukraińskiej. Przepytywany w marcu przez deputowanych sekretarz obrony Lloyd Austin mówił optymistycznie o perspektywach sukcesów ukraińskiej armii, podczas gdy upublicznione materiały dają więcej powodów do pesymizmu. W takich warunkach nietrudno zarzucać Austinowi okłamywanie pod przysięgą Kongresu, niezależnie od meritum. Co więcej, już sama amerykańska historia obfituje w mocne przykłady dysonansu między publicznymi zapewnieniami przedstawicieli armii a rzeczywistością wojenną, by wspomnieć casus Wietnamu, Iraku i Afganistanu – krytycy mogą zatem z łatwością porównywać obecne „kłamstwa” z ówczesną dezinformacją społeczeństwa, posiłkując się co mocniejszymi przykładami przemawiającymi do amerykańskiej publiki.

W pewnym sensie ważniejsze od tego, jak wygląda obecne położenie wojsk ukraińskich, jest to, jak można tu i teraz wykorzystać dane z przecieku w sposób obciążający politycznie swych przeciwników, stąd nawet i aberracyjne sugestie, że administracja Bidena podobnymi przecie-



Tajne dokumenty o wojnie na Ukrainie miał wynosić 21-letni starszy szeregowy Jack Teixeira z Powietrznej Gwardii Narodowej w Massachusetts. FOT. MICHAEL A. HOROWITZ/TWITTER

kami sama przygotowuje Amerykanów na porażkę wojsk ukraińskich (podcinając jednocześnie własną gałąź). Nie można w każdym razie lekceważyć oburzenia i jego konsekwencji w postaci odwrotu od polityki interwencjonizmu, które może wywoływać w społeczeństwie amerykańskim świadomość o okłamywaniu go przez własny rząd, nawet jeśli robienie własnych obywateli w bambuko jest powszechną praktyką nowoczesnych demokracji.

Reakcja na przeciek zdaje się zatem przede wszystkim medialna i skoncentrowana głównie w Ameryce, nad czym należałoby ubolewać z kilku powodów. Skłaniam się do opinii płk. Macgregora, że w rzeczywistości sam wyciek w swych ogólnych informacjach potwierdza to, co już wiadomo od dłuższego czasu, choć w mainstreamie tego typu informacji nie akcentowano. Osobiście więcej na temat przygotowywanej ukraińskiej kontrofensywy dowiedziałem się od samej strony rosyjskiej, z jednego z kanałów klarownie przedstawiającego różne warianty możliwych ukraińskich działań, z opisem koncentracji ludzi i sprzętu, działań testujących rosyjskie linie obrony czy wiążących rosyjskie siły w danej części frontu tudzież przeciążających możliwości rosyjskiej obrony przeciwlotniczej – spektakularnych rewelacji, w związku z przeciekiem, dla samych Rosjan zatem nie ma. Wiedzieliśmy także, że Wujek Sam regularnie szpieguje swych sojuszników, choć minęły te czasy, kiedy informacja o inwigilacji Angeli Merkel przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego spotkała się przynajmniej z ostrym protestem dyplomatycznym samych Niemiec. Oto bowiem

pojawia się wiarygodna informacja, że USA szpiegują swych bliskich partnerów, rzecz sama w sobie wielce szokująca, ale w zasadzie nie budząca publicznych reakcji samych zainteresowanych. Ba, kilka dni później, jak gdyby nigdy nic, zachowując się po raz kolejny niczym jakiś podsekretarz z amerykańskiej administracji, który najpierw strofował Chiny, a teraz wielkopoddadniczo retuszuje nadwyższone wizerunki samych Stanów Zjednoczonych, premier Mateusz Morawiecki oświadcza, że Polskę i USA łączy więcej niż samo partnerstwo, bo szczególna przyjaźń... Pod tym względem przeciek spotykający się z postawami skrajnej wasalności bardziej niż sytuację wojenną uwidacznia brak zdrowej niezależności wewnątrz samego bloku euroatlantyckiego, którego główną wartością przewodnią jest rzekomo wolność, czego nie omieszczał w dosadnych słowach skomentować minister spraw wewnętrznych Turcji (a więc członka NATO), nazywając Europę „pionkiem USA”.

Przed wszystkim wojna rosyjsko-ukraińska w jej obecnym etapie na wyniszczenie rozgrywa się nie na łamach prasowych, a na polu bitew, w których Ukraina nadal stawia bardzo silny opór, wykrwawiając się jednocześnie. My, laicy, nie wiemy na razie, czy ukraińska kontrofensywa rzeczywiście nastąpi, czy odniesie realny sukces, czy będzie tylko symboliczna, natomiast nie budzi wątpliwości, że zarówno europejskie zachodnie gabinety polityczne, jak i opinia publiczna coraz wyraźniej domagają się twardego dowodów sensowności udzielania pomocy militarno-finansowej Ukrainie. W tym kontekście epizod wycieków dokumentów z Pentagonu rzeczywiście potwierdza głód na prawdziwe informacje i rzetelne analizy, choć Polska pod tym względem jawi się jako pewien wyjątek. Mam wrażenie, że w naszym kraju wciąż przeważa atmosfera strefy kibica, a ewentualne rozdzwieki z rzeczywistością zagłuszone są projekcją własnych pragnień, w razie potrzeby odpowiednio dokarmianych. W dobie wojny o kontrolę narracji podsycanie tychże niekoniecznie koreluje z obywatelskim obowiązkiem rozliczania władzy z racjonalności podejmowanych decyzji. To Sokrates miał rację, zadając niekoniecznie wygodne pytania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl b0cd96b6f3



Zniesienie prawa weta byłoby katastrofą

FOT. JACEK PRZYBYLSKI



Jacek Przybylski

Postulowane przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, kanclerza Niemiec Olafa Scholza i niektórych zachodnich polityków odejście od fundamentalnej zasady jednomyślności byłoby niebezpieczne zwłaszcza dla suwerenności krajów Europy Środkowej – jednym głosem ostrzegali eksperci z Czech, Polski Węgier oraz ze Słowacji, podczas międzynarodowej konferencji w siedzibie Instytutu Felczaka

Przewodnicząca Komisji Europejskiej od kilkunastu miesięcy publicznie nawołuje do zmiany traktatów europejskich i rezygnacji z zasady jednomyślności w głosowaniach dotyczących kluczowych kwestii w Radzie UE. – Zawsze mówiłam, że zasada jednomyślności w głosowaniach dotyczących niektórych kluczowych obszarów po prostu nie ma już sensu – przekonywała Ursula von der Leyen w Parlamencie Europejskim w maju 2022 r., podczas ceremonii podsumowującej tzw. Konferencję w sprawie przyszłości Europy. Z cyklu debat nad kluczowymi wyzwaniami stojącymi przed UE wycofała się grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim, protestując przeciw

sposobom wybierania obywateli uczestniczących w Konferencji, manipulacjom w doborze ekspertów czy interpretacji tzw. rekomendacji obywatelskich. Oprócz tego rządy 13 państw członkowskich UE – Polska, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Litwa, Łotwa, Malta, Rumunia, Słowenia i Szwecja – we wspólnym dokumencie sprzeciwiły się zaś w maju 2022 r. „nieprzemyślanym i przedwczesnym próbom” zmiany unijnego traktatu.

GROŹNE AMBICJE BERLINA

Niemcy konsekwentnie prą jednak do większej centralizacji władzy w UE i zwiększenia uprawnień unijnych instytucji kosztem rządów narodowych. Mówiła o tym minister stanu ds. Europy i klimatu Anna Lührmann, a także wielokrotnie sam kanclerz Niemiec. – Traktaty Europejskie nie są wykute w kamieniu. Jeśli wspólnie dojdziemy do wniosku, że Traktaty muszą zostać zmienione, by Europa mogła iść naprzód, wówczas powinniśmy to zrobić – przekonywał Olaf Scholz podczas głośnego przemówienia w stolicy Czech 29 sierpnia 2022 r. Szef rządu w Berlinie w swym najważniejszym programowym wystąpieniu dotyczącym polityki europejskiej postulował, by rezygnacja z zasady jednomyślności podczas głosowań w Radzie UE odbywała się stopniowo i rozpoczęła od obszarów, „gdzie szczególnie ważne jest to, abyśmy mówili jednym głosem”.

– To było drugie najgorsze przemówienie Niemca na terytorium Republiki Czeskiej po przemówieniu Reinharda Heydricha – ocenił były czeski dyplomata i dawny pracownik Radia Wolna Europa oraz Voice of America Jaroslav Kuchyňa.

– Likwidacja jednomyślności i przejście na podejmowanie decyzji kwalifikowaną

większością głosów byłaby dla Europy Środkowej katastrofą – ostrzegł Jaroslav Kuchyňa z Instytutu CEVRO, prywatnej uczelni, która od 2014 r. koncentruje się na kwestiach bezpieczeństwa, prawa i polityki, podczas dyskusji wybitnych ekspertów z Czech, ze Słowacji, z Polski oraz Węgier zorganizowanej 18 kwietnia w warszawskiej siedzibie Instytutu Felczaka pod hasłem „Reforma UE. Potrzeby a nasze możliwości. Perspektywa czeska, słowacka, polska i węgierska”.

OBRONIĆ SUWERENNOŚĆ

Uczestnicy międzynarodowej konferencji w Instytucie Felczaka zgodnie ocenili, że plany Berlina i grupy innych państw, chcących odejścia od zasady jednomyślności w celu budowy europejskiego supermocarstwa, byłyby ewidentnym zagrożeniem dla suwerenności takich krajów jak Polska, Węgry, Czechy czy Słowacja.

Podczas dyskusji poświęconej sposobom na „efektywną reformę Unii Europejskiej”, którą prowadził redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki, mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes zarządu i współzałożyciel Instytutu Ordo Iuris, podkreślał, że wielu graczy wewnątrz Unii Europejskiej od lat nie kryje się już z planami przepoczwarzania się w europejskie superpaństwo.

– Wszyscy jesteśmy całkowicie świadomi tego, że mamy do czynienia z nurtem reprezentowanym nie tylko przez jedną głowę państwa czy dwie. Mamy do czynienia z potężnym nurtem pewnej idei superpaństwa europejskiego, które przejmowałoby kompetencje państw suwerennych – ostrzegł mecenas Kwaśniewski. – W dużej mierze od nas, czyli od państw Europy Środkowej i naszego stanowiska, bo my padniemy ofia-

raż takiego nowego superpaństwa, będzie zależało to, czy ten proces będzie się toczył czy zostanie zawetowany, póki jeszcze nie jest za późno. Ale to nie może być tylko weto polityczne. [...] Trzeba budować konsensus strategiczny, który będzie szerszy niż jeden rząd i który będzie budował suwerennościową koalicję państw Europy Środkowej, która zablokuje koncepcję superpaństwa i która będzie podkreślała wartość zarządzania rozproszonego. Dzięki zarządzaniu rozproszonym jesteśmy bowiem skuteczniejsi niż w przypadku centralnego zarządzania i my jako ofiary kilkudziesięciu lat komunizmu rozumiemy to prawdopodobnie lepiej niż zachodni Europejczycy – podkreślił Jerzy Kwaśniewski podczas dyskusji w Instytucie Felczaka.

– Na tej sali nie ma nikogo, kto popierałby pomysł zniesienia weta. Jednak od 2008 r. Unia Europejska znajduje się w głębokim kryzysie, Grecy regularnie ogłaszają, że są bliscy bankructwa, Włosi mają 160 proc. zadłużenia, a szybko rośnie również zadłużenie takich państw jak Hiszpania czy Francja. Unia Europejska nie zdołała więc właściwie odpowiedzieć na globalny kryzys finansowy. Mimo to liderzy wykorzystują każdy moment, aby wzmocnić władzę Brukseli. Gdy nadszedł kryzys migracyjny, Polska i Węgry samodzielnie odniosły sukcesy, a w tym czasie elity zamiast szukać sposobu rozwiązania problemu, znów robiły wszystko, aby wzmocnić własną władzę. Obecnie Bruksela wykorzystuje również fundusze przeznaczone na odbudowę unijnych gospodarek po pandemii do szantażowania poszczególnych krajów członkowskich, próbując ograniczyć suwerenność zwłaszcza państw Europy Środkowej. Próba odebrania krajom członkowskim prawa weta wpisuje się w ten nurt – zauważył István Kovács, jeden z założycieli budapeszteńskiego Centrum Praw Podstawowych (Alapjogokért Központ).

KOMU SIĘ OPŁACA V4?

Prowadzący panel Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, zauważył, że po agresji Rosji na Ukrainę współpraca w ramach Grupy Wyszehradzkiej uległa hibernacji. O trudnym okresie tego formatu mówili podczas debaty zarówno eksperci z Czech, jak i ze Słowacji oraz z Węgier. Uczestnicy dyskusji byli zgodni, że mimo kryzysu Grupy Wyszehradz-

kiej – wywołanego brakiem wspólnego stanowiska wszystkich krajów co do wojny na Ukrainie – dalsza współpraca między krajami Europy Środkowej jest konieczna, ponieważ nadal w wielu kwestiach kraje czwórki wyszehradzkiej są w stanie w Brukseli ugrać o wiele więcej, niż gdyby samodzielnie walczyły o swoje interesy.

– Grupa Wyszehradzka leży przede wszystkim w naszym własnym interesie. Nieprzypadkowo to nie Francuzi i Niemcy kładą nacisk na współpracę w Europie Środkowej. Trzeba pamiętać, że rozszerzenie UE o kraje naszego regionu nie było wynikiem pięknej idei, lecz tego, że nasze kraje stanowiły świetny rynek zbytu. W interesie Francji czy Niemiec nie leży więc to, aby państwa czwórki wyszehradzkiej wspólnie reprezentowały swoje interesy narodowe. Zresztą w historii było wiele mocarstw, które próbowały rozgrywać różnice pomiędzy naszymi państwami – zauważył István Kiss, analityk z węgierskiego Danube Institute.

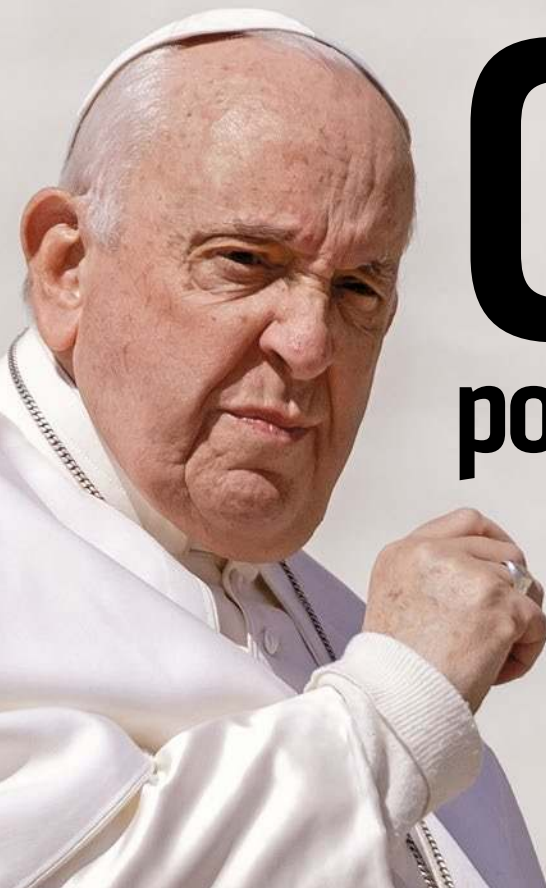
– Jesteśmy grupą krajów ze wspólną historią, położonych między Niemcami a Rosją. Nasze położenie geograficzne się nie zmieni. Los skazał nas na współpracę – zauważył zastępca redaktora naczelnego słowackiego dziennika „Postoj” Jozef Majchrák. Podczas dyskusji w siedzibie Instytutu Felczaka zwrócił on uwagę, że Słowacja jako mały kraj od zawsze poszukiwała strategicznych sojuszników. Długo duża część słowackich elit politycznych jako tego strategicznego partnera widziała Niemcy, natomiast wojna na Ukrainie pokazała, że postawa rządu w Berlinie w kwestii energetyki czy stosunków z Moskwą nie jest właściwa z punktu widzenia Bratysławy. Wśród części słowackich elit zaczęła rosnąć więc pozycja Polski, która jest dużo bardziej przewidywalna niż Niemcy – dodał wicenaczelny dziennika „Postoj”. Rząd w Warszawie w roli lidera tej części Europy chętnie widzą też Węgrzy. – Premier Viktor Orbán wielokrotnie dawał do zrozumienia, że współpraca w ramach Grupy Wyszehradzkiej ma sens, tylko jeśli będzie ona kierowana z Warszawy – zauważył dyrektor ds. zagranicznych węgierskiej Fundacji Századvég Csaba Faragó. I odwołał się do obecnego we wszystkich krajach sąsiadujących z Ukrainą problemu z importem taniej żywności z Ukrainy. Rozmawiałem z wieloma rolnikami i biznesmenami na Węgrzech, którzy borykali się z tą kwestią,

ale nie mogliśmy nic w tej sprawie zrobić dopóty, dopóki nie zaczął działać polski premier Mateusz Morawiecki. Wówczas Węgry przyłączyły się do działań Polski – podkreślił Csaba Faragó, zauważając, że Polska jako lider regionu ma ogromną moc sprawczą i może forsować interesy korzystne dla Europy Środkowej, które niekoniecznie są mile widziane w Berlinie czy w Paryżu. – Polska, choć silna, nie jest w stanie samodzielnie stanowić przeciwwagi dla Niemiec i Francji. Jednak we współpracy z krajami regionu wraz z Chorwacją, ze Słowenią czy z Rumunią jesteśmy w stanie skutecznie dbać o swoje interesy – zauważył István Kiss, analityk z węgierskiego Danube Institute.

FUNDUSZ WYSZEHRADZKI

Analitycy dyskutowali również o tym, jak należy wykorzystywać pieniądze z Funduszu Wyszehradzkiego, który od lat skupia się na grantach naukowych i kulturalnych. Przedstawiono też wyniki badań opinii społecznej w Polsce i na Węgrzech, w których widać, jak ostatnie wydarzenia wpłynęły na nastroje w Europie Środkowej i kto może to chcieć wykorzystać. – Nie da się ukryć, że bardzo poważne podmioty zachodnie czy globalistyczne nie są zainteresowane dobrą współpracą w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Są na Zachodzie gracze, którzy mogą mieć interes w osłabieniu dobrych relacji państw Europy Środkowej, np. w kwestii wspólnej polityki migracyjnej – zauważył redaktor naczelnego tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki.

– Profesor Wacław Felczak zwykł powtarzać, że albo my, mieszkańcy Europy Środkowej, nauczymy się ze sobą dobrze współpracować, albo kolejny raz będziemy jedynie pasażerami pociągu, na którego kierunek, a nawet przystanki, na których się zatrzymuje, nie będziemy mieli żadnego wpływu – zauważył zaś dyrektor Instytutu Felczaka prof. Maciej Szymanowski podczas międzynarodowej konferencji, w której 18 kwietnia uczestniczyli m.in. szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów minister Marek Kuchciński i jego zastępca Andrzej Klarkowski, Helga Marik z gabinetu premiera Węgier, dyrektor Instytutu Wolności Wojciech Kaczmarczyk, a także publicyści oraz eksperci i analitycy z 10 think tanków z Węgier, Czech i ze Słowacji.



Celibat

pod ostrzałem



Paweł Chmielewski

Kościelni reformatorzy do spółki z radykalną lewicą marzą o zniesieniu bezzenności kapłańskiej. Oficjalnie chodzi o walkę z kryzysem nadużyć seksualnych oraz troskę o powołania. Tak naprawdę zniesienie celibatu jest jednak tylko jednym z elementów wielkiej reformy, u której kresu czeka całkowicie odmieniony Kościół, katolicki już tylko z nazwy

Argentyński portal Infobae opublikował 10 marca nagranie wywiadu z papieżem Franciszkiem. Wśród wielu tematów był również celibat. Pytany o możliwość zawierania małżeństw przez księży papież stwierdził, że co do zasady „nie ma przeciwwskazań”, bo – jak tłumaczył – celibat nie jest zakorzeniony w tym, co wieczne, tak jak kapłaństwo; przeciwnie, jest „tymczasowy” w tym sensie, że stanowi kościelną dyscyplinę. Indagowany przez dziennikarza, czy wobec tego dyscyplinę bezzenności można byłoby zrewidować, odparł twierdząco, wskazując na przykład chrześcijaństwa wschodniego.

Tak się akurat składa, że papież będzie miał doskonałą okazję do „rewizji” celibatu. 9 marca, a więc zaledwie dzień przed publikacją wywiadu, Kościół katolicki w Niemczech postanowił poprosić Stolicę Apostolską o wydanie zgody na małżeństwa księży. Niemcy chcieliby pójść w nieco inną stronę niż chrześcijaństwo wschodnie, gdzie konieczne jest zachowanie porządku: najpierw małżeństwo, potem kapłaństwo, nigdy odwrot-

nie. Kościół za Odrą pragnie znieść to ograniczenie, pozwalając także już wyświęconym kapłanom na wstępowanie w związki małżeńskie. W specyficznym kontekście niemieckim należałoby zadać tylko pozornie złośliwe pytanie: Czy niemieccy kapłani będą mogli brać również mężów? Takie rozwiązanie funkcjonuje od 2010 r. w niemieckich wspólnotach protestanckich. Biskupi zza Odry uważają w większości homoseksualizm za normalny i błogosławią związki jedнопłciowe, wychodząc z założenia, że skoro państwo uznaje takie „małżeństwa”, to i oni muszą zrobić krok w tę stronę. Stąd po ewentualnym zniesieniu obowiązku celibatu natychmiast rozpocznie się nowy front bitwy – o homoseksualne pseudomałżeństwa księży.

KOMU PRZESZKADZA CELIBAT

Tematyka celibatu podejmowana jest jednak nie tylko w Niemczech. Znalazła się w samym centrum dyskusji o przyszłości Kościoła na trwającym do 2024 r. globalnym Synodzie o synodalności. Rozmawia się tam o takich formach

życia chrześcijańskiego, które mogłyby ułatwić ewangelizację i lepiej odpowiadać na wyzwania czasu. Często przy tej okazji krytykuje się obecny kształt kapłaństwa. Również w debacie w Polsce wybrzmiewały głosy krytycznie nastawione wobec różnych elementów kapłaństwa. W Rzymie odbywał się kilka lat temu synod biskupów poświęcony Amazonii; jego uczestnicy poprosili papieża o zgodę na to, by w niektórych regionach świata biskupi mogli wyświęcać na księży żonatych mężczyzn. Miałoby to dotyczyć tych miejsc, w których brakuje kapłanów: czyli tak naprawdę niemal całego świata, może z wyjątkiem kilku państw afrykańskich. Wtedy papież wydawał się skłonny do zmian. Kilka miesięcy przed Synodem Amazońskim mówił pozytywnie o formułowanych propozycjach. Reformę zatrzymał jednak „emeryt” Benedykt XVI, publikując głośny artykuł, w którym podkreślał zakorzenienie katolickiego kapłaństwa w Starym Przymierzu – co podkreśla wagę celibatu. Benedykt jednak już nie żyje; tym razem żaden „były papież” nie upomni się o tradycję bezzenności.

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS/GETTY IMAGES

Co motywuje krytyków celibatu? Wielu z nich jest przekonanych, że zniesienie obowiązku beżzenności kapłańskiej pozwoliłoby na przezwycięzenie kryzysu powołań i pozyskanie dla Kościoła nowych rzesz kapłanów. Uważają, że utrzymywanie celibatu jest drogą do samozagłady: Kościół miałby pozbawiać się znakomitych duszpasterzy, znających „prawdziwe życie”. To jednak złudne nadzieje. Niska liczba kandydatów do seminariów nie wynika z wymogu celibatu. Ważniejsze są inne przyczyny. Benedykt XVI już wiele lat temu wskazywał na podstawowy problem – niską dzietność. Mniej chłopców to mniej księży – prosta arytmetyka. Ponadto rodziny wychowujące jednego czy dwóch synów, nawet jeżeli są wierzące, są z natury rzeczy mniej skłonne do kierowania potomka do kapłaństwa. Problem pogłębia laicyzacja. Jeżeli z roku na rok spada liczba osób uczęszczających do kościoła, to trudno o wzrost liczby powołań. Tym bardziej że wskutek nagłaśnianych przez media skandali kapłaństwo straciło prestiż. Wreszcie – i to element absolutnie kluczowy, a w debacie niemal całkowicie ignorowany – zanika poczucie sensu kapłaństwa. Wskutek reform liturgicznych zasadniczy element posługi kapłańskiej został zmarginalizowany. Kiedyś ksiądz składał Najświętszą Ofiarę. Teraz jawi się raczej jako przewodnik wspólnotowej uczty, wspomagany przy ołtarzu przez gromadę świeckich. Co w tym pociągającego?

Inni krytycy celibatu uważają, że odpowiada on za problem wykorzystywania nieletnich. Takie argumenty pojawiają się bardzo często w zbarbarzowanej formie w polskiej dyskusji. Lewica twierdzi, że księża zmuszani do „nienaturalnej” wstrzemięźliwości wyżywają się na bezbronnych ofiarach. Taka korelacja nie ma żadnego potwierdzenia w faktach: globalnie większość nadużyć na nieletnich popełniają osoby żyjące w związkach. Mimo wszystko jest faktem, że kultura celibatu ma pewien związek ze skandalami – tyle że z homoseksualnymi. Zamknięte męskie środowisko przyciąga młodych mężczyzn o skłonnościach gejowskich. Święty Piotr Damiani pisał o problemie homoseksualizmu wśród duchownych już ok. 1051 r.

W wieku XX Kościół kilkakrotnie podejmował walkę z tym problemem, wydając dokumenty, które miały

zobowiązywać władze seminariów do przeprowadzania rzetelnego odsiewu: ci, którzy wykazują skłonności homoseksualne, nie powinni być przyjmowani do seminariów ani tym więcej wysławiani na księży. Tych reguł jednak nigdy nie przestrzegano. Powodowało to i niestety nadal powoduje powstawanie w seminariach gejowskich klik. Zdarza się, że biskupi pozwalają zarządzać seminariami księżom, o których wiedzą, że są aktywnymi seksualnie homoseksualistami. Zdarzało się to także w Polsce. W niektórych krajach katolickie kapłaństwo ma opinię „gay profession” – i nie jest to wielka przesada. Zniesienie obowiązku celibatu jednak go nie rozwiąże. Bo i w jaki sposób? System jest zastały i będzie premiować homoseksualistów. Pomógłby tu chyba tylko wymóg (sic!) zawarcia małżeństwa przed kapłaństwem, co jest nierealistyczne. W związku z tym przed plagą skandali homoseksualnych nie ochroni zniesienie celibatu, a jedynie przestrzeganie obowiązujących przepisów. Do tego potrzebne są jednak determinacja i sprawczość władzy kościelnej, czego wciąż brakuje.

PRAWDZIWE MOTYWY

Skoro powszechnie wysuwane argumenty przeciwko celibatowi są nieracjonalne, to prawdziwa przyczyna podejmowania starań o zmianę w tym zakresie musi leżeć gdzie indziej. W istocie chodzi wyłącznie o eklezjalną ideologię. Beżzenność księży słabo wpisuje się w liberalną wizję katolicyzmu przyszłości, pogodyzonego z zasadami organizacji życia społecznego, które przyniósł proces rewolucyjny rozpoczynający w XVIII stuleciu. Od 200 lat wielką karierę robi w Kościele katolickim luteranckie rozumienie kapłaństwa. Zgodnie z nim ksiądz jest tylko delegatem całej wspólnoty chrześcijańskiej, której co do zasady każdy poszczególny członek, na mocy otrzymanego sakramentu chrztu, już jest kapłanem. Główne szkoły protestanckie uważają, że podczas mszy nie dochodzi do przeistoczenia. Pod postaciami chleba i wina nie ma prawdziwie Jezusa Chrystusa – Jego obecność jest rozumiana raczej symbolicznie. Symbol może „ukazywać” każdy. W takim ujęciu kapłan w Kościele katolickim jawi się jako element opresyjnego systemu władzy klerykalnej, powstałego

w długotrwałym procesie historycznym; byłby jedynie elementem pasożytniczej klasy, która uzurpuje sobie kompetencje niedostępne żyjącym w małżeństwie chrześcijanom po to, by czerpać rozmaite benefity. Tak rozumiane kapłaństwo stoi w rażącej sprzeczności z zasadą radykalnego demokratycznego egalitaryzmu.

Argument „tymczasowości”, którym posłużył się w cytowanym wywiadzie dla „Infobae” papież Franciszek, pojawia się bardzo często również w polskiej dyskusji. Przykładowo autor wydanej w 2019 r. książki pt. „Celibat”, abp Grzegorz Ryś, wprowadzie chętnie podkreśla wartość celibatu, zaznaczając jednak wyraźnie, że mówimy o rzeczywistości dyscyplinarnej i historycznie uwarunkowanej, więc zasadniczo zmiennej. Problem w tym, że zniesienie obowiązku celibatu niemal nigdy nie występuje jako samodzielny postulat; jest zawsze wpisane w szerszy program reform. U jego kresu znajduje się Kościół permissywny, w którym nie ma żadnej hierarchicznej władzy: funkcje kapłańskie mogą sprawować wszyscy, mężczyźni czy kobiety, przez całe życie lub tylko okresowo, z czym nie wiąże się żaden szczególny mandat do zarządzania Kościołem.

BROŹMY TRADYCJI

A więc: lesbijska nauczycielka języka polskiego, która w niedzielę przeistacza się w kapłankę i przewodniczy eukumenicznemu nabożeństwu na Jasnej Górze? Brzmi fantastycznie? Bynajmniej: dokładnie o takim modelu „kapłaństwa” dziś się dyskutuje. Więcej: w niektórych diecezjach próbuje się go już mniej lub bardziej skrycie wprowadzać w życie. Ten, kto optuje za zniesieniem obowiązku celibatu, wpisuje się w ten rewolucyjny projekt – świadomie lub nie. Beżzenności kapłańskiej należy bronić nie tylko przez wzgląd na jej wewnętrzną wartość, lecz także z powodu jej wprzęgnięcia w katolicką Tradycję. Tradycja nie jest nieskładnym konstruktem, który można przebudowywać w dowolnym kierunku. Wyjęcie jednego kluczowego elementu nieuchronnie powoduje zmiany w innych miejscach. Jak będzie wyglądać „kapłaństwo” po zakończeniu tej przebudowy, krótko wyżej zarysowałem. Tego, sądzę, nie chcemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Kardynał Henryk Gulbinowicz w 2019 r. został oskarżony o molestowanie i po dochodzeniu kanonicznym Stolica Apostolska nałożyła na niego sankcje dyscyplinarne, m.in. pozbawiając go prawa do nabożeństwa pogrzebowego i pochówku w katedrze wrocławskiej.

Zmarły 16 listopada 2020 r. hierarcha przez 28 lat był metropolitą wrocławskim, najpierw jako arcybiskup, a od 1985 r. jako kardynał. Rządy w archidiecezji objął w 1976 r., po śmierci kard. Kominka. Doktor teologii, doktor honoris causa czterech polskich uczelni, zachwycony św. Ambrożym. Z urodzenia Wilniuk, wychowany w duchu zasady *frangens non flectes*, czyli zegniesz, nie złamiesz.

W sierpniu 1980 r. udzielił wsparcia robotnikom strajkującym na Dolnym Śląsku, wyrażając zgodę na obecność kapłanów w zakładach pracy i odprawianie tam mszy. W grudniu 1981 r. ukrył w swojej rezydencji 80 mln zł wypłaconych z konta bankowego przez działaczy dolnośląskiej Solidarności. Za wsparcie udzielane internowanym i działaczom podziemia funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa (Piotr Grosman i Waldemar Pełka z Departamentu IV MSW koordynującego działania dezintegracyjne wobec Kościoła) próbowali go zastraszyć, w maju 1984 r., w Złotoryi, pałac jego auto.

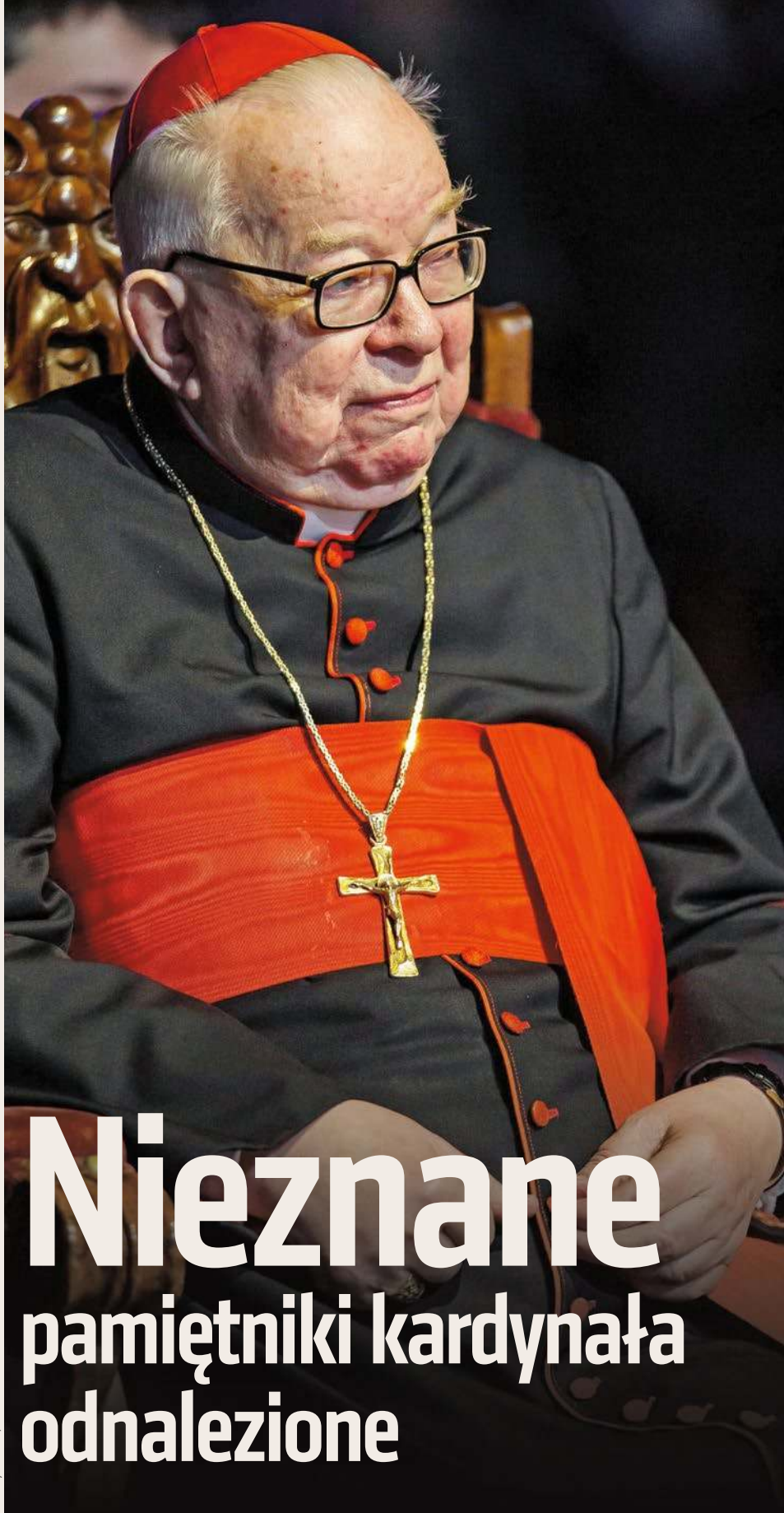
Po długim badaniu materiałów i weryfikacji dokonali hierarchy 6 lutego 2007 r. prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka wręczył mu dokument potwierdzający przyznanie statusu pokrzywdzonego. Dwa lata później, 24 lutego 2009 r., prezydent Lech Kaczyński przyznał mu Order Orła Białego.



Agnieszka Bugała

Co pewien czas pojawiała się informacja, że ci, którzy zdecydowali się napisać życiorys kard. Henryka Gulbinowicza od nowa i oskarżyć go o współpracę z bezpieką, powinni uważać, bo jego zapiski mogą nagle „wypłynąć” i wtedy zatrzęsie się ziemia. Oto są. Nieznane pamiętniki kard. Henryka Gulbinowicza odnalazły się we Wrocławiu

Pierwszy sygnał, że pamiętniki ocalały, otrzymałam wiosną 2021 r., kilka miesięcy po śmierci kardynała. Zadzwonił mężczyzna, przywołał treść artykułu pt. „Bohater



Nieznane pamiętniki kardynała odnalezione

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

wylany z kąpielą? Publiczny demontaż życiorysu kardynała Gulbinowicza”, który w listopadzie 2020 r. napisałam dla portalu „Więź”, i powiedział, że ma materiały, które w badaniu sprawy kardynała powinny mnie zainteresować. Okazało się, że chodzi o pamiętniki i że jest to obszerny zbiór, o bezprecedensowej wartości i znaczeniu – nie tylko dla historii życia samego kardynała, lecz także dla historii Wrocławia, Kościoła i Polski – zwłaszcza w okresie komunizmu – obejmujący kilkadziesiąt lat.

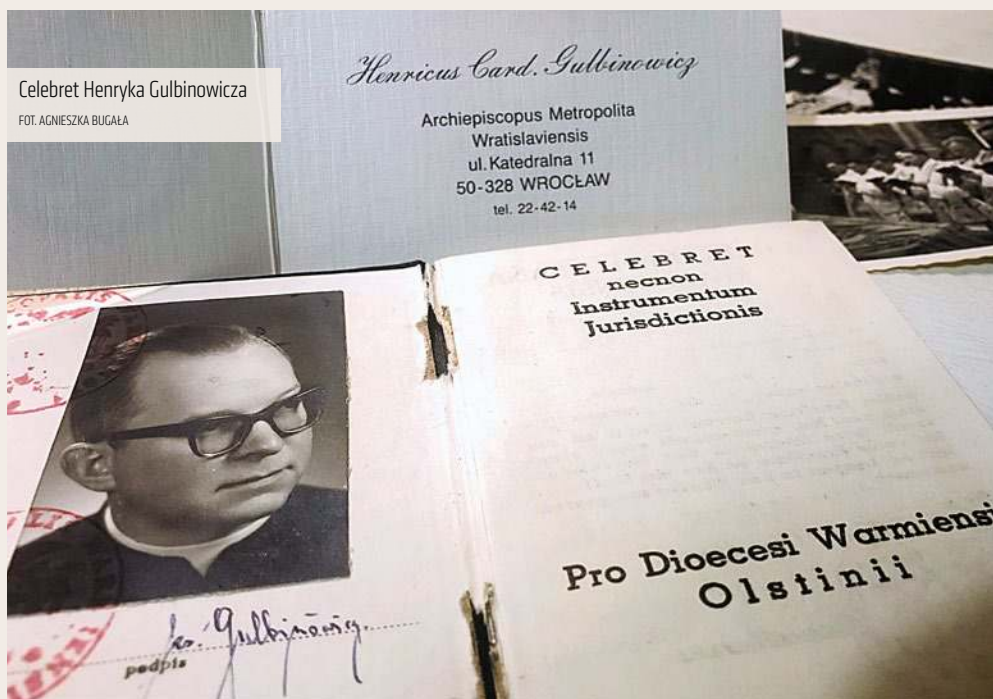
WIĘCEJ NIŻ DZIENNIK

Badanie tych dokumentów nie było łatwe. Zbiór liczy 40 tomów zapisków codziennych, w sumie prawie 15 tys. stron osobistych notatek. Oprócz tego zawiera zeszyty z rekolekcji, zapiski z posiedzeń komisji KEP, z rzymskich konsystorzów i podróży zagranicznych.

Wynotowałam wiele myśli, cytatów, obserwacji, opisów, wniosków i relacji, które kardynał dzień po dniu zamieszcza. Nie owija w bawełnę. Po jednym ze spotkań notuje: „Z wypowiedzi o sytuacji tamtejszej diecezji wynika, że Ordynariusz jest człowiekiem pamiętliwym, zazdrosnym, z kompleksami i broniącym kontaktu z Arch. Wrocławską. Zwłaszcza z biskupami, kurialistami i MWSD”. Podobnych wpisów i komentarzy jest w tych rocznikach sporo. Oczywiście nie są enigmatyczne i anonimowe, mają swój kontekst i bohaterów.

Na początku pewną trudnością było rozumienie skrótów. Przez jakiś czas nie potrafiłam odczytać właściwie inicjałów P.B., które pojawiały się w notatkach zaawczaj w relacjonowaniu poranka albo wieczora. Po jakimś czasie zrozumiałam, że w ten sposób kardynał opisuje rozmowy z Panem Bogiem... I że to Jego inicjały.

Zapiski z początkowego okresu – zwłaszcza z lat 70. – są bardzo niesystematyczne i oficjalne, czasem cały dzień zamyka się w kilku punktach. Z biegiem lat pisanie staje się dla Gulbinowicza nawykiem i wewnętrzną potrzebą. Są okresy zwierzeń, jakby pamiętnik był formą terapii albo przynajmniej bardzo ciepłym uchem bardzo bliskiego przyjaciela. Są też strony puste, dni nieopowiedziane, pominięte. Niektóre z zawartych tam informacji czy opinii nie powinny być jeszcze cytowane i badane. Opisywane osoby żyją, opinie mogłyby naruszać ich dobre imię.



Z czasem, zwłaszcza wobec osób pełniących dziś funkcje publiczne, opinie kardynała mogą stać się bardzo pomocne w ocenie podejmowanych przez te osoby decyzji. Był świadkiem epoki, w wielu aspektach jej architektem. W pamiętnikach są relacje z narad, rozmów, często burzliwych pertraktacji w dochodzeniu do wypracowania stanowiska w jakiejś sprawie. Są też krótkie riposty, opinie, a nawet rozczarowania.

11 października 2003 r. pisze: „Papież PPII nie dostał Pokojowej Nagrody

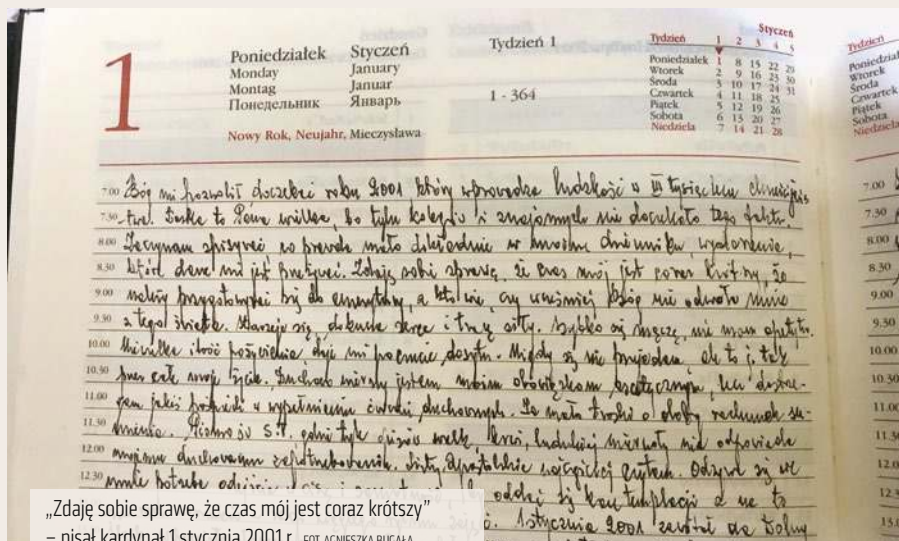
Nobla. Katolicy przyjmują to jako wrogie nastawienie do Kościoła. Podobno zespół przyznający to protestanci i masoni”.

BEZ KREACJI

Z zapisków wynika, że kardynał cenił ludzi uczciwych i szlachetnych, w lot wychwytywał fałsz i interesowność. Nie lubił naiwności, ale potrafił – i robił to niemal jak aktor – rozmawiać z każdym, nawet jeśli później „wyżalił się” na kartach pamiętnika, że „rozmówca tępy, niedouczone, zaburzony i niezbyt rozgarnięty”. „Mądry to on nie jest”, „musiał mieć bardzo trudne dzieciństwo”, „do tej pory nie dostrzegłem tej rysy w charakterze”, „muszę na niego uważać”, „pije, a udaje świętego” – to tylko niektóre z barwnych i jednoznacznych opinii po spotkaniach z ludźmi, którzy go nagle rozczarowali.

Każdego ostatniego dnia roku kalendarzowego robi résumé odchodzącego roku i plany na nowy.

31 grudnia 1989 r. pisze: „Był to rok szczególnie wielkich, historycznych zmian, szczególnie na kontynencie europejskim w bloku wschodnim. Komunizm już tylko w ZSRR i w Chinach, a także w Albanii, która jest zamknięta od reszty świata. Okazał się ten system wielkim wrogiem człowieka, narodów a nie tylko chrześcijaństwa i jego kultury. Wielki wstyd tym, którzy z nim współpracowali albo go propagowali. Skandal na oczach



■ świata, Zachodu, że to zło tolerowano przez dziesięciolecia”.

JAKI BYŁ KARDYNAŁ?

Pierwsze wrażenie po pierwszych tomach lektury: niezwykle pracowity. Ranny ptak, asceta, tercjarz franciszkański i strateg. Umiął zdobyć niemal każdą sumę pieniędzy, gdy w jakimś kościele przeciekał dach, i słać imię Wrocławia, gdzie tylko pojechał. Promował miasto, promował polski Kościół. Cenił kard. Wyszyńskiego i był niezwykle lojalny wobec papieża Jana Pawła II. Robił wszystko, by scalać wewnętrznie episkopat, zagrożenie widział na zewnątrz, choć jednocześnie uczył, by nie epatować pogardą wobec komunistów i nie pokazywać im, że widzi się w nich zagrożenie. Z treści zapisków wynika, że wyznawał dwie zasady we współpracy z ludźmi: „przyjaciół trzeba mieć blisko, ale wrogów jeszcze bliżej” oraz „tysze jedziesz, dalsze budiesz”. „Jedność Episkopatu. Tej wartości trzeba strzec jak oka w głowie. Największy grzech świata dusz to zwątpienie” – pisze.

Interesantów przyjmował w kurii od dziewiątej rano, codziennie. Bez selekcji dokonywanej przez księży sekretarzy, domofonu przy bramie i konieczności wcześniejszego umawiania wizyty. Tak pracował. Z zapisków wynika, że nigdy nie wiedział, kto może się zjawić, kto – oprócz zapowiadanych gości – odczeka przez kilka godzin w tłumnej poczekalni i na koniec dnia pracy stanie w drzwiach, żeby np. się wyzalić. Rekord interesantów to 27 osób w ciągu dnia – oprócz żebraków, pijaków i tych, którzy przychodzili codziennie, bo wiedzieli, że zawsze ma dla nich jakiś grosz.

23 lutego 1993 r. pisze: „Zgłosiło się dziś bezdomnych i ubogich 12. Najwyższa liczba, jaką kiedykolwiek miałem. Rozdałem 350 tysięcy na zapomogi. Naturalnie, jeśli nie wszyscy, to większość są rutynowymi naciągaczami, ale bieda jest biedą i choć symbolicznie, trzeba jednak pomóc”.

W sobotę zawsze liczył na Matkę Bożą – nawet w sprawie pogody.

NAWYKI DUCHOWE

Budził się zazwyczaj jeszcze w nocy albo tuż przed świtem. Dzień zaczynał od – jak to nazywał – „obowiązków ascetycznych”. Szedł do kaplicy, aby nawiedzić Najświętszy Sakrament. „Visit Sanctissimum” – notował po każdym z tych nawiedzeń. Praktykował te odwiedzin od chwili, gdy niedługo po objęciu urzędu metropolity wrocławskiego przyśnił mu się kard. Bolesław Kominek i jasno we śnie wytłumaczył: „Diecezja jest trudna, trzeba się za nią modlić, a czasu w ciągu dnia brakuje i zostaje noc. Trzeba wstać i iść do kaplicy”. Radę tę od początku potraktował bardzo poważnie, ale nie potrafił od razu wstawać w środku nocy, by iść na modlitwę, dlatego przez długi czas nastawiał budzik, dopiero potem nawyk wszedł mu w krew i wstawał sam. Z notatek wynika, że robił to do końca 2003 r. – to ostatni z odnalezionych roczników jego zapisków.

14 listopada 2003 r. pisze: „Zacząłem dzień wcześniej, bo o 4-tej. Porządkowanie, pisanie. Różaniec, koronki i rozmyślanie, wszystko przede mną. Odprawiłem Mszę Św. za red. naczelnego »Gościa Niedzielnego«, ks. St. Tkoczka, który zmarł wczoraj o 5-tej rano, mając 75 lat, na raka żołądka”.

1 grudnia 2003 r. ma plan: „Rozpoczęty Adwent chcę przeżyć w ciszy i skupieniu, choć pewnie nie uda się w 100 proc. z racji opłatkowych spotkań”.

7 grudnia, każdego roku, zawsze wraca do nauczania św. Ambrożego. „Mój ulubiony święty, którego na miarę sił naśladuję. Oddałem mu cześć aktywnością szczególną” – pisze.

REŻIM OBOWIĄZKÓW

Przez kilkadziesiąt lat zapisuje codzienne, a właściwie conocne nawiedzenia Najświętszego Sakramentu. W nocy, najczęściej ok. godz. 2.30, czasem już o 1.30 kłęczy, odmawia jedną część Różańca, Litanię do św. Józefa i modli się, za Wrocław. W 1980 r., gdy kard. Franciszek Macharski dał modlitwie imprimatur, dołożył do rytmu tych nocnych czuwań Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Po roku 2000 coraz częściej nie potrafi zasnąć i zaczyna dzień w środku nocy – sprawdza korespondencję, nadrabia „pisaninę”, robi porządki w dokumentach, planuje homilie, które ma wygłosić w ciągu najbliższego miesiąca. Oczywiście po obiedzie rekompensuje organizmowi krótki sen dłuższą sjąstą, ale i tak nigdy nie zdarza się, aby zaniedbał obowiązki albo odwołał swoje przybycie. Zawsze jest tam, gdzie obiecał być, i nigdy nie jest spóźniony. „Ludzie czekają na mnie czasem od roku, księża umawiają się ze mną na wizytę z dużym wyprzedzeniem. Jak miałbym nie przyjechać? Z powodu kataru? Albo bólu głowy? Wysokiego ciśnienia? Kogo to obchodzi?” – pisze. Z Bożą pomocą jedzie, idzie, dotrzymuje słowa. Często dziwi się tym, którzy dzwonią do niego, by odwołać wizytę. Nie rozumie, że można siebie cenić wyżej niż drugiego. I jego czas.

SZAFARZ STANOWISK?

Napisano po jego śmierci, że obsadzał swoich, ustawiał awanse, szafował stanowiskami. Padają oskarżenia o „układ wrocławski”. Z zapisków wynika, że bacznie obserwował zmiany i ambicje. Czasem radził. Zazwyczaj czekał, chętnie słuchał.

„Biskup Polowy podzielił się informacją uzyskaną z Rzymu, kogo na Wrocław wystawił Nuncjusz: Gołębiowski, Wielgus, Głódź. Radziłem mu, aby pokazał się kard. Sodano, bo on jest za nim. Gołę-

biewski, bo kolega ze studiów rzymskich Nuncjusza, więc go chce ustawić na mocnej pozycji, przyda się, kiedy ewentualnie osiadzie za rok na miejscu kard. Glempa, bo takie ma marzenie. Wielgus, bo dawny rektor KUL, a tu aż 11 wyższych uczelni, więc będzie odpowiedni. Wielką ochotę ma Polowy, to cappelino rosso. A będzie i tak, jak P.B. zechce..." – zapisał 25 grudnia, w Boże Narodzenie 2003 r., komentując zakulisowe rozszady obsadzenia stanowiska wrocławskiego metropolity po jego odejściu na emeryturę.

Z zapisków wynika, że sam się do nadawania mu tytułów raczej nie wyrывał. Gdy pojawiała się propozycja – bywał czasem szczerze zdziwiony.

3 października zanotował: „Mam otrzymać dr. h.c. Nie bardzo wiem dlaczego. Może tak chcą uczcić 50-lecie nauki – wrocławskie święto nauki?”.

SPIN DOCTOR?

Zaangażowany w życie społeczne bacznie obserwuje scenę polityczną i zapisuje swoje decyzje wyborcze. Kandydatów bada długo, wyjaśnia w obszernych monologach, dlaczego ten jest lepszy od innego.

Codziennie robi prasówkę i uważnie wczytuje się w nastroje społeczne. Czyta głosy publicystów, ale sięga też po dzieła literatury, do wielu tytułów wraca po latach. Kiedy czyta „Przymierze” Zofii Kossak, porównuje jej opisy z tym, co sam widział w Palestynie. Jest zachwycony Abrahamem. Nieustannie czyta Biblię.

Gdy sięga po „Bitwę o Polskę” Jana Marii Jackowskiego, zapisuje: „Dobrze ukazuje toczące się rozgrywki od Bieruta poprzez Gierka i Jaruzelskiego. Doczytałem do naszego nieszczęścia »Okrąglego Stołu«, gdzie lewica socjalistyczna dogadywała się z PZPR-em aż po próbach nieudanych doszło do wyborów 4.VI.89 i niewydarzonego premiera Mazowieckiego, który »metodą żółtawia« i kompromisami chciał służyć Narodowi, a udało mu się tylko obronić partyjniaków”.

Zaangażowanie w życie polityczne wyraża również w swój humorystyczny sposób. Gdy rano 24 grudnia 2003 r., w ramach przedświątecznych peregrinacji, z życzeniami odwiedzają go politycy, w tym „szef PO na Wrocław”, po ich wyjściu pisze: „Poradziłem, aby Platfor-

ma Obywatelska wzięła hasło »pełna odpowiedzialność«. To bardziej chwytliwe. Byli moim projektem zachwyceni”.

Chwili, gdy w 2021 r. w biuletynie rozesłanym sympatykom Platformy Obywatelskiej Donald Tusk zaproponuje promocję hasła „Pełna odpowiedzialność”, już nie dożyje.

DO KOGO NALEŻĄ PAMIĘTNIKI?

W testamencie otwartym 16 listopada 2020 r. czytamy: „Wszystko, co posiadam w Henrykowie, przekazałem w dniu 21 października 2018 roku Księdzu Arcybiskupowi Józefowi Kupnemu dla Archidiecezji Wrocławskiej.

Po mojej śmierci to, co znajduje się w mieszkaniu w Kurii Wrocławskiej: książki przeznaczam dla Wyższego Seminarium Duchownego i papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu do biblioteki, rzeczy osobiste dla Caritas Archidiecezji Wrocławskiej, a pozostałe meble, obrazy, insygnia biskupie do dyspozycji Metropolity Wrocławskiego jako własność Archidiecezji Wrocławskiej. Rodzinie i przyjaciółom pamiętki przekazałem za życia”.

Ponieważ w testamencie kardynał nie wspomina o osobistych zapiskach, notatkach i pamiętnikach, konieczne okazały się konsultacje prawne. Według opinii prawników jedynym spadkobiercą odnalezionych zapisków jest rodzina kard. Gulbinowicza. Aby móc o nich pisać i cytować ich fragmenty, potrzebna jest zgoda jej członków. Nikt też nie może rozpocząć badań nad zapiskami bez zgody spadkobierców. To rodzina kardynała zdecyduje też, która z instytucji badawczych może zostać ewentualnym deponentem tych dóbr.

W obecnej sytuacji i po tym, w jaki sposób potraktowano osobę zmarłego i zrewidowano jego życiorys, już po jego śmierci, uzyskanie zgody na udostępnienie materiałów do badań jest utrudnione. Nazwisko zmarłego zszargano. Spadkobiercy stracili wiarę w dobrą wolę ludzi, zwłaszcza instytucji kościelnych.

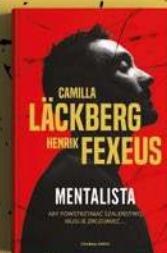
Tym bardziej dziękuję, publicznie i głośno, Siostrzenicy księdza kardynała za udzielenie mi zgody na wstępną kwerendę pamiętników jej świętej pamięci Wują i możliwość przygotowania artykułu w oparciu o ich treść.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Thriller,
który **trzyma**
w napięciu
od pierwszej
do ostatniej
strony!



Czy uda się
zatrzymać tę
szaleńczą grę?



WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„KORWETA”

Jedną z wyspecjalizowanych struktur polskiego podziemia niepodległościowego była „Korweta”, która zajmowała się rozpracowywaniem agenturalnej działalności komunistów podczas okupacji niemieckiej. Formalnie jako „Referat 999 Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG AK” powstała w 1942 r., ale jej początki były znacznie wcześniejsze.

Zagrożenie ze strony organizacji komunistycznych było dostrzegane przez podziemie niepodległościowe od początku, ale prowadzenie takiej działalności, której podjęła się „Korweta”, wymagało znacznych nakładów sił i środków. Na jej czele stanął wybitny artysta malarz i grafik prof. Stanisław Ostoja Chrostowski, „Korweta” (to od jego pseudonimu wzięła nazwę ta komórka). Podlegało mu kilkudziesięciu pracowników i współpracowników. Polskie Państwo Podziemne wymagało odpowiedniej ochrony przed agresywną penetracją komunistów, pracujących w całości na rzecz Związku Sowieckiego i jego służb.

To niebezpieczeństwo było dostrzegane nie tylko przez AK. Co więcej, wobec narastającego zagrożenia domagano się podjęcia bardzo stanowczych kroków, zanim będzie za późno. W kwietniu 1943 r. BŁOK – który był organizacją ponadpartyjną, kierowaną przez Henryka Glassa, ukierunkowaną na ochronę podziemnej RP przed

sowiecką agenturą – domagał się tego wprost, pisząc, że istnieje potrzeba decyzji wojskowej przeprowadzenia bojowej akcji obronnej i zaczepnej przeciwko niej. I wskazywał, że powinna ona być skoordynowana przez AK i NSZ. Niestety, decyzja taka wówczas nie zapadła.

W marcu 1944 r. kontrwywiad KG AK wskazywał nawet, że niebezpieczeństwo ze strony komuny jest znacznie groźniejsze niż ze strony służb niemieckich. I uzasadniał to, że usunięcie macek komuny jest zadaniem wprawdzie trudnym, ale bezwzględnie koniecznym. Zalecano wprost, aby zastosować „metody chirurgiczne”, inaczej olbrzymi wysiłek w postaci organizacji podziemnego wojska i władz cywilnych zostanie po prostu zmarnowany.

Takie działania nie zostały – z niewiadomych przyczyn – podjęte. Co więcej, likwidacje nastąpiły ze strony komuny! Ujawnienie wywiadów AK pełnych danych dziewięciu agentów Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury, pracujących w PPR i AL, spowodowało, że wszyscy zostali bardzo szybko zlikwidowani.

W latach 2020–2022 Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego we współpracy z Archiwum Akt Nowych wydała cztery tomy arcydzieł dokumentów „Korwety”, z obszernym opracowaniem prof. Waldemara Handkego. Można je pobrać (w postaci plików PDF) ze strony internetowej ABW. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sprawa
św. Stanisława

Konflikt Bolesława Śmiałego ze Stanisławem ze Szczepanowa do dzisiaj dzieli historyków. Czy krakowski biskup był zdrajcą, który poniósł śmierć wyrokiem sądu czy też obrońcą wiary i swobód obywatelskich? Czy Bolesław Śmiały okazał się psychopata, który osobiście zarabiał męczennika przy ołtarzu czy też patron Królestwa Polskiego spiskował z jego wrogami, chcąc obalić króla?

Egzekucja biskupa (11 kwietnia 1079 r.) wyjątkowo zaszkodziła Śmiałemu, wrzenie przerodziło się w otwarty bunt, z którym król sobie nie poradził. Razem z najbliższą rodziną i współpracownikami musiał opuścić kraj i udać się na Węgry. Niebawem został zamordowany, a zbrodni zapewne dokonali ludzie przysłani z Polski. Szczątki władcy zapewne powróciły do Polski wraz z jego synem. Kilka lat później Władysław Herman, który objął władzę po bracie, wezwał młodego Mieszka do powrotu. Królewicz wraz z matką pojawił się w Krakowie, a ciało jego ojca spoczęło prawdopodobnie w opactwie Benedyktynów w Tyńcu. Natomiast Mieszko został niebawem otruty przez nieznaną sprawcę...

Wbrew pozorom imię zabójcy św. Stanisława nie od razu zostało w kraju wyklęte. Rocznik kapitulny krakowski odnotował zabójstwo biskupa, a następnie zgon wygnanego króla. W intencji duszy monarchy odbywały się

nabożeństwa, a Władysław Herman dał jego imię swemu młodszemu synowi.

Starania o kanonizację rozpoczęto dość późno jak na średniowieczne obyczaje. Biskupa uznano za świętego dopiero we wrześniu 1253 r., podczas gdy św. Wojciecha uznano za świętego ledwie po dwóch latach. A gdy na polecenie króla Anglii Henryka II zamordowano abp. Tomasza Becketa, kanonizacja nastąpiła po trzech latach. Sprawa nie mogła być więc jednoznaczna, gdyż zabójstwo niewinnego dostojnika przez panującego stanowiłoby skandaliczny wypadek. Stolica Apostolska musiałaby odpowiednio zareagować, a szybka kanonizacja byłaby normalną procedurą.

Głównym św. Stanisława w katedrze wawelskiej jest do dzisiaj jedną z największych relikwii polskiego katolicyzmu. Wątpliwości jednak pozostają, chociaż może nigdy w ogóle nie było alternatywy „święty czy zdrajca”, a sam konflikt nie miał podłoża politycznego. Postępowanie biskupa mogło bowiem wypływać ze szlacheckich i etycznych pobudek, ale jako sprzeczne z interesami króla zostało zakwalifikowane jako polityczna zdrada.

Prawdy o całej sprawie zapewne nie poznamy nigdy, szkoda tylko, że te dwie charakterystyczne postacie stanęły naprzeciwko siebie. Ucierpiała na tym Polska, która przez stulecia nie miała osiągnąć podobnego znaczenia, co w czasach Bolesława Śmiałego. ©©



ILE KOBIET MA MĘSKIE GENITALIA

Rozmowy o płci na świecie wkroczyły w kolejną fazę. Lider Partii Pracy w Wielkiej Brytanii oświadczył, że 99,9 proc. kobiet nie ma męskich genitaliów. Keir Starmer dodał, że „jedna na tysiąc kobiet ma penisa”. Zareagował sam premier kraju. – Uważam, że 100 proc. kobiet nie ma penisów – stwierdził Rishi Sunak (na zdjęciu). Premier chce na Wyspach zreformować prawo tak, by prawna definicja płci odnosiła się przede wszystkim do płci biologicznej.

FOT. PHIL NOBLE/GETTY IMAGES

ZABRAKŁO CZOŁGÓW NA DEFILADĘ

Przed 9 maja Kreml odwołał wiele defilad zaplanowanych w stolicach regionów z okazji Dnia Zwycięstwa. Oficjalny powód to „względny bezpieczeństwa” związane z wojną na Ukrainie. Jednak według ośrodka analitycznego Atlantic Council decyzja wynika z braków sprzętowych – Rosjanom coraz bardziej ma brakować m.in. czołgów.

SZACHOWY OSZUST W NIKABIE

Skandal na rozgrywanych w Nairobi Otwartych Mistrzostwach Kenii w szachach. Student potrzebujący gotówki przebrał się za muzułmankę, założył okulary i zgłosił do damskich rozgrywek. Gdy wygrał z byłą mistrzynią kraju i najlepszą zawodniczką Ugandy, ściągnął na siebie uwagę jury. Poproszono go o dokument i oszustwo wyszło na jaw.

ZAKAZANE STROJE EMERYTÓW

Niemieccy emeryci założyli grupę taneczną Rheinau AWO i objeżdżają domy spokojnej starości ze swoim artystycznym programem zatytułowanym „Dookoła świata statkiem marzeń”. Jednak gdy chcieli wystąpić na krajowej wystawie kwiatowej w Mannheim, zabroniono im tego. Okazało się, że ich przedstawienie „narusza międzykulturową wrażliwość”. Bo występują w meksykańskich sombreroach, japońskich kimonach i indyjskich strojach.

ŚMIERTELNA POMYŁKA W PARKOWANIU

Grupa znajomych jechała do przyjaciela w hrabstwie Washington (USA). Pomylili domy i wjechali nie na ten podjazd. Właściciel posesji z ganku nawet nie próbował odezwać się do przybyszów. Oddał do samochodu dwa strzały z broni. Zginęła 20-letnia pasażerka auta. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zielone klapki na oczach

Wojna na Ukrainie wciąż nie otworzyła unijnym politykom oczu na prawdziwe problemy, w tym na konieczność uniezależnienia własnej energetyki od państw trzecich. 18 kwietnia Parlament Europejski przegłosował jednak kluczowe elementy pakietu „Gotowi na 55” („Fit for 55”). Dzięki niemu Europa w 2050 r. ma być neutralna klimatycznie. Przy okazji zapewne będzie wówczas również gospodarczo zacošana, z podupadłym przemysłem i – co za tym idzie – dużo biedniejsza od azjatyckich i amerykańskich „trucicieli”. Ale

najwyraźniej dla uszczęśliwienia lewicowych ekoterrorystów można znieść ubóstwo energetyczne milionów Europejczyków, którzy już dziś nie dowierzają, gdy dostają potworne rachunki za prąd czy gaz. Dzięki eurokratom zdecydowanie więcej będziemy płacić za produkty przemysłowe, samochody, podróże lotnicze, utrzymanie domów etc.

Prawdopodobieństwo realizacji czarnego scenariusza dla Europy zwiększyła realizacja innego ambitnego marzenia zielonych: Niemcy – które emitują najwięcej CO₂ w całej Unii Europejskiej – wygasili ostatnie elektrownie atomowe. Efekt? Już

pierwszej nocy... musiano ratować się importem energii z Francji i z Polski (i raczej nie była to tylko energia z wiatraków i słoneczka).

Na szczęście rozum nie opuścił wszystkich. W tym samym czasie, gdy Niemcy wygasili elektrownie atomowe, Finowie – którzy byli przez lata mocno uzależnieni od rosyjskich surowców energetycznych – uruchomili największy w Europie i trzeci na świecie reaktor atomowy. Nad projektami atomowymi pracują też Polacy. Orlen podał lokalizacje małych reaktorów SMR. Czas energicznie wziąć się do roboty! ©©

Generał Mark A. Milley nie miał zbyt szczęśliwej miny, gdy w marcu opowiadał w Kongresie o chińskich planach atomowych. „Najprawdopodobniej nie będziemy w stanie zrobić niczego, by zatrzymać, spowolnić, zakłócić lub zniszczyć chiński program rozwoju broni atomowej, który oni zaplanowali na kolejne 10–20 lat” – powiedział gen. Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, czyli najważniejszy amerykański wojskowy.

Jak wyglądają te plany? Pentagon ocenia, że Chińczycy chcą w latach 30. XXI w. dogonić USA i Rosję pod względem wielkości arsenału jądrowego. Oznacza to, że z obecnego poziomu ok. 400 głowic atomowych Pekin planuje przeskoczyć w błyskawicznym tempie do jądrowej „ekstraklasy”, czyli ponad 1,5 tys. głowic. W przypadku wojny atomowej Chiny będą więc w stanie totalnie zniszczyć każdego przeciwnika. Obecnie, choć wielkość chińskiego arsenału znacznie przewyższa atomowe zdolności Wielkiej Brytanii czy Francji, Pekin nie jest w stanie zagwarantować całkowitego zniszczenia USA.

MAŁO PRZEZ MAO

Niezbyt rozbudowany chiński program atomowy to spuścizna po czasach Mao Zedonga (Chińczycy pierwszy udany test jądrowy przeprowadzili w 1964 r.), który uważał, że wyścig zbrojeń między mocarstwami to marnotrawstwo pieniędzy i że kilkaset głowic atomowych zupełnie wystarczy ChRL do zapewnienia minimalnego poziomu odstraszania. Xi Jinping postanowił zmienić tę strategię. Pekin cieszy się już statusem gospodarczego supermocarstwa. Do osiągnięcia pełni potęgi brakuje mu jeszcze potencjału atomowego dorównującego wielkością amerykańskiemu i rosyjskiemu.

Alarmistyczne słowa gen. Milleya to kolejny sygnał z Pentagonu wskazujący, że amerykańscy wojskowi mają z Chinami coraz większy ból głowy.

Pod koniec zeszłego roku amerykański Departament Obrony opublikował raport, który zapowiadał nadchodzący przewrót w amerykańskiej myśli strategicznej odnośnie do broni jądrowej: „W latach 30. USA będą musiały, po raz pierwszy w swojej historii, mierzyć się z dwoma potęgami atomowymi, które będą strategicznymi rywalami, a potencjalnie wrogami. Będzie

Trzecia potęga na horyzoncie



Piotr Włoczyk

Chiny robią wszystko, by jak najszybciej doścignąć USA i Rosję pod względem wielkości arsenału jądrowego. Perspektywa mierzenia się nie z jedną potęgą atomową, jak do tej pory, ale z dwoma naraz oznacza też przewrót w amerykańskiej myśli strategicznej

to skutkowało nowymi obciążeniami dla stabilności oraz nowymi wyzwaniem pod względem odstraszania, zapewniania [zniszczenia przeciwnika – przyp. red.], kontroli zbrojeń oraz redukcji ryzyka”.

Jednym z pierwszych dowodów potwierdzających doniesienia o chińskich planach rozwoju arsenału atomowego były zdjęcia satelitarne pokazujące ogromne prace inżynierskie w północno-zachodniej części Chin, m.in. w prowincji Sinciang. Chińczycy budują tam ogromne pola silosów raketowych, które przypominają powoli instalacje US Air Force na Wielkich Równinach. W Północnej Dakocie, Montanie, Wyoming, Nebrasce i Kolorado Amerykanie zbudowali setki silosów rozsianych na ogromnych połaciach terenów rolniczych. Dzięki takiemu rozproszeniu instalacji strategicznych przeciwnikowi

trudno jest w pierwszym rzucie zniszczyć wystarczająco dużo wyrzutni, by od razu wyeliminować z gry większość z bazujących na lądzie amerykańskich sił atomowych. Tylko jedna z trzech atomowych baz z regionu Wielkich Równin – F.E. Warren Air Force Base – posiada silosy rozsiane na obszarze 30 tys. km kw., co odpowiada mniej więcej jednej dziesiątej terytorium Polski.

Admirał Charles A. Richard, który w latach 2019–2022 stał na czele Dowództwa Strategicznego Stanów Zjednoczonych (USSTRATCOM odpowiada m.in. za broń atomową), tempo chińskiego projektu rozbudowy arsenału jądrowego określił krótko jako „ekspansję zapierającą dech w piersiach”. Jednak nowe chińskie silosy raketowe to nie wszystko. Chińczycy rozwijają obecnie również zupełnie nową



FOT. ANDRZEJ STODOL

nawet do 50 głowic. Takie tempo byłoby niemożliwe bez pomocy z Północy. Rosja dostarczyła Chińczykom w grudniu 25 ton wysoko wzbogaconego uranu na potrzeby tego reaktora. W przyszłości można się spodziewać jeszcze ciekawszych efektów współpracy Kremla z ChRL, ponieważ podczas ostatniej wizyty Xi Jinpinga w Moskwie Rosatom podpisał wieloletnią umowę partnerską ze swoim chińskim odpowiednikiem. Mimo że specyfika reaktora CFR-600 nie pozostawia wątpliwości, do czego będzie on wykorzystywany, chińskie władze stanowczo zaprzeczają, że chodzi tu o cel wojskowy, i twierdzą, iż jest to po prostu część ogromnego – szacowanego na ponad 400 mld dol. – programu rozwoju chińskiej energetyki jądrowej. Chiny planują bowiem stać się do 2035 r. największym na świecie producentem prądu z energii jądrowej, prześcigając pod tym względem Amerykę.

Amerykanie niewiele mogą jednak w tej sprawie zrobić, poza wyrażaniem zaniepokojenia. „Odpowiedzialne państwa atomowe nie powinny wspomagać [chińskiego – przyp. red.] programu atomowego materiałem rozszczepialnym. Powinny one rozumieć potencjał eskalacyjny takiego kroku, jego destabilizujący efekt oraz inne konsekwencje takiego transferu” – powiedział w rozmowie z japońskim dziennikiem „Nikkei” anonimowy wysoko postawiony pracownik amerykańskiego Departamentu Stanu. Z oczywistych względów Japończycy również obawiają się rosnącego potencjału wojskowego Chin i uważnie śledzą te wydarzenia (sami nie posiadają wprawdzie broni jądrowej, ale mają w tej dziedzinie tak zaawansowane know-how, że – jak często żartują eksperci – w razie konieczności wystarczy, że przykręcą jedną śrubkę i będą kolejnym mocarstwem atomowym).

Perspektywa atomowego sojuszu Rosji z Chinami na tyle niepokoi Waszyngton, że – jak podkreśla „The New York Times” – Departament Stanu mówi wręcz o tym, iż „USA wchodzą w najbardziej złożony i wymagający okres dla światowego porządku atomowego, potencjalnie jeszcze trudniejszy niż to, co miało miejsce w czasie zimnej wojny”.

Amerykanie nie przypatrują się biernie chińskiej ekspansji jądrowej i już realizują program modernizacji swojej triady atomowej (środki przenoszenia

w trzech domenach: na lądzie, na morzu i w powietrzu). W ciągu trzech dekad zamierzają wydać na ten cel niewyobrażalne wręcz pieniądze – ok. 2 bln dol. Jastrzębie z Waszyngtonu (głównie z szeregow Partii Republikańskiej) ostrzegają jednak, że sama modernizacja głowic i dotychczas używanych środków przenoszenia może nie wystarczyć w obliczu rysującego się sojuszu jądrowego Chin i Rosji, który ma potencjał, by już za kilka lat przytłoczyć amerykańskie zdolności odstraszania.

SENTINELE NA STRAŻY

Jak Ameryka może zareagować na to zagrożenie? Ciekawe odpowiedzi przynosi raport opublikowany w marcu przez Lawrence Livermore National Laboratory (LLNL) w Kalifornii, wysoce specjalistyczny ośrodek badawczy zajmujący się bronią atomową. Eksperci LLNL (w gronie tym znalazł się m.in. Elbridge Colby, który za prezydentury Donalda Trumpa odpowiadał w Pentagonie za zastrzeganie polityki obronnej wobec Chin) stwierdzili, że należy m.in. jak najszybciej pozwolić na używanie F-35 jako myśliwca o podwójnym przeznaczeniu (czyli przenoszącym również broń atomową), budowę dużej liczby najnowszych, trudno wykrywalnych przez radary bombowców B-21 Raider, a także na jak najszybsze wdrożenie pocisków balistycznych Sentinel, które mają zastąpić przestarzałe już minutomany III.

Twórcy raportu LLNL postulują również budowę systemów doskonale znanych z Rosji, które do tej pory nie były wykorzystywane w Ameryce. „Stany Zjednoczone powinny także poważnie zastanowić się nad sprawieniem, by część Strategicznych Międzykontynentalnych Pocisków Balistycznych (ICBM) zyskała możliwość przemieszczania się po drogach (choć stacjonowałyby one w garnizonach). Część pocisków Sentinel powinna w przyszłości – w razie potrzeby – uzyskać mobilność” – czytamy w raporcie.

Część republikanów proponuje jeszcze dalej idący krok. Po wygaśnięciu w 2026 r. traktatu Nowy START (ograniczającego liczbę głowic w arsenałach USA i Rosji do 1550) Ameryka miałaby znacząco powiększyć swoje siły jądrowe, aby wciąż być w stanie skutecznie szachować zarówno Rosję, jak i Chiny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

klasę atomowych okrętów podwodnych przenoszących pociski z głowicami jądrowymi. Nowe jednostki – według ustaleń zachodnich wywiadów – będą o wiele cichsze od obecnie używanych, które Amerykanie z łatwością są w stanie śledzić. Pojawienie się nowych podwodnych nosicieli arsenału atomowego ChRL znacząco pogorszy więc amerykańskie zdolności obronne w tej kluczowej dziedzinie.

Obecnie Amerykanów szczególnie niepokoi jednak reaktor prędkości CFR-600, który powstaje na chińskim wybrzeżu naprzeciwko Tajwanu. Instalacja ta, budowana we współpracy z Rosją, będzie w stanie wytwarzać bardzo duże ilości plutonu potrzebnego do masowej produkcji nowych głowic. Eksperci z Pentagonu szacują, że tylko ten jeden reaktor będzie w stanie zapewnić co roku materiał

Chiński trop Macrona



Olivier Bault

Francuzi popierają pomoc Ukrainie. Tym bardziej dziwna wydała się deklaracja prezydenta tego kraju złożona w Chinach



Przywódca Chin Xi Jinping zgotował w Chinach prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi wystawne przyjęcie FOT. XIE HUANCHI/XINHUA/EAST NEWS

Głośne deklaracje prezydenta Francji Emmanuela Macrona wygłoszone na pokładzie samolotu, którym wracał 7 kwietnia z trzydniowej wizyty w Chińskiej Republice Ludowej, wywołały niemałe kontrowersje zarówno po obu stronach Atlantyku, jak i w samej Francji, gdzie zwrócono uwagę zwłaszcza na fatalnie dobrany moment dla tego rodzaju wypowiedzi. Miały one szczególnie wydźwięk w kontekście zakrojonych na szeroką skalę ćwiczeń wojskowych, które komunistyczne Chiny rozpoczęły kilka godzin później na wodach wokół demokratycznej wyspy Tajwanu.

Co powiedział Macron? W wywiadzie tym, tuż po wystawnym przyjęciu, jakie zgotował mu w Chinach prezydent Xi Jinping, prezydent Francji stwierdził, że Europejczycy muszą dbać o to, by przemawiać własnym głosem, aby dążyć do „autonomii strategicznej” i aby nie „podążać za polityką amerykańską w swoistym geście paniki”. Chcąc podkreślić po spotkaniach z liderami komunistycznych Chin, że Europa nie powinna być „wasalem” USA, Macron posłużył się przykładem Tajwanu, a ujął to w takich oto słowach: „Pytanie do nas, Europejczyków, jest następujące: [...] Czy leży w naszym interesie przyspieszanie sprawy Tajwanu? Nie. Najgorzej byłoby myśleć, że my, Euro-

pejczycy, powinniśmy być naśladowcami w tej kwestii i dostosować się do amerykańskiego tempa i chińskiej przesadnej reakcji”. Dodał także: „Europejczycy nie potrafią rozwiązać kryzysu na Ukrainie, jak możemy w sposób wiarygodny powiedzieć o Tajwanie: uważajcie, jeśli zrobicie coś złego, będziemy tam? Jeśli chce się naprawdę podnieść napięcie, to jest to najlepszy sposób, aby to zrobić”.

ORBÁN I MÉLENCHON CHWAŁĄ

Znamienne, że Macron otrzymał za to pochwałę z Węgier od Viktora Orbána, a na scenie francuskiej – od lidera skrajnej lewicy Jeana-Luca Mélenchona, zwolennika dołączenia Francji do klubu państw niez zaangażowanych, do którego należą np. Indie i większość krajów afrykańskich. W swoim cotygodniowym piątkowym wywiadzie 14 kwietnia węgierski premier stwierdził, że „prezydent Francji szuka potencjalnych partnerów, a nie wrogów, co jest bliskie postawie Węgier”, że „my [Europejczycy] musimy patrzeć na nasze własne interesy, a nie na interesy innych [...] i musimy zadać sobie pytanie, czy interesy amerykańskie są zbieżne z interesami Europy”.

Cała Europa, w tym Polska, oraz Stany Zjednoczone słowa Macrona uznały za oburzające. Szeroko omawiano nad Wisłą

ostre słowa republikańskiego senatora Marca Rubio, który zastanawiał się, czy skoro Europejczycy nie mają zamiaru wspierać USA w obronie Tajwanu przed Chinami Ludowymi, to Amerykanie nie powinni przestać angażować się w obronę Ukrainy przeciw Rosjanom. Amerykański senator zaznaczył jednak, że należałoby najpierw zapytać Europejczyków, czy francuski prezydent przemawiał w ich wspólnym imieniu.

W obliczu ostrej krytyki postawy francuskiego prezydenta ze strony kongresmenów Partii Republikańskiej amerykański Departament Stanu oraz Biały Dom starały się raczej podkreślać w oficjalnych komunikatach, w ogólnych słowach, bardzo dobrą współpracę USA z Francją i Europą.

FRANCUSKI PROBLEM AUTONOMII

USA zalało morze artykułów prasowych niezwykle krytycznych pod adresem francuskiego prezydenta, ale klucz do zrozumienia stanowiska Emmanuela Macrona dał Amerykanom niejaki Michael Shurkin z Atlantic Council na łamach wpływowego na Kapitolu medium „The Hill”, tłumacząc, że dążenie do „autonomii strategicznej” ze strony Francji trwa właściwie od końca drugiej wojny

światowej. Według Shurkina Francja zdaje sobie sprawę, że choć interesy jej są w dużej mierze zbieżne z interesami Stanów Zjednoczonych, to czasami od nich odbiegają. Natomiast ze względu na własne ograniczone możliwości Paryż może jedynie „biernie przyglądać się, podczas gdy to Waszyngton decyduje, kiedy i w jaki sposób iść na wojnę lub kiedy i w jaki sposób eskalować konflikt”. Autor wskazał, że „kryzys ukraiński ostatnio przypomniał Francuzom o tym problemie”. Dlaczego? „Biden kontroluje odpowiedź Zachodu na rosyjską agresję; Macron siedzi na miejscu pasażera. To właśnie przeszkadza Macronowi, a nie kierunek, który obiera Biden i z którym Macron w dużej mierze się zgadza. Macron oczywiście rozumie, dlaczego tak jest: Francji, a nawet Europie brakuje siły, by przejąć stery. Macron chce to zmienić i uważa, że Europa współpracująca ze sobą może tego dokonać” – tłumaczył autor tekstu w „The Hill”.

I rzeczywiście od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę prezydent Francji prezentował stanowisko w gruncie rzeczy zbieżne ze stanowiskiem USA. Także w stosunku do Chin Francja jest nastawiona nieufnie (Chiny są opisane w najnowszym francuskim projekcie budżetu ramowego sił zbrojnych jako zagrożenie dla stabilności regionu Indo-Pacyficznego). Co się tyczy rosyjskiej wojny na Ukrainie, Macron, nawet gdy przestrzegał przed upokorzeniem Rosji i mówił o potrzebie szukania rozwiązania dyplomatycznego, zawsze doprecyzowywał, że to sami Ukraińcy muszą określić, kiedy i na jakich warunkach są gotowi taki pokój zawrzeć.

JAK POMAGAĆ

Jeśli porównać pomoc wojskową udzieloną Ukrainie przez Francję do tej udzielonej przez posiadającą podobny potencjał i możliwości Wielką Brytanię albo nawet do tej udzielonej przez Polskę, to Paryż nie wypada dobrze. Nawet 40 czołgów AMX-10, o których władze francuskie mówią, że były pierwszymi czołgami obiecany Ukraincom, a ich przekazanie zapoczątkowało szerszą akcję przysyłania na Ukrainę czołgów zachodniej produkcji, nie są tak naprawdę czołgami w rozumieniu NATO. Wiadomo też, że chodzi o najstarsze jednostki, pochodzące z początku lat 80. Tak się składa, że to one w pierwszej kolejności

miały zostać zastąpione przez nowszy model Jaguar. Według danych dostępnych na koniec lutego Francja przekazała lub obiecała Ukrainie pomoc wojskową o wartości nieco ponad 650 mln euro w porównaniu z 2,4 mld euro w przypadku Polski, 6,6 bln euro w przypadku Wielkiej Brytanii, 43,19 bln euro w przypadku Stanów Zjednoczonych czy nawet 3,57 bln euro w przypadku Niemiec. Pod względem wartości francuska pomoc militarna dla walczącej Ukrainy jest na podobnym poziomie, co pomoc włoska. A i tak, według informacji uzyskanych przez francuski tygodnik „Valeurs Actuelles”, który opisywał w styczniu kulisy uzyskania przez ministra obrony Sébastiena Lecornu zgody prezydenta Macrona na dostawę tych lekkich czołgów na Ukrainę, wewnątrz armii słychać było głosy krytykujące tę decyzję ze strony niektórych oficerów wysokiego szczebla. Mają oni twierdzić, że błędem jest przekazywanie takiej broni „skorumpowanym władzom Ukrainy”, gdy osłabia się jednocześnie już znacznie ograniczone zdolności bojowe francuskich sił zbrojnych. Krytykując militarne wspieranie Ukrainy wskazują, że francuskie wojska i tak już zostały osłabione po przekazaniu 30 z posiadanych 77 samobieżnych haubic oarmat CAESAR. Uzupełnienie tych braków ma zająć kilka lat.

Samo wsparcie dla Ukrainy jest natomiast we Francji przedmiotem dość szerokiego konsensu, choć nie wszystkie partie opozycyjne opowiadają się nawet za obecnym, skromnym poziomem pomocy, zwłaszcza militarnej. Podejmując decyzje o przekazywaniu uzbrojenia, prezydent Macron może liczyć na własny obóz polityczny oraz na wsparcie Partii Socjalistycznej i Zielonych. Centroprawicowa partia Republikańska jest w tej sprawie podzielona. Czołowy przedstawiciel tej opcji, przewodniczący regionu Hauts-de-France Xavier Bertrand, mówił w styczniu, że Francja powinna dostarczać Ukrainie ciężkie czołgi Leclerc (których sama posiada tylko ok. 200 i już ich nie produkuje). Obecny szef tej formacji, Éric Ciotti, przestrzegał w ubiegłym roku przed takim poziomem udzielanego wsparcia, który oznaczałby faktyczne wejście do wojny po stronie Ukraińców. W styczniu, na wieść o wysłaniu na ukraiński front czołgów AMX-10, przestrzegał przed ryzykiem

eskalacji konfliktu. Choć stwierdził, że jest co do zasady przeciwny dostarczaniu Ukrainie ciężkiego uzbrojenia, to podkreślał przy tym, że popiera „walkę narodu ukraińskiego o suwerenność”.

To i tak duża zmiana, gdyż jeszcze w listopadzie 2021 r. Ciotti mówił: „Musimy potwierdzić naszą gaullistowską niezależność. Opowiadam się za nową przyjaźnią z Rosją. Odmawiam pójścia w ślady atlantystów. Naszymi wrogami są islamisci, a nie Rosjanie!”.

EWOLUCJA OPOZYCJI

Podobną ewolucję przeszły Marine Le Pen i jej partia RN, która po ubiegłorocznych wyborach stała się największą siłą opozycyjną we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. W lutym Jordan Bardella, młody następca Le Pen, jako formalny przewodniczący partii RN powiedział wprost, że przed wojną na Ukrainie panowała wśród francuskich polityków (nie tylko w RN, jak później doprecyzował) „zbiorowa naiwność w stosunku do woli ekspansjonistycznej Władimira Putina”. Najlepiej stanowisko zwolenników Le Pen oraz centroprawicy – i również wielu Francuzów – wyraził Bardella w rozmowie w BFM TV pod koniec marca, mówiąc: „Nie można tolerować sytuacji, w której prawo silniejszego zastępuje prawo międzynarodowe. Zwycięstwo Rosji miałoby taki sam wyniszczający skutek dla prawa międzynarodowego, jak inwazja Iraku przez USA w 2003 r.”.

Według lutowego sondażu IPSOS 56 proc. Francuzów opowiada się „za nieprzerwanym wsparciem dla Ukrainy do momentu opuszczenia przez wszystkie siły rosyjskie terytoriów, do których Ukraina rości sobie prawo”, a tylko 23 proc. jest przeciwnego zdania. Nawet w uchodzącym za najbardziej prorosyjski i proputinowski elektoracie RN stosunek za i przeciw wynosi 42 do 39 proc. W elektoracie LR Érica Ciottiego stosunek ten to 56 do 23 proc., czyli dokładnie tyle, co francuska średnia, a w elektoracie LFI Jeana-Luca Mélenchona (która jest najliczniej reprezentowaną partią lewicową w Zgromadzeniu Narodowym) stosunek ten wynosi 64 do 21 proc. U zwolenników partii prezydenckiej Renaissance aż 77 proc. pytanym opowiada się za wsparciem dla Ukrainy do końca wojny, a tylko 13 proc. jest temu przeciwnych.



Maciej Pieczyński

Szef ukraińskiego wywiadu zapowiada odzyskanie Krymu do końca wiosny. To scenariusz mało realny nie tyle z wojskowego, ile z politycznego punktu widzenia. W przypadku ryzyka klęski na konwencjonalnym polu walki Putin mógłby nacisnąć atomowy guzik. Dlaczego Krym jest tak ważny dla Moskwy?

Od dłuższego czasu Kijów zapowiada wiosenną ofensywę. Nie wiadomo, w którym kierunku ruszy. W ciągu ostatnich kilku tygodni doszło do serii wybuchów w okupowanym Melitopolu w obwodzie zaporoskim. To bardzo ważny strategicznie ośrodek. Przez Melitopol przebiega linia kolejowa, służąca do transportu wojsk rosyjskich na południu Ukrainy. Jest to również część korytarza lądowego łączącego Krym z Rosją. Jego utworzenie (a zarazem odcięcie Ukrainy od Morza Azowskiego) było największym sukcesem Moskwy podczas inwazji. Być może więc Kijów szykuje się do likwidacji tego korytarza i ponownego odcięcia półwyspu od Rosji. Albo do zajęcia samego Krymu. Możliwe też, że podobnie jak podczas wrześniowej ofensywy ruchy w jednym kierunku mają jedynie maskować uderzenie w innym kierunku. Wiadomo jednak, że Rosjanie zdają sobie sprawę z zagrożenia dla półwyspu. Na Krymie powstają liczne nowe umocnienia. Nawet na plażach, co akurat może dziwić. Świadczy bowiem o obawie przed desantem z morza, do którego Ukraińcy nie mają odpowiednich sił.

ZAPOWIEDŹ KOŃCA WOJNY

Tak czy inaczej Kijów od dawna zapewnia, że jego celem jest nie tylko wyrzucenie wroga za linię sprzed 24 lutego 2022 r., lecz także odzyskanie Krymu. Szef Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy, Kyryło Budanow, we wrześniu ubiegłego roku zapowiedział, że do końca wiosny 2023 r. Ukraina odzyska Krym. Niedawno powtórzył tę prognozę.



Perła w koronie imperium Putina

W ubiegłym tygodniu Budanow stwierdził też, że koniec wojny jest bardzo, bardzo blisko. Wedle jego słów Ukraina miałaby wyzwolić wszystkie okupowane tereny jeszcze w tym roku. Prawdopodobnie tego typu zapowiedzi więcej mają wspólnego z krzepieniem serc rodaków i motywowaniem zachodnich partnerów do wspierania zwycięskiego sojusznika niż z realistyczną oceną sytuacji. Poważniej brzmiała wypowiedź zastępcy szefa biura prezydenta Ukrainy z początku kwietnia. – Jeśli uda nam się osiągnąć nasze strategiczne cele na polu walki i gdy staniemy na administracyjnej granicy Krymu, to będziemy gotowi stworzyć dyplomatyczną stronę dyskusji – powiedział Andrij Sybiha w rozmowie z „Financial Times”. Dodał, co prawda, że to nie wyklucza wyzwolenia półwyspu drogą wojskową. Niemniej po raz pierwszy od prawie roku wysoki przedstawiciel ukraińskich władz publicznie zasugerował możliwość negocjacji z Rosją.

Być może zatem Kijów nieśmiało bierze pod uwagę rezygnację z Krymu w zamian za wycofanie się Moskwy z bieżących zdobyczy. Rosjanie, mając militarny nóż na gardle, mogliby zwrócić tereny zajęte po 24 lutego, a nawet donbaskie republiki, które przecież formalnie dopiero niedawno zostały zaanektowane, ale nie półwysep, triumfalnie „odzyskany” przez Rosję osiem

lat temu. Jego utrata również Ukraińców zaboląłaby najmniej (bo i tak od dawna jest okupowany), choć i tak bardzo.

Pojawienie się ukraińskich sił lądowych u wrót półwyspu musiałyby oznaczać wyzwolenie sporej części okupowanych ziem, w tym likwidację newralgicznego korytarza lądowego. Część ekspertów entuzjastycznie zapowiada, że w takim układzie siły rosyjskie na półwyspie byłyby zdemoralizowane, odizolowane i poddałyby się same. Tyle że przez osiem lat okupacji Krym odcięty był od Rosji, lądowo granicząc jedynie z „wrażą” Ukrainą, i jakoś funkcjonował. Nawet ponowne uderzenie w most Krymski, nawet jego całkowite zniszczenie nie musiałyby oznaczać końca rosyjskiej dominacji. Półwysep przez cztery lata radził sobie bez mostu. Latem ubiegłego roku atak sił ukraińskich na Krym przestał być tematem tabu. Co innego jednak pojedyncze eksplozje, akty dywersji czy nawet bombardowania, a co innego lądowa inwazja, już nie tylko wywołująca panikę ludności cywilnej, lecz także zagrażająca wprost rosyjskiemu panowaniu. Żadnego skrawka okupowanego terenu Rosjanie nie będą bronić tak bezwzględnie jak Krymu. Ba, zapewne prędzej oddaliby Ukrainie Biełgorod, Rostów nad Donem czy Woroneż. Wejście Ukraińców na Krym musiałyby skutkować



Obchody dziewiątej rocznicy aneksji Krymu przez Rosję w Jaltcie, 17 marca 2023 r.

FOT. A. PAVLISHAK/REUTERS/FORUM

w Sewastopolu aż do 2042 r. Dzięki aneksji Moskwa nie musi nikomu płacić za dzierżawę i może militaryzować cały półwysep do woli. Co prawda, okupacja sprawiła, że z półwyspu zniknęli zachodni (w tym polscy) turyści, a ukraińskie ataki latem 2022 r. wystraszyły nawet odpoczywających tam Rosjan, ale to cena, którą Putin chętnie ponosi w zamian za mocarstwową dumę. Po czwarte, aneksja Krymu przyniosła Putinowi rekordowe poparcie w sondażach.

Nie byłoby to możliwe, gdyby rosyjskie pretensje do półwyspu były jedynie jego osobistym wymysłem. Rosjanie docenili nie tylko skuteczność w odbudowie potęgi imperialnej, lecz także „odzyskanie” tego konkretnego terenu, który uważają za swój. Czy mają ku temu powody? To oczywiście, że aneksja Krymu była całkowicie bezprawna. Krym de iure jest ukraiński. Z drugiej strony zajmuje bardzo ważne miejsce w historii i kulturze Rosji.

Uzasadniając aneksję, Putin stwierdził, że Krym jest dla Rosji niczym Wzgórze Świątynne w Jerozolimie dla żydów i muzułmanów. Mocno przesadził, bo na Krym nie ciągnęły nigdy wielkie pielgrzymki. Faktem jednak jest, że właśnie w Chersonesie (dziś: Sewastopol) w 988 r. miał przyjąć chrzest władca Rusi Kijowskiej, książę Włodzimierz. To czyni Krym miejscem ważnym zarówno dla Rosjan, jak i Ukraińców, bo oba te narody (i ich państwa) wyrosły z korzenia ruskiego. Przy czym według Putina z tego korzenia wyrosła tylko Rosja. Panowanie Rusi na Krymie było ledwie epizodem i nie obejmowało całego półwyspu.

Sam Chersones był jedną z wielu kolonii greckich na Krymie, należących do Bizancjum. W XIII w. półwysep zajęli na kilkaset lat Tatarzy. W XV w. powstał Chanat Krymski, dość szybko zmuszony do uznania zwierzchności imperium osmańskiego. Rosja podbiła półwysep pod koniec XVIII w., za panowania Katarzyny Wielkiej. Rusyfikacja szła opornie. U progu XX w. na Krymie Tatarów i Rosjan było po trzydzieści kilka procent, Ukraińców – 12 proc. Te proporcje znacząco zmienił Stalin, wysiedlając do Azji Środkowej ludność tatarską, którą oskarżał o kolaborację z Niemcami. W 2001 r. 58,5 proc. mieszkańców stanowili etniczni Rosjanie, 24,4 proc. Ukraińcy, 12,1 proc. – Tatarzy. Autonomiczna Republika Krymu była najbardziej zrusyfikowaną i prorosyjską częścią postsowieckiej Ukrainy, niemal pozbawioną ukraińskiej tożsamości.

Krym należał do rosyjskiej republiki sowieckiej aż do 1954 r., kiedy Chruszczow przekazał półwysep sowieckiej Ukrainie. Za to – podobnie jak za krytykę Stalina – jest dziś w Rosji odsądzany od czci i wiary przez nacjonalistów. Dlaczego to zrobić? Oficjalnie chodziło o kwestie gospodarcze i logistyczne – na Ukrainę było zwyczajnie bliżej. Kilka lat później powstał Kanał Północnokrymski, który zaopatrywał półwysep w wodę z Dniepru. Kanał ten po aneksji Ukraińcy zatamowali, a Rosjanie po inwazji znów odblokowali. Możliwe również, że Chruszczow chciał zyskać przychylną ukraińską nomenklaturę. Według Putina mógł też w ten sposób łagodzić swoje wyrzuty sumienia za organizację masowych represji na Ukrainie w latach 30., co jednak wydaje się infantylną wersją. Funkcjonuje ponadto mit, zgodnie z którym Krym miał być „prezenterem” z okazji 300. rocznicy ugody perejaśławskiej, czyli uznania przez Kozaków carskiej zwierzchności (co w ZSRS było symbolem „jedności” Rosji i Ukrainy).

Tak czy inaczej Krym zajmuje ważne miejsce w kulturze rosyjskiej. Orientalną przyrodę półwyspu opisywał Aleksandr Puszkina, dając początek romantyzmowi w Rosji. Porażka w wojnie krymskiej w połowie XIX w. z Turcją i jej zachodnimi sojusznikami zapoczątkowała kryzys państwa i rozkwit ruchów rewolucyjnych. Zwycięstwem były jednak narodziny rosyjskiej prozy wojennej na bastionach Sewastopola. Lew Tołstoj swój udział w tej wojnie uwiecznił bowiem w słynnych „Opowiadaniach sewastopolskich”, które dołożyły swoją cegiełkę do gmachu kulturowej rusyfikacji półwyspu. Krym to też dawna perła sowieckiej turystyki, ulubione miejsce wypoczynku dla Rosjan. A także tytułowy bohater słynnej powieści Wasilija Aksionowa. „Wyspa Krym” przedstawia alternatywną wersję historii, zgodnie z którą półwysep nie zostaje w 1920 r. podbity przez bolszewików. Zamiast tego staje się czymś w rodzaju Tajwanu – demokratyczną, rozwijającą się zgodnie z zachodnimi standardami republiką, która, ulegając moralnej destrukcji, w końcu pada jednak łupem ZSRS. Podobnie prawdziwy Krym padł łupem Putina – tym łatwiejszym, że Ukraina przed 2014 r. nie miała wiele wspólnego ze standardami Zachodu. I nawet jeśli w efekcie sukcesów Kijowa na froncie stanie się znów „wyspą”, to taką nie do zdobycia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

albo wielkim wstrząsem na Kremlu i być może upadkiem Putina, albo użyciem broni jądrowej. Nietrudno się domyślić, który wariant wolałby wybrać prezydent Rosji.

CZY TEN KRYM?

Dlaczego półwysep jest tak ważny dla Putina? Po pierwsze, to najstarsza i najtrwalsza jak dotąd jego zdobycz terytorialna. Anektując Krym, Putin nie udawał, że tworzy jakieś osobne państwo. Po prostu ogłosił „powrót do macierzy” i włączył Krym do Rosji. Cztery lata po aneksji uroczyście otworzył most łączący półwysep z Rosją, osobiście jadąc za kierownicą na czele kolumny ciężarówek. Po drugie, aneksja była wyjątkowo udaną operacją. Obyło się praktycznie bez jednego wystrzału. Referendum oczywiście sfałszowano, ale kremlowska propaganda nie miała problemu z pokazaniem tłumów szczerze wiwatujących zwolenników Rosji na ulicach krymskich miast. Po trzecie, Krym jest dla Moskwy kluczem do panowania na Morzu Czarnym. Po rozpadzie ZSRS w Sewastopolu nadal stacjonowała flota czarnomorska. To właśnie posiadanie bazy wojskowej na Krymie umożliwiło Rosjanom tak sprawną aneksję. Kolejni prezydenci Ukrainy nie odmawiali Moskwie dzierżawy. Wiktor Janukowycz w zamian za zniżkę na gaz zgodził się na obecność rosyjskich okrętów

Sprawa jest poważna, skoro do dymisji podał się wicepremier oraz minister rolnictwa i rozwoju wsi Henryk Kowalczyk. Swoje odejście polityk uzasadnił tym, że postulat polskich rolników – nieprzedłużenia bezcłowego i bezkontyngentowego importu zbóż z Ukrainy na kolejny rok – nie zostanie spełniony przez Komisję Europejską.

Wcześniej podczas Europejskiego Forum Rolniczego w Jasionie koło Rzeszowa kilkanaście osób w żółtych kamizelkach z napisem „Oszukana wieś” obrzuciło ministra jajkami. Organizacje rolnicze straty szacują „na miliardy”, a poseł Lewicy Arkadiusz Iwaniak, członek sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi, podał nawet kwotę 10 mld zł. Protesty rolników mają miejsce w kilku miejscach Polski.

KTO JEST WINNY?

W 2021 r. z Ukrainy do Polski importowano 60 tys. ton zboża, podczas gdy w 2022 r. – 2,45 mln ton. Oznacza to wzrost aż o 4 tys. proc. Sam ówczesny minister Kowalczyk przyznawał, że od zniesienia barier do tej pory do Polski z Ukrainy sprowadzono 3 mln ton zbóż. Identyczny problem mają inne kraje naszego regionu: Rumunia, Węgry, Słowacja (oraz Bułgaria), które – podobnie jak Polska – wcześniej importowały śladowe ilości zboża z Ukrainy, by w 2022 r. sprowadzić go setki razy więcej. Wzrost importu we Włoszech czy w Hiszpanii był zaledwie kilkudziesięcioprocentowy i kraje te korzystają na tanim ukraińskim zbożu przy hodowli trzody chlewnej i bydła.

Jak do tego doszło? Nie licząc pszenicy, cukru czy mięsa, unijne cła i kwoty, chociażby na kukurydzę, zostały zdjęte już w 2014 r. w ramach umowy stowarzyszeniowej Unii Europejskiej z Ukrainą. Do wybuchu wojny z Rosją nie było problemu, gdyż ukraińskie zboże było wysyłane krótką ścieżką przez porty czarnomorskie do krajów afrykańskich. Jednak po rozpoczęciu konfliktu Rosja zablokowała porty i nastąpiło zerwanie łańcuchów dostaw. W efekcie doszło do nagromadzenia towarów, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. W tej sytuacji rękę do Ukrainy wyciągnęła Unia Europejska, która zniosła cła i kontyngenty

Afera zbożowa



Tomasz Cukiernik

Kto zarobił, a kto stracił na imporcie olbrzymich ilości ukraińskiego zboża do Polski?

dla wszystkich produktów z tego kraju. Rozporządzenie PE i Rady 2022/870 z maja 2022 r. zostało poparte także przez polski rząd.

Ukraińskie zboże miało być reeksportowane m.in. do pierwotnych celów przeznaczenia w Afryce. Miały powstać specjalne korytarze transportowe. Była mowa o tym, że zostaną udostępnione pociągi przystosowane do eksportu zboża i pojawią się firmy, które będą je wywoziły. W lipcu ubiegłego roku premier Mateusz Morawiecki zapewniał, że „zboże, które wjeżdża do Polski z Ukrainy, będzie sprzedawane w Afryce i na Bliskim Wschodzie; my mamy w Polsce polską żywność, polskie zboże; będziemy zabezpieczać polską wieś i polskiego rolnika”. – Ale te korytarze humanitarne nie powstały. Podejrzewam, że Komisja Europejska zrobiła to celowo. Wiedziała, jaki będzie skutek. Z jednej strony

trzeba ważyć ceny żywności i inflację, a z drugiej opłacalność produkcji rolnej. Przez otwarcie rynku ukraińskiego KE obniżyła ceny żywności, które przestały tak galopować w górę. Problem pozostał w krajach graniczących z Ukrainą, które zostały zasypane zbożem ukraińskim – powiedział dr Jarosław Sachajko, poseł Kukiz'15, zastępca przewodniczącego sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

KTO NA TYM ZARABIŁ

Kiedy wybuchła ukraińska wojna, światowe ceny zboża rosły, bo państwa i firmy zaczęły gromadzić zapasy. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Przez trzy miesiące pszenicę można było sprzedać powyżej 1,6 tys. zł/t. Teraz mamy okres znaczącego spadku cen i pszenica konsumpcyjna kosztuje ok. 1 tys. zł, czyli znacznie mniej, niż wynosiła cena



nie straciły. Z kolei w Polsce wielu przedsiębiorców zwietrzyło okazję do zarobku. Po otwarciu granic zboża nie kupili przecież Marsjanie, tylko przedsiębiorcy działający w naszym kraju. Zarobiły duże firmy paszowe, które kupiły zboże taniej niż to, które mogły nabyć od polskich rolników. Także część sprytnych rolników nabyła ukraińskie zboże i wymieszała je ze swoim, licząc na to, że sprzeda je drożej.

Rząd nie chciał ujawnić listy importerów ukraińskiego zboża, zasłaniając się złamaniem tajemnicy skarbowej. Chodziło jednak o nieujawnienie powiązań tych firm z partią rządzącą, co jest dla niej szczególnie niekorzystne w kontekście tegorocznych wyborów parlamentarnych. Jednak Janusz Wojciechowski, unijny komisarz ds. rolnictwa, stwierdził, że listę importerów można upublicznić, bo zgodnie z unijną dyrektywą tajemnice przedsiębiorstw mogą zostać ujawnione, gdy służy to „interesowi publicznemu w zakresie ujawnienia nieprawidłowości”. Temat podchwyciła opozycja. Media opozycyjne ujawniły część tych firm powiązanych z PiS. Na liście, do której dotarli dziennikarze Wirtualnej Polski, znaleźli się giganci polskiego przemysłu spożywczego: Cedrob i Wipasz, a także firmy ukraińskie, litewskie, niemieckie czy polski oddział międzynarodowego koncernu Viterra. – Firmy związane z PO czy PSL również importowały ukraińskie zboże. Gdyby PiS ujawnił tę listę trzy miesiące temu, to by tak nie oberwał, jak w tej chwili. Jedni i drudzy optymalizowali sobie koszty, kupując zboże ukraińskie – stwierdził poseł Sachajko.

PSL zażądało przeprosin od rzecznika PiS Rafała Bochenka za pomawianie, że na ukraińskim zbożu zarobiły firmy związane z tą partią, grożąc wytoczeniem procesu.

NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA ZDROWIA?

Pojawiły się obawy, że ukraińskie zboże nie spełnia unijnych norm, jest słabej jakości i zagraża zdrowiu Polaków. Zboże ukraińskie przeznaczone do celów spożywczych rzeczywiście trafiło również do młynów, ale było badane na granicy wyrwykowymi kontrolami, czyli tak jak się to normalnie odbywa, więc nawet jeśli jest stosowane od kilku

miesięcy do produkcji żywności, to nie jest to niebezpieczne dla zdrowia. W ostatnich trzech miesiącach w ukraińskich produktach rolnych kilkanaście razy ujawniono składniki niebezpieczne. Oznacza to, że system kontrolny działa poprawnie. Co więcej, na Ukrainie są bardzo dobre gleby, dzięki czemu można produkować z minimalną ilością nawozów i z minimalnymi opryskami. Ukraińskie zboże może być więc nawet lepszej jakości niż polskie. Dla przykładu – trzy lata temu Ministerstwo Rolnictwa zleciło służbom zbadanie próbek zboża ukraińskiego i w żadnej próbce nie znaleziono pozostałości niedozwolonych środków ochrony roślin. Zła jakość może się pojawić wówczas, kiedy zboże jest źle przewożone, np. jeśli zamoknie. Takie zboże powinno iść do utylizacji.

Zagrożeniem dla zdrowia może być natomiast tzw. zboże techniczne, które nie musi spełniać żadnych norm. Mogą się w nim znajdować toksyny grzybów, zakazane pestycydy lub szkodniki czy

Tak zwane zboże techniczne z Ukrainy przeznaczone jest do spalania. A miało trafić do pasz czy nawet do młynów

światowa przed wojną, a ukraińska jest ok. 30 proc. tańsza. Skąd taki spadek ceny? Po pierwsze, te firmy i państwa, które zrobiły duże zapasy, wypychają stare zboże na rynek albo nie chcą kupować nowego, bo mają zapasy. Dodatkowo wkrótce będą nowe zbiory. Drugim powodem jest Rosja, która zamieszała na światowych rynkach. Moskwa chwali się, że znacznie zwiększyła eksport produktów rolno-spożywczych.

Na Ukrainie w sektorze rolnym działa wielu inwestorów z Europy Zachodniej, m.in. holenderscy, francuscy, niemieccy, a także polscy. Zależało im na otwarciu granicy, ale już nie na tym, żeby to zboże jechało dalej. Można się domyślać, że to właśnie w wyniku lobbingu tych zachodnich koncernów Komisja Europejska zniosła cła. Ukraińskie zboże było tanio sprzedawane, więc te firmy na sprzedaży nie zarobiły kokosów, ale przynajmniej

mogą być przekroczone normy substancji szkodliwych. „Rzeczpospolita” podała, że Prokuratura Okręgowa w Zamościu wszczęła śledztwo w sprawie sprzedaży 66 ton ukraińskiego zboża technicznego krajowym producentom pasz. Miało dochodzić do fałszowania dokumentacji. – Zboże, które wjeżdżało jako tzw. techniczne, było sprzedawane następnie jako paszowe czy sprzedawane do młynów jako zboże spożywcze. Okazuje się, że służby skarbowe, inspekcje rolne, weterynaryjne odstępowały od prowadzenia standardowych kontroli – mówił podczas konferencji prasowej w Sejmie poseł Krzysztof Bosak z Konfederacji.

Zboże techniczne w ogóle nie podlega kontroli na granicy, ponieważ przeznaczone jest do spalania. Produkt ten nie powinien trafić ani do pasz, ani do żywności, bo nie nadaje się do spożywania przez ludzi i zwierzęta. Jeśli takie zboże

■ trafiło gdziekolwiek indziej, to złamano polskie i unijne prawo, za co grozi odpowiedzialność karna. I to może być prawdziwa afera, bo importem ukraińskich produktów rolnych miały się zajmować firmy służy. – Firmy, które w ogóle nigdy nie istniały i nie zajmowały się tego typu importem, dzisiaj są największymi importerami niekontrolowanego zboża technicznego z Ukrainy – powiedziała Anna Bryłka, wiceprezes Ruchu Narodowego. Sprawę bada CBA.

JAK ROZWIĄZAĆ PROBLEM

Już w grudniu 2022 r., podczas spotkania unijnych ministrów rolnictwa, wicepremier Kowalczyk zwracał uwagę, że zboża mamy bardzo dużo i nie ma co z nim robić. – Ministrowie starych państw Unii Europejskiej zachowywali się w stosunku do nas jak do kolonii: „nas to nie interesuje, to jest problem lokalny” – przypomniał dr Sachajko. Co gorsza, nadmiaru zboża nie można spożytkować do większej produkcji pasz, bo unijna i polska (za rządów PO-PSL) polityka doprowadziła do drastycznego spadku pogłowia zwierząt hodowlanych. Z roczników statystycznych GUS wynika, że w 2007 r. rolnicy w Polsce hodowali ok. 18,1 mln sztuk trzody chlewnej, a w 2015 r. – już tylko 11,6 mln. Oznacza to spadek o 36 proc. Z kolei jeśli chodzi o bydło, to w 2007 r. w Polsce hodowano 5,7 mln sztuk, a w 2015 r. – już tylko 2,45 mln, czyli spadek wyniósł aż 57 proc. Za rządów PiS nadal mamy tendencję spadkową, ale jest ona minimalna. W 2021 r. hodowano w Polsce ok. 11 mln sztuk trzody chlewnej i prawie 2,4 mln sztuk bydła.

Chcąc przypodobać się rolnikom, prezes Jarosław Kaczyński obiecał powszechny skup zboża po cenach znacznie wyższych niż rynkowe. Natomiast minister rozwoju i technologii Waldemar Buda podpisał rozporządzenie zakazujące przywozu z Ukrainy produktów rolnospożywczych (podobne środki powzięły władze Węgier i Słowacji). Zakaz będzie obowiązywał do końca czerwca br. i obejmie zboża, cukier, owoce, warzywa, mięso, mleko, jaja itp. Nowy minister rolnictwa Robert Telus poinformował z kolei, że tranzyt ukraińskich produktów rolnospożywczych będzie możliwy, ale pod ścisłą kontrolą: pod konwojem

do miejsca docelowego, zabezpieczony mechanizmem SENT i plombami elektronicznymi. Sceptycy tego rozwiązania przypominają, że już na początku marca Ministerstwo Rolnictwa zapewniało, że „tranzyt ukraińskiego zboża przez Polskę, zarówno drogowy, jak i kolejowy, będzie zabezpieczony przez plombowanie. Plomby będą zdejmowane w koncesjonowanych magazynach portowych albo w innych krajach, wskazanych jako docelowe”.

W reakcji na rozporządzenie ministra Budy Komisja Europejska oświadczyła, że „polityka handlowa należy do wyłącznych kompetencji Unii Europejskiej, a zatem działania jednostronne są niedopuszczalne”. Skoro tak, to firmy, które zajmują się importem z Ukrainy, mogą pozywać Skarb Państwa o od-

Posłowie Konfederacji przygotowali wniosek o powołanie komisji śledczej do zbadania afery zbożowej

szkodowanie. Jednak europoseł dr Jacek Saryusz-Wolski przytoczył na Twitterze przepisy unijnego rozporządzenia 478/2015 opartego na art. 207(2) Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, który przewiduje w art. 24.2 możliwość stosowania przez państwo członkowskie zakazów i ograniczeń importu uzasadnionych względami polityki publicznej. W tym czasie sama Komisja Europejska zastanawia się nad wprowadzeniem unijnego zakazu importu do Polski, Słowacji, Węgier, Rumunii i Bułgarii ukraińskiej pszenicy, kukurydzy, słonecznika i rzepaku, co ma zastąpić jednostronne zakazy krajów członkowskich.

Zdaniem posła Sachajki rozwiązaniem mogłoby być wykorzystanie ukraińskiego zboża jako ekologicznego opału w elektrowniach. – Cena pszenicy jest prawie dwukrotnie niższa niż cena peletu, który jesteśmy zobowiązani spalać w energetyce zawodowej. W energetyce prywatnej rolnicy to robią od co najmniej 20 lat. Ogrzewanie owsem jest dużo tańsze niż węglem. Wartość energetyczna zboża czy peletu wynosi

ok. 16–17 MJ/kg, a węgla kamiennego ok. 20–25 MJ/kg. Jeżeli to zboże skierowalibyśmy do energetyki, to mielibyśmy tańszy prąd, spełnilibyśmy unijne normy i zboże słabej jakości spożytkowalibyśmy w energetyce. Powinniśmy oszczędzać gaz, węgiel, pelet, skoro tak tanie jest zboże i mamy takie duże nadmiary – zaproponował dr Sachajko.

SZERSZY KONTEKST

Posłowie Konfederacji przygotowali wniosek o powołanie komisji śledczej, która miałaby zbadać „przyczyny i skutki niekontrolowanego importu żywności z Ukrainy”, argumentując, że „sprawa jest publiczna, dotyczy szczytu władzy politycznej, polityki unijnej i międzynarodowej, działania służb państwowych i spraw wątpliwych prawnie”. – Zalew polskiego rynku towarami z Ukrainy, który ma miejsce w wyniku rozporządzenia Unii Europejskiej, trwa od mniej więcej roku, okazuje się być zalewem, który został świadomie dopuszczony przez rząd i nawet przyspieszony przez rząd – grzmiał poseł Bosak. Wniosek podpisało 46 posłów, co oznacza, że powinien zostać poddany pod głosowanie w Sejmie. Konfederacja domaga się także informacji, dlaczego rząd nie złożył wniosku o zastosowanie klauzuli ochronnej, którą przewiduje art. 4 unijnego rozporządzenia liberalizującego handel między Ukrainą a Unią Europejską.

Poza produktami rolnospożywczymi Ukraina eksportuje bez cła na unijny rynek także inne towary, np. stal. To może być problem dla kolejnej polskiej branży, ale niekoniecznie dla konsumentów. „Jeśli zboże jest zdrowe i tańsze, to nikt nie ma prawa zakazywać jego kupowania. Taki zakaz jest równoznaczny z zakazem konkurencji. Poza tym tańsze zboże to tańszy chleb dla milionów konsumentów” – napisał w mediach społecznościowych publicysta i przedsiębiorca Jan M. Fijor. I dodał: „Trzeba się pogodzić z faktem, że mamy konkurenta, i zacząć z nim konkurować, ale nie poprzez subsydia rządowe, lecz lepszą produkcję. Jeśli towary ukraińskie są tańsze i lepsze, to polscy konsumenci powinni się tylko cieszyć. Tanie zboże czy tania stal to okazja do obniżki cen”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM

Nadzieje Moskwy

Jak wiadomo, w UE nigdy nie jest na tyle drogo, żeby nie mogło być jeszcze drożej. Unijni urzędnicy nawet na chwilę nie ustają przecież w podnoszeniu wymiaru starych i wymyślaniu nowych opłat, które z obywateli państw UE uczynią ludzi jeszcze biedniejszych niż w tej chwili.

A za szczególnie punkt honoru eurokraci przyjęli sobie, żeby Europejczyków nie było stać na ogrzewanie się we własnych domach. I cel ten realizują z podziwu godną konsekwencją. Już za kilka lat ktoś, kto ośmieli się ogrzewać się we własnym domu czymś innym niż wiaterek z własnego wiatraczka lub słoneczko z własnej instalacyjki fotowoltaicznej, będzie płacił jak za zboże. Każda próba ogrzewania mieszkania czy domu olejem lub gazem, o węglu i drewnie nawet nie wspominając, będzie karana z całą surowością, aż do puszczania takich delikwentów z torbami. Nie inaczej będzie z używanymi do tego celu prądem, jeśli ten wytwarzany będzie z węgla albo gazu, zamiast pochodzić z „elektrowni” wiatrowych czy słonecznych.

Brukselski plan puszczenia nas z torbami – przyjęty przez rząd w Warszawie jakoś tak pokątnie, bez chwalenia się tym – jest już rozpisany na całe lata. I choć nie znajdujemy się jeszcze nawet w połowie realizowania jego postanowień, to już dziś trudno się ogrzać we własnym domu i nie zbankrutować.

Tym bardziej że w tym roku jesteśmy w Polsce chronieni jakimiś tarczami przeciw podwyżkom cen gazu i prądu i dopiero następnej zimy przekonamy się, ile Bruksela każe nam faktycznie płacić za ogrzewanie naszych domostw. Czas prawdy nadejdzie zimą z 2023 r. na 2024 r.

A potem każdego roku będzie już tylko gorzej, ponieważ co roku będziemy dostawali z Brukseli kolejny wyrok cenowy. Na przykład od 2027 r., ogrzewając się węglem lub gazem, będziemy musieli dodatkowo – czyli dodając do tych horrendalnych cen, które przyjdzie nam płacić za ogrzewanie, począwszy od 2024 r. – uiszczać dodatkową opłatę ETS2 w wysokości – na starcie – 45 euro za tonę CO₂. A to oznacza kolejne podwyżki rachunków za ogrzewanie o co najmniej 20 proc.

A wszystko to za sprawą rozszerzenia ETS – czyli działającego od 2005 r. unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji CO₂, który teraz z przemysłu ma zostać rozciągnięty – jako system ETS2 – na każde mieszkanie i na każdy dom w państwach UE. Tak w grudniu 2022 r. – po wielu rundach negocjacji Rady UE i PE – postanowili także polscy politycy, przypieczętowując to, co nas wkrótce czeka.

A nadzieje pani minister klimatu Anny Moskwy, że opłaty te jakimś cudem nie obejmą budynków mieszkalnych, skończyły tam, gdzie kończą wszystkie jej nadzieje – w piecu z nadziejami. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

I ty zostaniesz szpiegiem

Będzie teraz trzeba mieć oczy dookoła głowy i nikomu ani mru-mru. Każdy może być szpiegiem! I to jeszcze najpewniej ruskim. Tak będzie, jeśli w życie wejdą zmiany w kodeksie karnym, które proponuje grupa posłów Prawa i Sprawiedliwości, uzasadniając to wymogami sytuacji geopolitycznej.

Wśród zaprojektowanych zmian najbardziej intrygująca jest ta wprowadzająca karę (do pięciu lat pozbawienia wolności) za przekazanie wiadomości, „której ujawnienie lub wykorzystanie może wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej” osobie lub innemu podmiotowi, „co do którego na podstawie towarzyszących okoliczności powinien i może przypuszczać, że bierze on udział w działalności obcego wywiadu”. Proszę zwrócić uwagę: ów tajemniczy podmiot lub osoba zgodnie z proponowanym przepisem nie muszą być wcale faktycznie zaangażowane w pracę obcego wywiadu. Kara grozi,

jeśli prokuratura uzna, że podejrzany powinien być tak przypuszczać. Przy czym to, co kto przypuszcza lub przypuszczać może, jest sprawą całkowicie subiektywną i opieranie na tym aktu oskarżenia traci – ujmijmy to delikatnie – Białorusią.

Polscy posłowie znani są z bardzo niskich umiejętności tworzenia prawa. Prawne babole i koślawe przepisy w projektach ustaw są na porządku dziennym. Zachodzę jednak w głowę, czy w tym przypadku mamy do czynienia właśnie ze skrajną niekompetencją, która otwiera drogę do absurdu podejrzliwości i paranoi podejrzeń – czy też może celowo przepis brzmi, jak brzmi. Bo jeżeli właściwa jest ta druga odpowiedź, to mamy do czynienia z kolejnym ograniczeniem wolności słowa, o tyle perfidnym, że uderzającym np. w sygnalistów, a więc osoby, które przekazują dziennikarzom informacje o nieprawidłowościach w różnych instytucjach – także państwowych. Teraz sygnalista miałby prawo obawiać się, że stanie przed sądem z art. 130 par. 7, a dziennikarz może także mieć obawy, że beknie z innego artykułu – mówiącego o czynieniu przygotowań do działania na rzecz obcego wywiadu.

Chciałbym wierzyć, że twórcy ustawy szpiegowskiej po prostu nie przemyśleli tego, co proponują. Chciałbym – ale jakoś nie mogę. ©

Opieranie na tym aktu oskarżenia traci – ujmijmy to delikatnie – Białorusią

nienie lub wykorzystanie może wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej” osobie lub innemu podmiotowi, „co do którego na podstawie towarzyszących okoliczności powinien i może przypuszczać, że bierze on udział w działalności obcego wywiadu”. Proszę zwrócić uwagę: ów tajemniczy podmiot lub osoba zgodnie z proponowanym przepisem nie muszą być wcale faktycznie zaangażowane w pracę obcego wywiadu. Kara grozi,

NISSAN X-TRAIL E-POWER E-4ORCE

Najnowsza, praktycznie zelektryfikowana odsłona popularnego modelu X-Trail – którego pierwsza wersja wyjechała na drogi niemal ćwierć wieku temu – to z pewnością ewolucja w dobrym kierunku. Nowoczesna, a jednocześnie nieprzekombinowana stylistyka nadwozia przy zachowaniu praktycznego, przestronnego wnętrza to spore atuty nowej generacji japońskiego SUV-a.

Inżynierowie i stylisci marki wreszcie dostrzegli też, że nawet w rodzinnych terenówkach ważna jest jakość materiałów wykończeniowych. W nowej odmianie X-Traila nie dominują już twarde, toporne plastiki – ich miejsce zajęły przyjemne w dotyku i miłe dla oka miękkie materiały. Ekran multimedialny z czasów, gdy ludzie rzucali kamieniami w dinozaury, zastąpił duży i intuicyjny w obsłudze ekran dotykowy o dobrej rozdzielczości. Jednocześnie Japończycy nadal pozwalają swym klientom wygodnie, szybko i tradycyjnie sterować ustawieniami klimatyzacji czy radia.

Sterowane elektrycznie fotele są wygodne i dobrze podbijają ciało na zakrętach. Komfortowo jest również na tylnej kanapie, której pasażerowie mogą cieszyć się oddzielną strefą klimatyzacji (koniec z temperaturowymi kompromisami!). W bagażniku z płaską podłogą do dyspozycji jest przestrzeń o pojemności 575 l. Jak przystało na auto rodzinne, w kabinie X-Traila nie brakuje też większych i mniejszych schowków. Jest też ładowarka bezprzewodowa. Jeśli miałbym się do

czegoś na siłę przycześcić, to wskazałbym na słabo widoczny przycisk włączania świateł awaryjnych.

Największą ciekawostką w tej generacji jest jednak napęd. X-Trail e-Power e-4ORCE ma co prawda trzycylindrowy silnik benzynowy o pojemności 1,5 l (można go więc w kilka minut zatankować na każdej stacji benzynowej), ale odgrywa jedynie rolę niewielkiej mobilnej elektrowni, która ładuje energią akumulator o pojemności 2,1 kWh, skąd prąd trafia do dwóch jednostek elektrycznych napędzających wszystkie koła japońskiego SUV-a. Samochód jak każda hybryda odzyskuje też energię podczas hamowania.

Wrażenia z jazdy pozytywnie zaskakują. Auto porusza się stabilnie i cicho, a do tego bardzo żwawo startuje spod świateł (SUV o łącznej mocy 213 KM od zera do 100 km/h rozpędza się w 7,2 s). Silnik spalinowy nawet przy mocno dociśniętym do

podłogi pedale gazu nie błaga o pomoc, lecz daje o sobie znać w dość dyskretny, żeby nie powiedzieć – dość przyjemny sposób. Nissan daje też do wyboru pięć trybów jazdy: eco, normal, sport, snow i off-road. Średnie spalanie na trasie wyniosło 6,9 l/100 km. A na ekspresówce – przy legalnej prędkości maksymalnej – 7,2–7,5 l/100 km. Poruszając się spokojnie po mieście z włączoną funkcją e-pedal, można zejść do poziomu 5,9 l/100 km.

Przydatne podczas jazdy są też nowe technologie: od asystenta pasa ruchu poczynając, a kończąc na przeziernym wyświetlaczu, na którym oprócz prędkości wyświetlane są wskazówki nawigacji oraz informacje o znakach. Cena najtańszego X-Traila e-POWER w najmocniejszej wersji e-4ORCE zaczyna się od 212,9 tys. zł. Wariant testowy z dodatkowymi opcjami to koszt 231 tys. zł. ©



NAWILŻACZ POWIETRZA STADLER FORM KARL

Świetne wzornictwo, wysoka wydajność nawilżania oraz praktyczna aplikacja, umożliwiająca sterowanie smartfonem i sprawdzanie na ekranie telefonu poziomu wilgotności w pomieszczeniu – to największe zalety nawilżacza ewaporacyjnego nowej generacji szwajcarskiej firmy Stadler Form.

Gdy poziom wilgotności w pomieszczeniu jest zbyt niski – np. podczas ogrzewania pomieszczeń zimą lub chłodzenia ich przy użyciu klimatyzacji latem – komfort życia zauważalnie spada, a rośnie ryzyko łzawiących oczu, podrażnionego nosa czy drapania w gardle. Nawilżacze mogą temu łatwo zaradzić. I chociaż trudno sobie wyobrazić piękne urządzenie tego typu, to akurat testowany model bez wstydu można postawić w salonie nowoczesnego domu. Karl – kryjący w sobie zbiornik na wodę o pojemności aż 4,7 l – wygląda bowiem zaskakująco elegancko, co jest głównie zasługą antracytowego, tekstylnego materiału, którym pokryto większą część urządzenia. Karl został też dość praktycznie zaprojektowany. Wodę można bowiem nalewać na bieżąco bez konieczności przenoszenia



pod kran całego zbiornika. Urządzenie może działać w wybranych trybach (1, 2, 3 oraz turbo), może też pracować do osiągnięcia wilgotności na wybranym przez użytkownika poziomie (do wyboru jest 40, 45, 50 i 55 proc.) lub w trybie automatycznym utrzymywać zadany poziom wilgotności. Według producenta wydajność nawilżania wynosi do 690 g/h. Karl ma też wbudowane kasety filtrujące nawilżane powietrze.

Urządzenie jest przy tym wyjątkowo proste w obsłudze zarówno za pomocą panelu dotykowego, jak i poprzez czytelną aplikację mobilną, w której można odczytać m.in. wskazania higrometru.

A wady? Fajnie byłoby, gdyby producent dawał wybór koloru tekstylnej osłony. W najbardziej wydajnym trybie turbo urządzenie jest stosunkowo głośne. Minusem urządzenia jest też wysoka cena. Za Karla, który jest wystarczający do nawilżenia do 100 mkw., trzeba zapłacić 1289 zł. Jego starszy brat – który pozwala na nawilżenie powietrza w przestrzeni do 150 mkw. – to wydatek rzędu 1999 zł. ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szklarskie pamiątki

Podczas podróżowania po Polsce zastanawiać może to, jak wiele wsi i miejscowości nosi nazwy związane z hutnictwem. Co chwila trafiamy na Huty, Huciska, Stare Huty, Nowe Huty, Hutki, Chutki i Chuciska. Nazwy sugerują, że w miejscowościach tych działały kiedyś huty żelaza; gdyby to była prawda, Polska byłaby 400 lat temu metalurgiczną potęgą świata. W rzeczywistości znajdowały się tam małe huty szkła, po których

pamiątką są inne nazwy wsi i przysiółków, niepozostawiające już żadnych wątpliwości co do rodzaju istniejącego w nich przemysłu jak: Szklary, Szklana, Szklanów, Szklarka, Szklarzki, Szklarnia, Szkleniec, Huta Kryształowa, Szklanna Huta itd.

Jak podaje Andrzej Wyrobisz w pracy

„Szkło w Polsce od XIV do XVII wieku”, najstarszą wzmiankę o szklanej hucie zawiera dokument biskupa poznańskiego Andrzeja z 1310 r. wymieniający „molendinum quod vocatur vitrarii”, czyli młyn szklany, usytuowany gdzieś pod Poznaniem, nad Cybiną, prawym dopływem Warty. W późniejszych wiekach stały się one bardzo liczne i pojawiały się przede wszystkim w Małopolsce. Brak było ich natomiast na Litwie, dopiero w 1547 r. powstała pod Wilnem huta Marcina Paleckiego,

nie wiadomo jednak, jak długo i czy w ogóle funkcjonowała. Tymczasem w Koronie do połowy XVII w. działały już 93 huty szkła.

Gdzie budowano te huty i ich osady? Przede wszystkim na terenach lesistych, bo wymagały dostarczania dużych ilości opału. Nad strumieniami, najlepiej płynącymi w górskich wąwozach – jak podkarpaccy Szklary pod Rzeszowem. Nikt dziś nie zdaje sobie sprawy, że wiele takich wsi przypominało trochę osiedla poszukiwaczy złota z Dzikiego Zachodu – gdyż strumienie i rzeczki przegrodzone były tamami i drewnianymi spluczkami do czyszczenia piasku.

Jak wyglądała sama huta? Zwykle był to prymitywny budynek z drewna – szopa albo kleć, w której znajdował się piec szklarski z cegieł bądź kamieni spójonych gliną. Do dziś na ziemiach polskich nie zachował się ani jeden, ten odkopany na wykopaliskach archeologicznych na Morawach miał wymiary 6 na ok. 2,5 metra. Często w dużych hutach znajdowały się także piece dodatkowe – do przepalania masy szklarskiej i do hartowania wyrobów. Bywały także osobne do wypalania tygli służących do wytopu.

Dawne szkło wytapiano z piasku szklarskiego oczyszczanego w podany wyżej sposób, popiołu z drewna dębowego lub bukowego albo potażu dostarczanego przez zewnętrznego pracownika huty – popielarza. Oprócz tego dodawano sproszkowanych skał wapiennych i braunsztynu – tlenku manganu, a także stłuczki szklanej. Jak widać, w dawnych czasach nie wyrzucano potłuczonych naczyń, ale odsprzedawano je kupcom, którzy przywozili stłuczkę z powrotem do huty.

Tak przyrządzoną masę topiono w piecu, co zwykle wymagało

nawet kilku dni nieprzerwanej pracy przy utrzymywaniu ognia, aby osiągnąć temperaturę powyżej 900 st. C. Dopiero wówczas tworzone gotowe szyby, kielichy i inne szkła metodą wydmuchiwania, stosowaną do dzisiaj. Jak pisał o tym Jakub Kazimierz Haur: „Różne z tego potem szkła gatunki na formy robią, przez instrument dęty ustami wydymają i kleszczykami, jakie chce, naczynie formują”. W taki sposób otrzymywano różnego rodzaju naczynia i ozdoby. Natomiast szyby, jak pisze Andrzej Wyrobisz, „wytwarzano również przy pomocy dmuchania. Okrągłe małe szybki zwane gomółkami formowano w ten sposób, że wydmuchaną bańkę szklaną otwierano z jednej strony, a następnie przy pomocy szybkich ruchów obrotowych zamieniano ją w krążek szklany. Prostokątne tafle szklane niewielkich rozmiarów produkowano zaś w ten sposób, że najpierw wydmuchiwało tzw. cholewę, czyli podłużną bańkę walcową, następnie zaś odcinano oba końce cholewy, otrzymany w ten sposób cylinder rozcinano wzdłuż i rozprostowywano”. Ostatnią czynnością było wygrzewanie gotowych wyrobów, a następnie powolne ich ochładzanie.

Aż do końca istnienia Rzeczypospolitej szklono okna przede wszystkim gomółkami i niewielkimi szybkami, z których dobry szklarz formował różne wzory. Szkło odlewane, produkowane już w XVIII w., stosowano tylko do wyrobu zwierciadeł. Jak podaje Wyrobisz, na oszklenie 65 okien krakowskiego Wawelu w 1510 r. potrzeba było 21,6 tys. szybek. Była to roczna produkcja typowej huty szklanej w Polsce. ©



FOT. DOMENIA PUBLICZNA



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Szybkie szczęście

Dziesięć minut – tyle potrzeba, aby ugotować zielone szparagi, bo na ugotowanie białych potrzebujemy nieco więcej (15 min). Sezon na szparagi możemy uznać za otwarty – już pojawiły się w marketach, wprowadzane są, ale że sezon na szparagi trwa dość krótko, to cieszymy się tym, co mamy, i korzystamy z tych dobrodziejstw jak najczęściej.

Szparagi zawierają sporo makro- i mikroelementów, witamin, soli mineralnych oraz przeciwutleniaczy. Uznawane są również za afrodyzjaki.

Przy zakupie należy zwrócić uwagę, aby szparagi były jędrne i świeże – to daje nam gwarancję smaku.

Białe szparagi powinniśmy

obrać obieraczką do warzyw poza częścią górną, zielonych nie trzeba obierać – odcinamy jedynie dolną twardą część.

Szparagi najlepiej gotować w wysokim garnku tak, aby wystawała górna część główek. Jeśli takiego nie mamy, to w zwykłym garnku na leżąco też uda nam się ugotować je doskonale.

Białe szparagi nadają się bardziej do przygotowywania zupy kremu czy sosów, a zielone jako dodatek do wielu dań, makaronów, omletów, kanapek na ciepło, sałatek.

Grzanka z jajkiem po benedyktyńsku i szparagami

• pęczek świeżych szparagów zielonych • cztery kromki chleba • 2 łyżki oliwy z oliwek • ząbek czosnku • 4 jajka • garść pomidor-

ków koktajlowych i świeżej rukoli

• ½ łyżeczki soli • świeżo mielony pieprz • 1 łyżka octu

Sos holenderski

• 4 żółtka w temperaturze pokojowej • sok z całej cytryny • 125 g masła • sól, pieprz

Zaczynamy od sosu. W średnim garnku nastawiamy wodę tak, aby można było postawić na nim miskę, masło roztopiamy w osobnym garnku i odstawiamy. Do miski wkładamy żółtka, sól i sok z cytryny, wszystko ubijamy trzepaczką albo mikserem, aż masa stanie się jasna i puszysta, na koniec dodajemy powoli

roztopione masło i jeszcze chwilę ubijamy, dodajemy pieprz.

Odstawiamy. Szparagi gotujemy w osolonej wodzie 10 min, wcześniej odcinamy twarde końcówki.

Na rozgrzanej

patelni podgrzewamy

oliwę z oliwek i pokrojony czosnek tylko chwilę, aby oliwa przeszła aromatem czosnku. Podsmażamy chleb z każdej strony, odstawiamy na talerz.

W osobnym garnku gotujemy wodę z octem, mocno mieszamy wodę łyżką i wbijamy jajka bez skorupki, gotujemy przez 3 min, każde jajko osobno. Wyjmujemy łyżką cedzakową.

Ciepłe grzanki obficie smarujemy sosem holenderskim, układamy pokrojone szparagi i na wierzchu na każdej kromce chleba jajko w kształcie. Dekorujemy pomidorkami i rukolą. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Majtki XYZ

Do niedawna nie znałam raperki Lizzo, bo niespecjalnie pasjonują mnie gwiazdy tego gatunku. Wiem, wiem, że istnieje także inna muzyka niż Bach i Haendel, i powinienam się wykazać otwartością na nowe, ale słabo mi to wychodzi.

Parę dni temu przysiadłam się na kanapie do męża, który oglądał właśnie wywiad Davida Lettermana na Netflixie. Pan Bojańczyk jest fanem tego słynnego dziennikarza, gwiazdy NBC i CBS, gdzie przez 33 lata prowadził wywiady w cyklu „Letterman Late Night Show”. W roku 2015 kontrakt się skończył czy też faceta wywalili (bo za stary) i teraz Lettermana można oglądać na Netflixie. To starszy pan, rocznik 1947, o młodym wyglądzie, postarza go tylko długa siwa broda, ale on się tym niewiele przejmuje, nie zamierza udawać młodszego, niż jest. Nienaganne maniere, dowcip, naturalność, świetne przygotowanie.

I oto naprzeciwko pana Davida siedzi piosenkarka Lizzo. Śpiewa fajnie, wysłuchałam paru kawałków. Jak mówią młodszy ode mnie: tylnej części ciała nie urywa, ale da się słuchać. Głos tak sobie, muzykalność i rytm owszem, na ile się (słabo) znam. Jednak wizualnie sprawa przedstawia się gorzej. Powiem otwartym tekstem: panna Lizzo jest ogromna. Gruba tą grubością amerykańską, która nie idzie na półśrodki, tylko od razu na całość. Dziewczyna nie sprawia wrażenia, jakoby jej



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rozmiar ją krępował. Jest młoda, wesoła, sympatyczna. Wywiad ciekawy, Lizzo opowiada o rodzinie, o początku kariery, o zainteresowaniach. David Letterman bardzo się stara, żeby nie wypaść na starego piernika, ale też nie kreuje się na rówieśnika dziewczyny – w końcu jest poważną firmą.

Parę dni po tym wywiadzie dowiedziałam się, że raperka Lizzo właśnie wylansowała własną markę bielizny. Nie byłoby w tym może nic ciekawego, przecież dzisiaj każda gwiazdka show-biznesu po pierwszym sukcesie komercyjnym otwiera własną markę ubrań/kosmetyków/perfum, choćby skarpetek. Jednak tu mamy coś trochę innego.

Marka Lizzo o nazwie YITTY jest całkowicie inkluzywna, neutralna genderowo, niedyskryminująca osób body positive, po naszymu grubych. Majtki i góry są w rozmiarach mocno wygórowanych i niezdefiniowanych pod kątem ani kobiet, ani mężczyzn. Inwestorkami są znajomi raperki, panie/panowie transgenderowi i queerowi. Świat okazał się nietolerancyjny: konkurencja produkująca bieliznę męską i bieliznę damską nie wykazała zrozumienia progresywnych trendów i ostro skrytykowała YITTY. Co za niewdzięcznicy! ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Utylizator za 500 baniek

Normalnie ręce i nogi opadają. Właściwie to przyzwoity człowiek by się pod ziemię zapadł, przysypał igliwem i udawał, że go nie ma. Ale bezkarność rozzuchwała. Mowa o ministrze Niedzielskim, liderze polskiej służby zdrowia, która wyprodukowała podium światowe w zakresie ponadnormalnych zgonów. Ale co tu się dziwić, że się nie chowa, jak coraz to wyciągają go na scenę i obdarowują za powyższe kolejnymi nagrodami. Ja rozumiem, że to zwroty wdzięczności mediów dla hojnego sponsora. Ale, żeby tak nagrodę mu dać ze strony fundacji pamięci Inki Siedzikówny, to trzeba mieć nie po kolei w głowie.

Mamy spektakl i jego kolejny akt. Nasz minister nakupił szczepionek za 9 mld zł, które to teraz się poprzeterminowały w magazynach, i nie wiadomo, co z nimi zrobić. Ba – minister sam zamówił po sześć sztuk dwudawkowej szczepionki na głowę i się mu – surprise! – bilans nie zgadza. I odgrywa teraz obrońcę publicznego grosza, że zrenekuje swe zamówione i opłacone szczepionki, bo są już niepotrzebne, jednocześnie zamawiając od tych okropnych farmaceutów szczepionki na piątą dawkę. No cyrk, za nasze. Na co się powołuje minister, chcąc anulować zamówione dawki? Na siłę wyższą, polegającą na... napływie milionów Ukraińców do Polski. Tak, nie żar-

tuję. Powinno być odwrotnie – powinniśmy z tego powodu domówić jeszcze szczepionek, bo odwiedził nas naród kompletnie niezaszczepiony. Ale cóż, logika covidowa, nic nie poradzisz.

Mało tego. Teraz minister dumnie otworzył specjalistyczny ośrodek do utylizacji niepotrzebnych szczepionek. Nie dość, że decyzje ministra kosztowały nas już 9 mld w błoto, to teraz funduje (mu?) się fabrykę do utylizacji tych niepotrzebnie zamówionych szczepionek. Za 500 mln zł. To już są szczyty. Bo minister kosztuje nas już nie 9, ale 9,5 mld. Kosztów przechowywania przeterminowanych dawek nie dodaje. No, teraz to można zamawiać w opór następnych dawek, skoro jest jak to spuścić.

Ja coś podpowiem panu ministrowi. Dwa tysiące dawek dziennie to wydajność utylizatorni imienia Sanitarystów Polskich. Toż to jest nic. W czasach szczepionkowych dziennie 10 razy tyle spuszczano dawek, szczepiąc przez zlew, bo jest tajemnicą covidowego poliszyneła, że większość Polaków tak się zaszczepiła. Tyle poszło do rzek (może toto zatruło ryby w Odrze, ale co z Wisłą?). Dalibyscie z 10 proc. z tych baniek szurom i oni by sobie – jak drzewiej bywało – z tym poradzili. Po co marnować publiczny grosz? Choć w przypadku Ministerstwa Zdrowia to musi być już niepowstrzymywalna pasja. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Toksyczny gadżet

Maj to miesiąc pierwszych komunii. Na szczycie list prezentów (a wiemy, że takie listy powstają) zwykle jest smartfon. Nawet jeśli dziecko od kilku lat już korzysta z telefonu, to dla wielu pierwsza komunika będzie okazją, by wymienić gadżet na nowszy model. Jestem w trakcie lektury książki Manfreda Spitzera „Epidemia smartfonów” i właśnie ją poleciłbym jako prezent na komunię. Jeśli rodzice, dziadkowie lub np. nowy partner mamy uważnie ją przeczytają i wyciągną wnioski, to w dłuższej perspektywie korzyści mogą być znaczące.

Manfred Spitzer przywołał liczne badania europejskie i amerykańskie. W raportach sprzed kilku lat liczba użytkowników smartfonów wyniosła 4 mld, z czego ponad połowa użytkowników poświęcała tym urządzeniom ponad pięć godzin dziennie (Frank 2015, Lu 2017). W tych latach odnotowano podwojenie się liczby samobójstw dziewcząt i młodych kobiet. Z badań wynika, że skłonność do samobójstw wzrasta z każdą dodatkową godziną korzystania z mediów cyfrowych.

Nikt nie przebadwał długofalowych skutków korzystania z mobilnych urządzeń internetowych, ponieważ smartfon w masowej skali upowszechnił się dopiero wraz z rozwojem szerokopasmowego Internetu (w Polsce: 4G od 2009 r.). Natomiast w Stanach dwaj znaczący inwestorzy

Apple (Jana Partners LLC i CalSTRS) 6 stycznia 2018 r. wystosowali ponaglenie dotyczące badań – nie z troski o młodych użytkowników, lecz z obawy przed roszczeniami i odszkodowaniami. Według inwestorów użytkowanie iPhone'ów niesie ryzyko licznych działań niepożądanych. Autorzy prognozują znaczące konsekwencje w skali masowej, wskazując na możliwy kryzys zdrowia publicznego.

Niebezpieczne skutki wielogodzinnego przebywania w wirtualnym świecie to przede wszystkim szkodliwość oddziaływania mediów (anty)społecznościowych. Brytyjskie badania na próbie tysiąca dziewcząt wykazały, że te z nich, które w wieku 13 lat przez ponad trzy godziny dziennie korzystały z Facebooka, w wieku 18 lat dwukrotnie częściej cierpią na depresję. Ponadto wielogodzinne siedzenie w sieci sprzyja rozwojowi chorób somatycznych. Powoduje nadwagę, otyłość, zaburzenia snu, nadciśnienie, cukrzycę. Ciekawe wnioski przynosi Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności (PISA). Dane z 50 krajów pokazały, że im więcej rządy wydają na cyfryzację szkół, tym gorsze są osiągnięcia uczniów. Udowodniono, że nawet leżący obok smartfon rozprasza i pogarsza koncentrację na lekcji. W tym kontekście przedwyborcze rozdawanie uczniom laptopów jawi się jako zwykła głupota, a na pewno jako skrajna nieodpowiedzialność. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Przeprosiny są za darmo

W Polsce nie da się skompromitować, takiej możliwości nie ma. Stop.

Profesor Barbara Engelking skompromitowana wypo-
wiedzią: „Dla Polaków śmierć
to była kwestia biologiczna,
naturalna, śmierć jak śmierć.
Dla Żydów to była tragedia,
dramatyczne doświadczenie,
metafizyka”, wcale nie jest
skompromitowana i z okazji
80-lecia wybuchu powstania
w getcie warszawskim
udzieliła wielu wywiadów
biologicznie. Stop. Nie zacy-
tuję, co mówiła, gdyż lekarz
kazał mi ją wyciszać. Stop.

Szymonowi Hołowni wzięli
i zrobili świnstwo twitterow-
cy. Stop. Mianowicie poka-
zali, co on sądzi o gotówce
i o transakcjach bezgotówko-
wych w dwóch aktach. Stop.
Na pierwszym mikrofilmiku
Szymon rozmawia z redak-
torem Rymanowskim, który
pyta go: „Czy trzeba skończyć
z gotówką i przyjąć pieniądź
cyfrowy? Tak czy nie?”. Stop.
Hołownia: „Tak, jak najszy-
bciej tak, ale wcześniej euro
trzeba przyjąć”. Stop. A teraz
akt drugi: Hołownia poszedł
do samochodu oraz po rozum
do głowy i nagrywa sam
siebie: „Wyjaśniam, pokazuję,
tłumaczyliśmy to wczoraj,
nikt nikomu gotówki zabierał
nie będzie. Gotówka będzie
w obiegu, prawo do posiada-
nia i operowania gotówką jest
zapisane w konstytucji. Nie
to miałem na myśli, mówiąc
o tym, że być może z cza-
sem, z postępem, pojawi się
również jako opcja możliwość

korzystania z bardziej ucy-
frowionych narzędzi”. Stop.
Szymon, ja Ci powiem, że taka
opcja korzystania z pienią-
dza cyfrowego nie musi się
pojawiać, bo jest od dawna.
W skrócie: Czy Ty aby nie
kręcisz nieco? Stop.

W najbardziej postępackiej
części „Gazety Wyborczej”,
czyli w dodatku dla kobiet
wyzwolonych i wyzwala-
jących „Wysokie Obcasy”,
pojawił się tekst Martyny
Zachorskiej pt. „Wagina wciąż
kontrowersyjna”. Stop. Do
głowy by mi nie przyszła taka
konstatacja, ale nie będę się
nad nią pochylać. Stop.

Polska Agencja Prasowa
podała, że minister zdro-
wia Adam Niedzielski
podał, że „wstępną planowaną
datą zniesienia stanu zagroże-
nia epidemicznego jest koniec
czerwca”. Stop. No luuudzie!
To my się teraz dowiadujemy,
że jest ciągle jakiś stan epide-
miczny? Stop. Ktoś powinien
nosić konsekwencje. Stop.

W Warszawie i nie tylko
miały miejsce zakrojone na
szeroką skalę ćwiczenia anty-
terrorystyczne. Stop. Wszystko
skończyło się dobrze. Stop.
Komendantowi głównemu
policji nie darowano granatni-
ka. Stop. W imieniu społeczeń-
stwa chciałem za to niedar-
czyńcom podziękować. Stop.

Prezydent Niemiec Fran-
k-Walter Steinmeier prosił
w Warszawie o przebaczenie
za niemieckie zbrodnie. Stop.
Płacić za zbrodnie nie chce,
a przeprosiny są za darmo.
Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Pamięć nabiera barw

Niezwykle interesu-
jącym wydarzeniem
okazał się zakończony
przed tygodniem
Kongres Pamięci Narodowej.
Publiczność dopisała. Nic
dziwnego, skoro organiza-
torzy zadbali o przemyślany
program i znakomitych
uczestników dyskusji.

Najciekawsza, jaką
miałem okazję obserwować,
zatytułowana była „Trans-
formacja ustrojowa w Polsce
– mechanizmy, osiągnięcia,
zaniechania”. Uczestniczyli
w niej profesorowie Sławo-
mir Cenckiewicz, Antoni
Dudek i Andrzej Zybertowicz,
moderował zaś dr Sebastian
Pilarski, szef Biura Badań
Historycznych IPN. Uczeni
ci, niewątpliwie najwyższej
klasy, zdają się nieco różnić
w poglądach na najnowszą
historię Polski. Dzięki temu
ich wypowiedzi okazały się
atrakcyjne dla publiczności.
Jeśli można coś tej intelek-
tualnej przygodzie zarzu-
cić, to tylko brak czasu na
rozwińnięcie sygnalizowanych
zagadnień, przez co dyskusji
zdarzało się meandrować.

Zaczątkiem ciekawej
dyskusji stało się zjawisko
„replikowania” komuni-
stycznych elit w niektórych
środkach, przerośniętych
komunistyczną nomenklaturą
i powiązaniach agentural-
nymi. Wiemy o nim w od-
niesieniu do mediów i służb
specjalnych. Pamiętamy, jak
obciążone komunistyczną
przeszłością były po trans-
formacji środowiska prawni-
cze. Odkrywczozabrzmią

propozycja prof. Antoniego
Dudka, by obok opisanych
grup poddać analizie także
środowisko bankowe, w opi-
nii profesora infiltrowane
przez nomenklaturę i komu-
nistyczne służby w podob-
nym stopniu.

Debata przeskoczyła
szybko na proces
towarzyszących transfor-
macji ustrojowej przepływów
finansowych. Zgodzono się,
że osoby z komunistycznego
„świecznika” nie poradziły
sobie raczej w warunkach ka-
pitalizmu. Ponuro skończyły
się interesy Ireneusza Sekuły,
nie dorobili się fortun ani
minister Wilczek, ani premier
Rakowski. Przypadły one po-
staciom z „drugiego szeregu”,
o słabiej zbadanych powią-
zaniach z SB. Tu posłużyła
za przykład osoba polskiego
oligarchy, którego nazwiska
„z ostrożności procesowej”
naukowcy nie zdecydowali
się wymienić. Profesor Dudek
zapropował jedynie, by
obecny wśród publiczności
minister Piotr Naimski rzucił
na tajemniczego biznesmena
nieco światła. Powinien on
być mu znany, choćby przez
zaangażowanie w sektorze
energetycznym. Doświadczo-
ny polityk obozu rządzącego
uchylił się od wyzwania,
a dyskusja zgubiła wątek.

Jeśli w miarę zbliżania się
wyborów parlamentarnych
rozmowy historyków staną się
jeszcze ciekawsze, to organiza-
torzy będą musieli je bileto-
wać. Nie zdziwię się, gdy do
kas zaczną się ustawiać kolejki
chętnych słuchaczy. ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co z tą młodzieżą?

Niespełna trzy lata temu pewien głośny zwolennik „dorzynania watahy” wyraził nadzieję, że dorzynać nie będzie trzeba, bo sama zdechnie: „Do 2023 umrze ponad milion osób, a prawa wyborcze otrzyma ponad milion dzisiejszych nastolatków”. Na podstawie tej kalkulacji pan Leszek Jażdżewski przewidział, że wygrają wreszcie, dzięki głosom młodych, zwolennicy liberalizmu, rozumianego najprościej jako KO + LGBT + tylko UE + koniec „socjału”.

Nadzieja umiera podobno ostatnia. Już w grudniu 2016 r. sondaż o postawach młodych Polaków, przeprowadzony dla „Rzeczpospolitej” przez IBRIS, opatrzono dramatycznym komentarzem: „Młodzi Polacy wciąż popierają PiS i nie widzą zagrożenia dla demokracji”. W maju 2018 r. dziwiono się z kolei wynikiom innego sondażu, przeprowadzonego w kilku krajach Europy na zlecenie niemieckiej firmy. Młodzi Polacy znowu się nie sprawdzili, okazali się „ewenementem w UE”. Ich poparcie dla Unii było znacznie mniejsze niż ich rówieśników w Hiszpanii, Niemczech, we Włoszech czy Francji, a porównywalne z Grecją czy Wielką Brytanią. Co gorsza (z punktu widzenia komentujących ten sondaż niemieckich mediów w Polsce), „wyłącznie europejską tożsamość zadeklarowało 2 proc. Polaków, a [tylko] 6 proc. stawia ją przed tożsamością polską”. Natomiast aż 46 proc. młodych Polaków odpowiedziało, że czują się obywatelami wyłącznie swojego kraju, a 43 proc., że najpierw obywatelami swojego kraju, a potem Europejczykami. „Postawa Polaków w tej kwestii różni się znacznie od innych uczestniczących w ankiecie nacji”.

I oto 13 kwietnia tego roku, 33 miesiące po prorocестве Leszka

Jażdżewskiego, portal wp.pl ogłasza news pod szokującym tytułem: „PiS wygrywa wśród młodych, widać fascynację Konfederacją. Poglądy mogą zaskakiwać”. Portal informuje w ten sposób o wynikach najnowszej analizy Centrum Indicator i Fundacji Adenauera, przedstawiającej preferencje najmłodszej grupy wyborców (w wieku od 18 do 30 lat). Gdyby układ sił w Sejmie zależał wyłącznie od nich, wygrałby PiS (27 proc.), przed KO (24,7 proc.) i Konfederacją (19,2 proc.). Wynika z tego, że obecnie na PiS chce głosować nieco więcej młodych niż w czasie wyborów w roku 2019. Indicator wskazuje też, że 59,8 proc. młodych ludzi w Polsce nie zgadza się z postulatem liberalizacji prawa aborcyjnego (63,3 proc. kobiet i 56,7 proc. mężczyzn), 74 proc. nie zgadza się z postulatem likwidacji programu „500+”, a 85,9 proc. pozytywnie ocenia postulat zwiększenia wydatków na obronność. Co robić? W takiej sytuacji Wirtualna Polska pociesza się stwierdzeniem, że „Polacy w wieku od 18 do 30 lat z roku na rok stanowią coraz mniejszą grupę wyborców – dziś 4,66 mln osób, czyli 14,9 proc. ogółu dorosłej populacji (dla porównania: seniorzy powyżej 65. roku życia stanowią 25,1 proc. uprawnionych do głosowania)”. Pojawia się wobec tego może inny problem: Kiedy wreszcie wymrą wszyscy Polacy?

Można szukać odpowiedzi na to pytanie w innym, niezwykle interesującym badaniu, które na zlecenie IPN przedstawił właśnie zespół badawczy pod kierunkiem dr. hab. Krzysztofa Malickiego z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Podał on analizę reprezentatywną grupę 6 tys. osób, w trzech grupach: nauczycieli historii, uczniów szkół średnich oraz Polaków powyżej 20.

roku życia, celem zbadania w takim kontekście postaw młodych ludzi (uczniów) wobec przeszłości. Wyniki są fascynujące. Niektóre mogą napawać nadzieją media sprzyjające polityce emancypacji z polskościami jako nienormalności. Inne – raczej nie. Wszystkie zasługują na obszerną prezentację i pogłębioną analizę, na którą tutaj już nie mam miejsca (obietuję następnym razem). Ograniczę się wobec tego do stwierdzeń podsumowujących badanie. Jego autorzy informują, że poziom wiedzy 58 proc. uczniów szkół średnich o polskiej historii można ocenić jako „niski i bardzo niski” (dla porównania: u Polaków powyżej 20. roku życia słabą wiedzę wykazuje 22 proc.). „Czynnikami istotnie wpływającymi na poziom wiedzy historycznej, zarówno wśród uczniów, jak i Polaków 20+, okazały się także: deklarowany patriotyzm oraz zainteresowanie sprawami politycznymi. Im silniejsze utożsamianie własnej osoby z postawą patriotyczną, a także im większe zainteresowanie sprawami politycznymi, tym wyższy poziom wiedzy historycznej. Na pytanie: „Czy uważasz się za patriotę/patriotkę?” twierdzącej odpowiedzi udzieliło 64 proc. uczniów szkół średnich, 83 proc. Polaków 20+ oraz 98 proc. nauczycieli historii. Z uzyskanych danych wynika, że osoby uznające się za patriotów (uczniowie i Polacy 20+) cechują się wyższym zaangażowaniem obywatelskim, częstszą przynależnością do organizacji społecznych, wyższym poziomem wiary w Boga (wierzący i praktykujący) oraz wyższym poziomem wiedzy historycznej. [...] Dwie trzecie uczniów rozumie patriotyzm na sposób heroiczny (67 proc.)”.

To już chyba wiemy, co robić. Pan Jażdżewski też wie. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

Każdy obywatel Chin, który wyjeżdża do dowolnego kraju świata (USA, Polska, Uganda), podpisuje zobowiązanie, że będzie lojalnym szpiegiem i donosicielem Komunistycznej Partii Chin. Z tego wynika, że KAŻDY Chińczyk za granicą jest chińskim ubekiem. A z tego z kolei wynika, że nie powinniśmy wpuszczać Chińczyków nigdzie i tyle.

Na Manhattanie jest dzielnica chińska – sławne Chinatown. Istnieje od dawna, pojawia się na filmach. Klasyk. Kawalek miasta o innych kulturze, języku, zapachu, wystroju, innych twarzach.

W połowie kwietnia amerykańska policja i FBI aresztowały w Nowym Jorku chińskich policjantów, pracowników komunistycznego ministerstwa spraw wewnętrznych, którzy zajmowali się tym samym, czym zajmują się komisariaty policji w Pekinie. Obywatel chiński mógł tam iść i odnowić chińskie prawo jazdy. Natomiast inny wydział na tym samym komisariacie zajmował się inwigilacją chińskich dysydentów, którzy uciekli do USA. To nie brzmi realnie, wiem, ale to fakty. Komunistyczne Chiny prowadziły sobie na terenie obcego państwa własny komisariat. I ten ostatnio zlikwidowany nie był pierwszy ani jedyny.

Amerykańskie władze wykryły go i zlikwidowały je-dynie dlatego, że w USA żyje, pracuje i działa w policji wielu etnicznych Chińczyków, którzy są jednocześnie Amerykanami urodzonymi i wychowanymi w USA i są tam od kilku pokoleń. Mają te same twarze, rozumieją konteksty kulturowe, znają język i alfabet chiński,

mogli więc wtopić się w tło Chinatown, wykryć i zlikwidować nielegalny chiński komisariat.

Czy w Warszawie istnieje podobny? To bardzo prawdopodobne, bo Chiny są potężne, beczelne i bezkarne. Kiedyś wysyłano klasycznych szpiegów. Dziś Chiny otwierają różne swoje instytucje na terenie, który planują podbić. Instytucje Konfucjusza zaniepokoiły władze Unii Europejskiej dawno, ale Unia nic z tym nie robi. A powinna zlikwidować wszystkie raz a dobrze. No ale... skąd wtedy weźmiemy adidasy, koszulki, czajniki, części zamienne i podstawowe leki typu aspiryna? Skąd wtedy weźmiemy w zasadzie wszystko, co potrzebne do normalnego życia?

Całe wyposażenie twojego mieszkania jest Made in China. Bierz do ręki przedmiot po przedmiocie i zagrajmy w „znajdź elementy niechińskie”. Karnisze, zasłony, prześcieradła, meble, sprzęt AGD, krany, farby, podłogi, żarówki, kable, elektronika, części do wszystkiego. Gdybyś oczyścił swój dom z chińskiego szmelcu, siedziałbyś goły na pustym trawniku i żałował ostatniego oscypka, bo nawet mleko w twojej lodówce (chińskiej) okaże się pasteryzowane w chińskim kartoniku za pomocą urządzeń do pasteryzacji pochodzących z Chin. Te urządzenia stoją na terenie Polski, ale są chińskie lub częściowo chińskie.

Ale to przecież normalne w świecie zglobalizowanym – powie ktoś. Nie – to nie jest normalne. Byłoby normalne, gdyby w zglobalizowanym świecie różne przedmioty w moim

domu pochodziły z wielu różnych miejsc na całym globie, ale one zawsze pochodzą z globalnych Chin.

Komunistyczne Chiny pochwały się, że nawet polskie pieniądze drukowane są w Chinach. NBP zaprzeczyło natychmiast i NERWOWO. Powiedzieli, że „polską walutę drukuje się w Polsce”. To najprawdopodobniej sztuczka semantyczna, czyli kłamstewka formalnie prawdziwe. „Drukuję się w Polsce”, ale... czy na polskich maszynach, na polskim papierze i farbą z Polski czy może każdy z tych elementów jest chiński?

W środku Warszawy stoi Bank of China i ktoś na to pozwolił. Ktoś przegapił lub dopuścił. I... założyć się, że gdzieś w Warszawie działa już chiński komisariat. Nie potrafimy go wykryć i zlikwidować, bo w polskiej policji nie mamy funkcjonariuszy chińskiego pochodzenia (w trzecim pokoleniu), którzy mają takie same twarze, znają kulturę, język i potrafią zinfiltrować nielegalny chiński urząd. Jeżeli już istnieje, to nie mamy szans. Jeżeli go jeszcze nie ma, to też nie mamy szans – będzie. Skoro był nawet na Manhattanie i nie był pierwszy ani jedyny...

Ktoś na to pozwolił, ktoś przegapił lub dopuścił do sytuacji, gdy w Polsce mamy ogromną diasporę Wietnamczyków, a Wietnam to także państwo komunistyczne i obywatele o innych twarzach, języku, kulturze i alfabecie. Na terenie Polski działa wietnamska mafia i polska policja nie ma z nią szans – kulturowo, językowo...

Rząd wpuścił też do Polski ogromne masy mężczyzn (99 proc. imigrantów to mężczyźni) z Bangladeszu, Pakistanu...

Czy tego rodzaju rozważania oznaczają, że jestem ksenofobem? (Ja lub ktokolwiek, kto o tym myśli jako o zagrożeniu). Tak – tego typu myślenie oznacza ksenofobię. STRACH przed obcą kulturą, która może stanowić dla nas zagrożenie, oznacza ksenofobię. Ksenofobia to strach, lęk, zaniepokojenie lub niechęć i... w przeciwieństwie do strachu przed myszami (niektóre panie, widząc mysz w kuchni, wskazują na taboret i wrzeszczą do męża: „JANUSZ! RATUJ!”), w przeciwieństwie do lęku wysokości, w przeciwieństwie do niepokoju, jaki budzą węże, w przeciwieństwie do wszystkich innych fobii ta jedna, która zawiera w sobie cudzoziemca, jest karana. Zachowania ksenofobiczne są zwalczane. Istnieją organizacje, instytucje, przepisy, które tępią ksenofobię, czyli tępią zwyczajny, naturalny, normalny ludzki STRACH wobec zagrożenia. Boisz się Chińczyków – możesz zostać ukarany. Brzydzisz się pederastów – możesz zostać ukarany. Wyjątek obecnie stanowią Ruscy, których należy się brzydzić i wolno się ich bać.

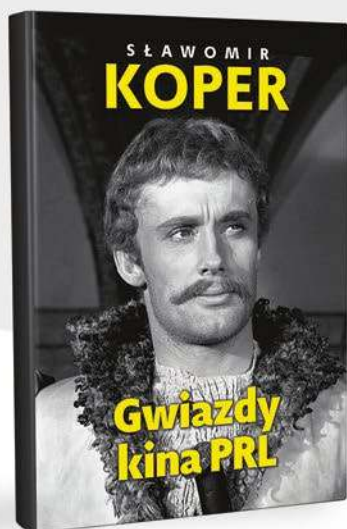
A ja się boję Ruskich, ale razem z Ruskimi boję się dużo gorszych Chińczyków, ponieważ: każdy obywatel Chin, który wyjeżdża do dowolnego kraju świata, podpisuje zobowiązanie, że będzie lojalnym szpiegiem i donosicielem Komunistycznej Partii Chin. Z tego wynika, że KAŻDY Chińczyk przebywający za granicą jest chińskim ubekiem. A z tego z kolei wynika, że nie powinniśmy wpuszczać Chińczyków nigdzie. A tych, którzy już tu są, wywalić. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„GWIAZDY KINA PRL”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~**599**~~ **ZŁ**

232,00 **ZŁ**

OSZCZĘDNOŚĆ 367ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl b0cd96b6f3



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

STUDIA MBA

Narodowy Bank Polski informuje:

Szkoła Główna Mikołaja Kopernika
i Narodowy Bank Polski rozpoczynają rekrutację
na roczne studia podyplomowe MBA:

Bankowość i system finansowy

Studia Master of Business Administration przybliżą:

- ▶ funkcjonowanie systemu bankowego w gospodarce, w tym zadania banku centralnego,
- ▶ wybrane aspekty działalności banków komercyjnych,
- ▶ funkcjonowanie rynków finansowych, w tym zarządzanie portfelem inwestycyjnym i ryzykiem rynkowym.

Wykłady rozpoczną się już w czerwcu 2023 r.
w Warszawie i będą prowadzone przez
wykładowców z Polski i z zagranicy.

Projekt realizowany przy wsparciu
Akademii NBP oraz Akademii
Kopernikańskiej.

Zgłoś się już dziś!



Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl oraz sgmk.edu.pl



NARODOWY
BANK POLSKI



SZKOŁA GŁÓWNA
MIKOŁAJA KOPERNIKA